

Katy Hayes

Plotka

Przekład Joanna Nałęcz

Dla moich rodziców:

*Toma Hayesa, który odszedł z cyrkiem, i
Anny Hayes, która połyka książki jak
bułeczki*

Co powiesz, doktorku?

Rzecz w tym – powiedział – że przez wiele lat zaniedbywałeś swoje ciało i teraz zbierasz żniwo. Masz nadwagę. Dobiegasz czterdziestki. Jesteś niesprawny, bo w ogóle nie ćwiczysz i w dodatku wypalasz czterdzieści papierosów dziennie. Masz słabe mięśnie brzucha i klatki piersiowej. Siedzisz przy biurku zaprojektowanym w zamierzchłych czasach, kiedy nikt jeszcze nie słyszał o zasadach ergonomii. Nic dziwnego, że bolą cię plecy. Spoczywa na nich niewdzięczny obowiązek utrzymywania ciężaru całego twojego ciała. Poza tym za dużo pijesz. To wszystko jest ze sobą powiązane.

Brak ci moralnego kręgosłupa. Kiedy coś się psuje w jednym miejscu, wszystko inne natychmiast zaczyna szwankować.

Można by uznać, że doktor James Coogan jest szczery do bólu, obcesowy i brak mu współczucia, jakie winno cechować lekarza, ale Colmowi Cantwellowi to właśnie się w nim podobało. Tam, gdzie w grę wchodziła medycyna, był masochistą. Lubił obelgi. Katolickie wychowanie. Spowiedź, wina, żal, skrucha – po których następuje rozgrzeszenie i stan świętości.

– Masz trzydzieści osiem lat. Znam mężczyzn w twoim wieku i lepszej kondycji fizycznej, którzy przeszli już pierwszy zawał. Te bóle pleców to pierwsze poważne ostrzeżenie, że powinieneś w końcu wziąć się za siebie.

Colm zwiesił głowę, wpatrując się w uda doktora Coogana. Fantastyczne trzydziestopięcioletnie uda, z trudem mieszczące się w nogawkach spodni z cienkiego lnu. Jedno z nich było tak

napięte, że drgało lekko, niezależnie od woli właściciela. Potężny mięsień był fascynujący, obsceniczny. Colm spojrział na własną nogę. Galareta. Jego uda miały konsystencję bezsilnej galarety. Przygnębiające. Miał ochotę pójść do pubu.

– Tak, to recepta na lek, który pomoże ci zwalczyć bieżące problemy, zlikwiduje stan zapalny i tak dalej. Ale to tylko doraźny środek.

Colm lubił doraźne środki.

– Zwracaj szczególną uwagę na krzesła, najlepiej żeby zawsze miały oparcie.

– Dobrze.

– Unikaj, na przykład, stołków barowych.

– Jasne, jasne.

– To jest wizytówka fizykoterapeuty; powiedz mu, że to pilne.

Colm spojrział na kartkę.

– „Frank Ingoldsby. Instruktor fitness”.

– I zadzwoń, jeśli będziesz potrzebował kolejnej recepty.

A teraz spieprzaj z mojego gabinetu, ty beznadziejny żywy trupie, który nie zasługuje na to, by oddychać.

Ostatniego zdania doktor oczywiście nie powiedział. Wyraził je szczególnie wymownym spojrzeniem.

– Bardzo dziękuję – powiedział Colm i ruszył do drzwi, ciężko opierając się po drodze o meble, bo nie był w stanie się wyprostować. Ból sprawiał, że czuł się wyjątkowo spokorniały. Wyszedł z przychodni, czepiając się balustrady, i rozejrzał dookoła. Po jego prawej stronie, jakieś czterdzieści metrów dalej, był pub. Po jego lewej stronie, mniej więcej sto metrów dalej, był pub. To wielki kraj. Wszędzie puby. Lokal po prawej, oznaczony atrakcyjnym podświetlonym

logo Guinnessa, miał tę wadę, że znajdował się po drugiej stronie ulicy. Colm nie był pewny, czy zdoła tam dotrzeć bez pomocy. Trzymając się poręczy, ruszył powoli w lewo. Doktor Coogan wcisnął go na wieczór jako swojego ostatniego, nieplanowanego pacjenta. Była już dziewiąta. Dobra pora, żeby się napić. Colm uchwycił się mocniej poręczy i zdołał przyjąć prawie pionową pozycję. Drzwi przychodni otworzyły się, lekarz o potężnych udach wyszedł i wskoczył lekko do sportowego samochodu stojącego przy krawężniku. Nawet jego samochód sprawiał wrażenie wygimnastykowanego. Coogana czekał teraz zapewne fantastyczny seks z... z jakąś śliczną pielęgniarką... w pielęgniarzkim mundurku...

Teraz widać, w jakim stanie jest mój umysł. Jak brak mi oryginalności. Widać,

jak poważne mam problemy.

Colm rozruszał się trochę i przyspieszył. Przechylił się lekko w lewo, wysunął podbródek i odsunął nieco łokieć od tułowia. W tej pozycji czuł się w miarę znośnie. Jednak droga do pubu zajęła mu chyba z piętnaście minut, tak mu się przynajmniej wydawało. Wreszcie z ulgą wkroczył do zadymionego wnętrza. Znał ten lokal, położony na obrzeżach jego terytorium, w takiej odległości od domu, jaką jeszcze warto było przebyć, żeby napić się piwa. Duży, niedawno odnowiony pub. Colm dotarł do baru, wspiął się na jeden z zakazanych, nieergonomicznych stołków i opadł na blat, podpierając się łokciami. Zamówił zakazane piwo i wyjął z kieszeni wymiętoszoną paczkę zakazanych papierosów. Dostał swoją szklanekę, zaciągnął się dymem i przez chwilę

rozkoszował się smakiem piwa na języku.

Barman był rozmowny. Colm też. Właśnie na tym polegał jego talent – na umiejętności podtrzymywania rozmów. Mówiono o nim często, że potrafi gadać do każdego. Do marszałków senatu, przedszkolaków, malarzy pokojowych, nawet do przedmiotów. Była to prawda. Miał ten dar. I łatwo też zdobywał ludzkie serca. Ludzie chcieli mu pomagać. Teraz też. Opowiedział barmanowi łązawą historyjkę o swoich plecach, a ten natychmiast zaproponował, że pośle swojego bramkarza do apteki po przepisane lekarstwo. Colm doszedł do wniosku, że pomysł jest niezły, jeśli dobrze to rozegra. Świetnie. Doskonale.

– A jak pan dotrze w tym stanie do domu? – spytał barman.

– Zadzwonię do żony, przyjedzie po mnie, ale najpierw wypiję co nieco.

Brzdęk, brzdęk.

– Ma pan szczęście, że pana wypuszcza. Teraz kobiety wszystkim rządzą.

– Moja żona naprawdę się rządzi. Jest nauczycielką.

Bramkarz, gamoniowaty, kiepsko ostrzyżony młodzieniec z nerwowym tikiem, zdążył już wrócić z apteki. Przyniósł interesujące biało-różowe tabletki w plastikowym pojemniku. Colm zawsze się zastanawiał, dlaczego nie zaczął nadużywać leków. Był świetnym materiałem na lekomana. Po prostu jakoś mu się to nie udało, tak jak nie udało mu się dostać stałej pracy. Nie obracał się w odpowiednich kręgach, co dotyczyło i jednego, i drugiego.

Jedna tabletką cztery razy dziennie, głosił napis na opakowaniu. Colm wrzucił do ust dwie i popił dużym haustem guinnessa. Na rozruch. Wkrótce, za sprawą

któregoś z tych środków, czy to biało-różowego, czy też ciemnego z pianką, ból zupełnie ustąpił.

Colm zerknął w telewizor stojący w przeciwległym końcu baru. Jacyś nieprawdopodobnie młodzi chłopcy szaleli z gitarami. Kiedyś też chciał zostać gwiazdą rocka. Dlaczego mu się nie udało? Wszyscy inni frajerzy byli gwiazdami rocka. Dlaczego on nie? Nonszalancko zeskoczył ze stołka, żeby pójść do wychodka. Uuuch. Ból. Obezwładniający, koszmarne ból. Ruszył w stronę męskiej toalety, przytrzymując się balustrady. Zawsze się zastanawiał, czemu mają służyć te głupie balustradki. Teraz wiedział. Stał przy ostatnim pisuarze, na wypadek gdyby musiał oprzeć się o ścianę.

Uśmiechnął się krzywo na wspomnienie snu, koszmaru, który często go nawiedzał. W tym śnie staje przy pisuarze, takim jak

ten, żeby się wysikać, rozpina rozporek i chce wyjąć penisa, ale nie może go znaleźć. Nie ma go. Czasami w toalecie są inni mężczyźni, a on, odkrywając brak przyrodzenia, wydaje głośny krzyk. Mężczyźni podchodzą, żeby zobaczyć, co się stało, kiwają ze współczuciem głowami jak konsylium lekarskie, a potem poprawiają krawaty i zostawiają go samego. To okropny sen, Colm budzi się z niego przerażony i w ataku paniki wkłada rękę między nogi, chcąc się upewnić, że penis jest na swoim miejscu. I zawsze jest. W przeciwieństwie do Colma spokojny, zwinięty w kłębek. On też ma teraz niewiele do roboty.

Wyjął penisa, który szczęśliwie był, gdzie trzeba, i z przyjemnością oddał piwny mocz, co zdawało się trwać całe wieki. Potem podszedł do lustra i przeczesał włosy, które pod wpływem

wiatru zmierzwiły się dziko. Przyjrzał się uważnie swojemu odbiciu. Mógł uchodzić za dość atrakcyjnego, trochę w typie Johna Belushiego, tuż przed tym, jak wykitował. Nieco obrzmiała twarz, proste tłuste włosy, ale ładne oczy. Ludzie zawsze mówili, że ma ładne oczy. Zbliżył się do lustra. Oczy były bardzo przekrwione. Nie wydawały się ani trochę ładne.

Pojutrze się za siebie wezmę.

O jedenastej zadzwonił do Janet.

– Gdzie?

– Corcorans.

– Zaraz przyjadę – powiedziała bez cienia emocji. Nie była zła. Nie wkurzało ją, że została potraktowana jak taksówkarz. Przyjedzie, kulturalna i miła, może nawet zdobędzie się na jakiś żart. Potem zabierze go do domu, do zimnego łóżka, które z nim dzieli. Do łóżka, w którym jego tłuste ciało od dawna nie zaznało dotyku miłości.

Młody listek

Colm pojawił się w klinice Franka Ingoldsby'ego, instruktora fitnessu, ze stanowczym postanowieniem poprawy. Frank był miłym człowiekiem o długich włosach zebranych w kucyk. Miał szczupłe, żyłaste ciało, długie ręce i bardzo duże dłonie, które zdawały się sięgać niemal do podłogi. Całą swoją postawą wyrażał troskę i współczucie. Colm leżał na brzuchu na kozetce, dość niespokojnie, spoglądając podejrzliwie przez ramię.

– Czy to boli?

– Jezu! – Colm omal nie spadł z kozetki. Nie należał do tych, co cierpią w milczeniu. Zazwyczaj cierpiał na bardzo wysokim poziomie decybeli.

– Problem polega częściowo na tym, że jesteś spięty – powiedział Frank. – Odpręż

się. Ufajcie mi, jak mówił jeden.

Podjął na nowo masaż, powoli rozluźniając napięte mięśnie.

– Masz słabe mięśnie dolnej części pleców, poza tym zeszywniałe barki i kurcz w prawym ramieniu. Jesteś w tragicznym stanie.

Colm prawie płakał z bólu, a jednocześnie doznawał graniczącej z ekstazą ulgi.

– Zdrowie – oznajmił Frank – to stan umysłu. Jeśli chcesz być zdrowy, musisz myśleć zdrowo. Jesteś tym, co jesz. Zmień dietę. Kochaj swoje ciało i nie napychaj go byle czym.

– Dobra.

– Masz dzieci?

– Tak. Dwoje. To znaczy troje.

– Nie karmiłbyś swoich dzieci byle czym, więc dlaczego sam jesz świństwa? Zaraz, zaraz... To ile właściwie masz

dzieci? Dwoje czy troje?

– Mam dwoje własnych dzieci i jedno przybrane. Tyle że to przybrane nie jest już dzieckiem, lecz młodą dorosłą osobą, tak przynajmniej twierdzi.

– I musisz zacząć ćwiczyć. Systematycznie. Chociaż kilka godzin w tygodniu. Zabieraj dzieciaki na spacer. Biegaj z tym starszym. Kiedy już wejdzie ci to w nawyk, sam się zdziwisz, jakie to łatwe.

– Muszę myśleć pozytywnie.

– To wpłynie na wszystkie aspekty twojego życia. I mam na myśli naprawdę wszystkie – dodał Frank, patrząc wprost na Colma błękitnymi oczami.

Nie chodzi mu wcale o wszystkie aspekty mojego życia. Chodzi mu o seks. To właśnie ma na myśli. Czy wystarczy na mnie spojrzeć, by wiedzieć, że od lat nie uprawiałem seksu? Czy można to wyczuć?

Colm postanowił wziąć się za siebie. Tak, weźmie się w garść. W wieku trzydziestu ośmiu lat nie jest jeszcze za późno, by zrobić coś ze swoim zmarnowanym życiem. Musi tylko dotrzeć do przyczyn problemu. Poznać odpowiedź na pytanie, dlaczego w jego życiu tak źle się dzieje. Pamiętał swoje zdjęcia z czasów dzieciństwa, w ramionach matki, niewinny i rozkoszny. Jak to się stało, że ten słodki dzieciak zmienił się w taki wrak? Jeszcze dziesięć lat temu miał w sobie trochę ikry.

Powiedz mi, co mam robić.

Frank znowu położył Colma na kozetce, posmarował mu plecy chłodnym żelem i zaczął je masować końcówką cicho bzycającego urządzenia.

– To ultradźwięki. Docierają do miejsc, do którym sam nie mógłbym dotrzeć.

Colm musiał chyba zemdleć albo zasnąć, bo następną rzeczą, jaką poczuł,

było delikatne potrząsanie za ramię. Potrafił zasypiać niespodziewanie, na krótką chwilę. Narkolepsja. Podobało mu się to słowo. Kojarzyło mu się z wampirami, które urządzą dzikie orgie, odurzywszy przedtem ofiary narkotykami czy coś w tym stylu. Te krótkie, kocie drzemki były cudownie odświeżające, ale miały też swoje wady.

– Zasnąłeś – powiedział Frank. – Dałem ci pospać pół godziny, bo akurat miałem okienko, ale za pięć minut znowu ktoś przyjdzie.

– Spałem? – przeraził się Colm. Zazwyczaj zdarzało mu się to tylko wtedy, kiedy był sam. Albo w teatrze. Przespał tak niezliczone przedstawienia. Musiało to mieć jakiś związek z ciepłem i bezruchem. Musiało to mieć jakiś związek z teatrem.

Frank uśmiechnął się do Colma i zatarł rękę.

– Chyba udało nam się trochę pozbyć tego napięcia.

Colm istotnie czuł się dużo lepiej. Włożył ubranie i uścisnął dłoń Franka.

– Za tydzień o tej samej porze.

Colma przepełniała wdzięczność. Wyciągając portfel, uświadomił sobie, że jest bliski łez. Na tym polega problem z pozbywaniem się napięcia. Colm lubił napięcie. Potrzebował napięcia. Napięcie pozwalało mu funkcjonować, stalową klamrą trzymało w kupie wszystkie jego słabe, zwiotczałe części.

Burknął: „Wielkie dzięki” i dał nogę.

Wizyta u psychiatry mniej by mnie rozwaliała.

Na zewnątrz, w poczekalni, dostrzegł automat z napojami. Wypił trochę poprzedniego wieczoru i po kiepskim winie strasznie go suszyło. Wsadził rękę do kieszeni, znalazł pięćdziesiąt pensów i

już miał kupić sobie colę, ale nagle zmienił zdanie. Cola niedobra. Woda dobra. Wcisnął guzik, żeby wybrać gazowaną wodę mineralną. Przynajmniej miała w sobie trochę gazu. Gaz to niezła rzecz.

Widzisz, jakie to proste? Jak łatwo wybrać to, co zdrowe? Widzisz?

Wyświetlacz błysnął, domagając się jeszcze dwudziestu pensów. Colm zdał sobie sprawę, że woda mineralna kosztuje siedemdziesiąt, w przeciwieństwie do coli, za którą żądano rozsądniejszej kwoty. Skandal. Dodatkowe dwadzieścia pensów za wodę. Za wodę wytworzoną przez naturę! Mowy nie ma. Wcisnął guzik oznaczający colę i dostał lodowatą puszkę. Przyłożył ją do skroni, żeby ochłodzić mózg. Tak, puszki mają wiele różnych zastosowań. Otworzył swoją i z rozkoszą wlał w siebie słodki, zimny płyn.

Do domu wrócił pieszo. Klinika

mieściła się w Ballsbridge, niedaleko Rathmines. Miły, krótki spacer. Colm był bardzo zadowolony z tego, że nie jeździ samochodem. Już dawno postanowił, że nie będzie prowadził. W ten sposób automatycznie został członkiem klasy wozonej, a nie tej, która wozi. Janet miała prawo jazdy, musiała więc robić wszystko, co wiązało się z jazdą samochodem: zakupy w supermarketach, odbieranie pijanego małżonka z pubu, zabieranie dzieci na basen, lekcje tańca ludowego, gry na gitarze, lekcje esperanto. Poza tym człowiek bez prawa jazdy może pić do woli i nie obawiać się, że kiedykolwiek usiądzie za kierownicą po pijanemu. Ktoś, kto wszędzie chodzi na piechotę, siłą rzeczy zażywa sporo ruchu – mimo woli za darmo, gratis, bezpłatnie. Ponadto Colm uwielbiał środki transportu publicznego. Sama idea wydawała mu się genialna.

Ubolewał nad niedostatkiem autobusów w mieście. Przed wyborami, kiedy działacze polityczni chodzili po domach, by pozyskać zwolenników, wypytywał, co ich partia zamierza zrobić dla poprawy transportu publicznego. Ci, którzy kłamali najlepiej, zawsze mogli liczyć na jego głos. Ten, kto przedstawił najbardziej przekonującą autobusową utopię, był pierwszy na jego liście. Ale niezależnie od wyniku wyborów, nigdy nic się w tej kwestii nie zmieniało. Pasażerowie autobusów nie stanowili zbyt skutecznego lobby. Rząd obiecywał powstanie miejskiej kolejki, ale mijały lata, a władze ciągle spierały się o to, czy tory powinny przebiegać pod ziemią, na ziemi, czy też może w powietrzu.

Colm szedł radośnie Candlewick Avenue, z mocnym postanowieniem poprawy. Pośrodku ocienionej drzewami

ulicy umieszczono przezornie wysepkę, która miała zapobiegać zabijaniu małych dzieci przez nieuważnych kierowców. Rodzina Cantwellów mieszkała w domu pod numerem 30, mniej więcej w połowie ulicy po prawej stronie.

Colm i Janet kupili ten dom dziesięć lat wcześniej, tuż po ślubie, za środki szczęśliwie dostarczone, można powiedzieć, zza grobu, przez nieznaną krewną Colma z Australii. Colm i Janet zaplanowali ślub (właściwie zaplanowała go Janet) i właśnie rozglądali się za małym mieszkaniem. Mieli niewiele oszczędności i niepewną pracę, stać ich więc było najwyżej na mały kredyt. Janet uczyła, ale tylko na rocznych umowach. Colm pracował w redakcji pewnego magazynu, którego właściciel okazał się ciężko zaburzony. Przynajmniej raz na tydzień musiał zwolnić kogoś ze swoich

pracowników, więc każdego ranka wszyscy zastanawiali się, komu tym razem będzie bił dzwon.

Już mieli wsadzić swoje mizerne środki w maleńkie mieszkanie, kiedy do drzwi zapukał jakiś obcy facet i przedstawił się jako prawnik zatrudniony przez australijską firmę w celu dopilnowania, by Colm Cantwell, siostrzeniec ciotki Julii Cantwell z Sydney w drugiej linii, dostał to, co mu się należy. Majątek zбитy na hodowli owiec w brytyjskich koloniach. Dziedzictwo jak z dziewiętnastowiecznej powieści. A Colm nie był nawet skromną guwernantką zakochaną w swoim chlebodawcy. Czuł, że to magia. Potrzebował pieniędzy na zakup domu i jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki pieniądze się pojawiły.

Żadnej harówki. Żadnych nerwów. Pełny luz.

Tak więc, dzięki zmarłej ciotce Julii, Colm i Janet rozpoczęli swoje małżeńskie życie w tym pięknym domu z czerwonej cegły, w całości kupionym za gotówkę. Zostało im jeszcze dość pieniędzy, by przebudować go zgodnie z własnym gustem. Janet chciała mieć dużo łazienek. Po remoncie w domu znajdowało się więc pięć pomieszczeń, w których można się było wysikać: dwie toalety, łazienka rodzinna, łazienka dla gości na parterze i jeszcze jedna łazienka o nie do końca jasnym przeznaczeniu. Kiedy znajomi przychodzili obejrzyć nowy dom, Colm zabierał ich na wycieczkę po wychodkach.

Wkrótce Colm rzucił pracę. Podejrzewając, że jest następny do odstrzału, z satysfakcją wyprzedził ruch przeciwnika. Został wolnym strzelcem.

Czy to wtedy zaczęły się problemy?

W owym czasie większość domów przy

tej ulicy była podzielona na mieszkania, ale w ciągu kolejnych dziesięciu lat moda się zmieniła, ludzie znowu chcieli mieszkać bliżej miasta i wykupywali całe budynki. Powoli zniknęły dzwonki o wielu przyciskach i przypięte do ogrodzeń rowery, a w ich miejsce pojawiały się eleganckie gongi i lśniące bmw. Nowi przybysze nie rozglądali się dookoła, tylko siedzieli w swoich przytulnych salonach albo odwozili swoje pociechy do prywatnych przedszkoli. Nigdy nie pozdrawiali nikogo na ulicy. W każdym razie nie pozdrawiali Colma. Wyglądał biednie i niechlujnie.

Został tylko jeden dom podzielony na osobne mieszkania, ostatni bastion czynszowych slumsów. Numer 5. Dudnił głośną muzyką, a w jego oknach, latem zawsze otwartych, powiewały przypadkowe zasłony, każda z innej

parafii. Podejrzane typy pojawiały się i znikwały. Czynsz był niski, a mieszkańcy barwni. Samotna matka małego chłopca. Uchodźca z Bośni. Wyjątkowo wysoki mężczyzna o imieniu Brian, który miał stoisko z gazetami niedaleko centrum dzielnicy. Zawsze zwracał się do Colma „bracie” i był bardzo przyjazny. Colm często zatrzymywał się, żeby z nim pogadać, a kilka razy wstąpił do niego na kawę. Brian zajmował słoneczny pokój na tyłach domu. Dom miał identyczny rozkład jak ten pod numerem 30, a nora Briana była dokładnie tam, gdzie w domu Cantwellów znajdowała się kuchnia. Brian mieszkał w tym domu najdłużej i pełnił funkcję administratora, doglądał budynku, zbierał czynsz i przyjmował nowych lokatorów. Właściciel domu mieszkał w jakimś szykownym miejscu w hrabstwie Cork. Colm czuł dziwną więź z Brianem i

innymi, z całą tą zbieraniną. Od czasu do czasu we frontowym oknie pojawiała się podniszczona tabliczka z napisem Pokój do wynajęcia. Ktoś się wyprowadził, ktoś nowy zajmie wkrótce jego miejsce. Kiedyś odbyło się tam przyjęcie weselne.

Tuż obok Colma mieszkała samotna obłąkana kobieta, należąca do tych, którzy odziedziczyli „stare pieniądze”. Miała mniej więcej pięćdziesiąt lat. Długie siwe włosy czesała porządnie w dziewczęce kucyki, nosiła szkolne spódniczki do kolan i białe podkolanówki, a wieczorami mówiła do siebie różnymi głosami. Czasami bardzo głośno. Kiedy Colm i Janet się wprowadzili, byli przekonani, że obok nich mieszka cała rodzina z psem, wkrótce jednak okazało się, że to tylko jedna kobieta niespełna rozumu. W innych okolicznościach mogłaby zarabiać na życie jako brzuchomówca – licencjonowany

naśladowca różnych głosów. Zawsze pozdrawiała Colma zalotnym spojrzeniem i znaczącym uśmiechem, co wzbudzało w nim nieopanowane przerażenie. Miała całkiem miłą twarz. Nie była zła. Colm lubił ją, ale ilekroć ją widział, wyobrażał sobie, jak potrząsa kucykami i szczeka jak pies. Było to silniejsze od niego.

Podszedł do frontowych drzwi wiodącą przez ogródek ścieżką i wszedł do środka. Przebrnął szczęśliwie przez migotliwe pasma różnokolorowego światła padające ze starych witraży. Kochał ten dom, jego barwy, jego mroczne zakątki i mieszkające w nich pająki.

Zrobił sobie filiżankę mocnej kawy i usiadł przy kuchennym stole. Wyjął z szuflady kartkę papieru i sporządził listę. Listę postanowień, które powinien podjąć, żeby uzdrowić swoje życie.

1. Regularnie chodzić do masażysty.
2. Jeść zdrowo.
3. Pić mniej.
4. Opracować program ograniczenia liczby wypalanych papierosów.
5. Zacząć uprawiać jakiś sport.
6. Zająć się problemami zawodowymi, odkryć, dlaczego nie jestem w stanie pisać; jeśli to konieczne, skonsultować się z psychiatrą.
7. Poważniej traktować obowiązki rodzicielskie.
8. Rozwiązać problem związany z Cordelią.
9. Zająć się problemami małżeńskimi, jeśli to konieczne, skonsultować się z psychiatrą.
10. Spróbować wprowadzić w swoje życie aktywność seksualną, najlepiej z żoną, ale jeśli okaże się to niemożliwe, z kimś innym.

Gdyby zdołał zrealizować choć połowę tych zamierzeń, miałby przynajmniej szansę na przyzwoite, spełnione życie. Zdawał sobie sprawę z faktu, że nie satysfakcjonuje go żaden z aspektów dotychczasowej egzystencji. Lista bezlitośnie unaoczniała mu, jak wygląda jego życie. Lista była kolejnym problemem.

Usłyszał, że otwierają się frontowe drzwi. Ciche pobrzękiwanie zwiastowało przybycie Cordelii. Od niedawna każdą ze swoich długich spódnic obszywała u dołu małymi dzwoneczkami. Ostatni krzyk mody w szkole. Było ją słychać na kilometr. Wsunęła jasną głowę w drzwi kuchni.

– O, ty tu jesteś – powiedziała i wpłynęła, pobrzękując, do środka. Colm wiedział, że to pobrzękiwanie za bardzo go

drażni, więc starał się zwalczyć irytację. Słowa Cordelii można by uznać za przyjazne powitanie, biorąc pod uwagę osobę, która je wypowiedziała. Cordelia za najlepszą formę ekspresji uważała zazwyczaj kwaśną minę. Colm złożył kartkę z listą dziesięciu przykazań i wsunął ją do kieszeni.

– Napijesz się kawy? – zapytał.

– Jasne – odparła Cordelia.

Colm w duchu nazywał ją Chopper. Dziecko z poprzedniego związku. [Gra słów. *Chopper* (ang.) – tasak. Słowo tworzą pierwsze litery określenia *Child of Previous Relationship* (ang.) – dziecko z poprzedniego związku.] Podobna do matki jak dwie krople wody, najwyraźniej genom zbiegłego ojca nie udało się dojść do głosu. Colma nieodmiennie zdumiewało, że Janet postanowiła nazwać swoją pozbawioną ojca córkę Cordelia. Że w ogóle ktoś mógł chcieć tak nazwać swoje

dziecko! Przyjaciółki nazywały ją krótko Cordy.

Biologiczny ojciec pojawił się w życiu Cordelii po raz pierwszy zaledwie miesiąc wcześniej. Wyszedł z kliniki w Stanach, gdzie przebywał na odwyku, i został deportowany do Irlandii. Chciał, poniewczasie, nawiązać kontakt z córką. To dramatyczne wydarzenie odbiło się na całym domu. Ojciec Cordelii okazał się wrakiem człowieka, żywym trupem. Wysoki, chudy, pożółkłe zęby, rzadkie włosy. Ostatnie piętnaście lat spędził na plażach Kalifornii – „Pomarańcze wielkie jak melony. Wyżyjesz z tego, co znajdziesz na ulicy, człowieku” – nadużywając narkotyków. Cordelia była przerażona i później nie życzyła sobie żadnych rozmów na ten temat.

Janet najwyraźniej zawsze miała fatalny gust, jeśli chodzi o mężczyzn. Nie jestem

wyjątkiem.

Colm nalał kawę do filiżanki i postawił ją przed dziewczyną. Cordelia rzuciła torbę na ławkę, usiadła naprzeciw niego i milczała, wpatrując się w jego twarz anielskim, biernym spojrzeniem. Z wiekiem coraz bardziej przypominała matkę. I nie chodziło tylko o wygląd, ale także o temperament. Poważna, prawdomówna, pryncypialna i dziwnie pozbawiona radości życia. Teraz miała piętnaście lat, stawała się młodą kobietą. Prowadziła bardzo aktywną działalność, należała do wszystkich szkolnych stowarzyszeń, pomagała fundacji charytatywnej w weekendy, organizowała program ekologiczny w swojej klasie, zbierała kapsle od butelek na rzecz głodujących. (Czyżby je jedli?). Brała udział w zbiórkach starych ubrań i koców dla ubogich. Była naprawdę chodzącą

misją dobrej woli. Nic dziwnego, że postrzegą go jako coś w rodzaju ludzkiej katastrofy ekologicznej.

– Chcesz fajkę? – Uśmiechnął się kpiąco, zapalając papierosa. Nie odpowiedziała, przybrała tylko pogardliwy wyraz twarzy.

– Co robisz w domu tak wcześnie? – zapytał.

– Puścili nas, bo musimy opracować projekty ekologiczne. Muszę jeszcze popracować nad swoim – kaszlnęła lekko, jak bohaterka osiemnastowiecznej komedii, wzięła kawę i pobrzękując, ruszyła do drzwi. Colm wstał, żeby umyć swoją filiżankę i odwrócił się do niej plecami. Mógłby przysiąc, że usłyszał syknięcie, ale kiedy spojrzął przez ramię, jej twarz była obojętna i spokojna jak zawsze.

Jeśli doszło do tego, że zaczęła na mnie

posykiwać, to przekroczyliśmy kolejną granicę. To mnie biją te dzwonki.

W jakiś sposób w domu zapanowało ogólne przyzwolenie na fatalne kontakty między nimi. Cordelia co dzień wracała ze szkoły z nowym przezwiskiem dla Colma. „Palant” był przez jakiś czas jej ulubionym. Potem zastąpił go „Leniwiec”. Kiedy siedział w swoim gabinecie, nazywała go ropuchą w norze. „Kosmiczny Ryj” także dość długo cieszył się powodzeniem. Janet karciała ją kiedyś za to, ale ostatnio przyjęła politykę ignorowania tych wyskoków. Cordelia z tego wyrośnie. Colm znosił to wszystko, bo nie miał wyjścia. Poza tym Cordelia była dzieckiem Janet i wychowywanie jej zawsze należało przede wszystkim do matki.

A dawniej układało się tak wspaniale. Świetnie dogadywał się z Cordelia, kiedy

była jeszcze dzieckiem: bawili się w chowanego, dawał jej czekoladki i ciastka za plecami Janet. Zabierał ją na zakazane wypadki do McDonalda, gdzie rozkoszowali się ketchupem, tłuszczem i za dużą ilością soli. Miło spędzali czas. Ale to wszystko się zmieniło, kiedy Cordelia osiągnęła wiek dojrzewania.

Lepiej mi się układa z osobami niedojrzałymi.

Wszystko się zmieniło, kiedy ona zaczęła się zmieniać w swoją matkę.

Biuro

Colm wyszedł i ruszył w stronę głównej ulicy. Było chłodne popołudnie, świat zaczynał się wynurzać z zimowej hibernacji. Brian siedział na murku pod numerem 5.

– Czekam na nową lokatorkę – powiedział – To młoda dziewczyna z Galway. Powiedziałem jej: „Żadnych studentów”. Twierdziła, że nie jest studentką, tylko kelnerką, ale kiedy już zgodziłem się wynająć jej pokój i poszła sobie i przestała się we mnie wpatrywać tymi pięknymi oczami, odniosłem wrażenie, że wcisnęła mi niezły kit.

Brian nie przyjmował studentów do swojego królestwa, była to naczelna zasada jego polityki. Chciał, by jego współlokatorzy należeli do realnego

świata. Nie życzył sobie żadnych mieczaków pozostających na utrzymaniu rodziców.

– Wiesz, nie cierpię studentów. Pewni siebie jak cholera. A o niczym nie mają pojęcia. Studiują za pieniądze podatników i myślą, że im się to należy. Tak, na to właśnie idą moje i twoje podatki.

Colm, który słabo zasilał budżet państwa, spojrzął na Briana, na jego długie szpakowate włosy i poplamione nikotyną dłonie. Pomyślał, że żaden z nich nie należy do czołówki podatników.

W tej właśnie chwili na końcu ulicy pojawiła się dziewczyna z Galway. Brian wstał, wyprostował się, jakby w duchu chciał otrzepać się z kurzu. Colm ruszył dalej, mijając dziewczynę, która uśmiechnęła się do niego szeroko. Najwyraźniej wzięła go za mieszkańca numeru 5 i przyszłego współlokatora.

Odpowiedział jej uśmiechem.

Lubił swój autobus. Numer 15B. Był to sympatyczny autobus pojawiający się na przystanku z dużą częstotliwością. Jeździł do miasta we własnym tempie, spokojnie, niespiesznie. Colm lubił patrzeć na innych pasażerów, przyglądać się ich twarzom, oddychać ich zapachem. Często jeździła tym autobusem szalona kobieta i przez całą drogę wpatrywała się w niego cielecym spojrzeniem. Wtedy zazwyczaj krył się za gazetą, usiłując nie wyobrazić sobie sąsiadki stojącej na czworakach i szczekającej jak pies. Rozpoznawał wiele osób, które regularnie spotykał na tej trasie. Uśmiechniętego kierowcę i jego ponurego zmiennika. Kobietę obwieszoną dziećmi i siatkami pełnymi zakupów. Pijaków. Staruszków. Dzieci ze szkoły. Ludzi bez forsy.

Wysiadł na ostatnim przystanku i

poszedł w stronę Castle Grub Street. Colm pracował dla „Grub Street Gazette” od wielu lat na różnych stanowiskach: jako korektor, felietonista, dziennikarz. Teraz ograniczył się do ukazującej się co tydzień rubryki z plotkami. Od dawna nosił się z tym zamiarem. Dostarczał swój tekst do redakcji zawsze w piątkowe popołudnia. Pieniądze z tej pracy, wraz z pensją Janet i faktem, że nie musieli spłacać kredytu, pozwalały im żyć na odpowiednim poziomie. Nie byli bogaci, ale spokojnie starczało im na codzienne potrzeby. Zresztą po co mieliby wyjeżdżać na wakacje za granicę? Południowe słońce nie służy irlandzkiej skórze. Colma właściwie nie interesowały pieniądze. Nosił stare ubrania, stanowiące antytezę tego, co modne. Ubrania też go nie interesowały, to Janet zajmowała się garderobą, organizując sezonowe wypadki do Marksa i

Spencera dwa razy do roku, z których wracała do domu obładowana rzeczami w różnych odcieniach brązu i szarości. Colm nie raził swoim wyglądem, ale zupełnie nie miał stylu.

Uśmiechnął się do Dana, portiera, który siedział w swojej maleńkiej zadymionej kanciapie. W całym budynku obowiązywał zakaz palenia, ale Dan nie zwracał na to uwagi i palił w swoim pokoiku, wąskim jak trumna. Dan miał co najmniej siedemdziesiąt pięć lat, zdołał jednak uniknąć przymusowego przejścia na emeryturę, podając się za swojego młodszego brata, który wyemigrował do Ameryki w latach pięćdziesiątych. Pokazał komisji akt urodzenia Declana Reardana, twierdząc, że „Dan” jest skrótem od Declana, a nie Daniela. D. Reardan pracował tu od 1940 roku, co oznaczało, że został zatrudniony jako pomocnik portiera

w wieku lat ośmiu. Dan argumentował, że D. Reardan, jego ojciec, pojawił się w dokumentach już w roku 1890. Nie Daniel, nie Declan, lecz Donald. W tej rodzinie wszyscy nosili imiona zaczynające się na literę D. Zarząd nie miał wyjścia, musieli go zatrzymać. Nie byli w stanie udowodnić, że nie jest tym, za kogo się podaje. Próbowali go przekupić atrakcyjnym pakietem dla emerytów, ale nie z Danem takie numery. Był Danem Portierem. To była jego tożsamość. Mawiał, że kiedy nie będzie już w stanie pracować, mogą go od razu położyć do trumny.

Colm pozdrowił Dana ciepło. Lubił tego starego spryciarza, a sztuczka z aktem urodzenia naprawdę mu zaimponowała. Na Danie Colm robił takie samo wrażenie, jak wszyscy inni dziennikarze. Czasami odpowiadał na jego pozdrowienia, a

czasami nie. Colm ruszył po schodach na ostatnie piętro, gdzie co tydzień oddawał swój tekst.

Czekało go spotkanie z nową redaktor działu. Zajęła to stanowisko miesiąc wcześniej i napawała Colma przerażeniem. Młoda, koło trzydziestki, wypielegnowana i elegancka, zawsze świetna fryzura, szminka, białe zęby. O ósmej rano chodziła na siłownię, żeby utrzymać nogi w dobrej formie. Właściwie nie czepiała się go specjalnie, znała jednak wiele subtelnych sposobów, by pokazać mu, kto tu jest szefem. Colm sam dobrze wiedział, kto tu jest szefem, i zdumiewał go upór, z jakim mu o tym przypominała.

Na pewno ma hopla na punkcie władzy i głęboko skrywane kompleksy. Te nowe kobiety, które chcą wyglądać jak Demi Moore, to dar niebios dla oczu, ale cholerny wrzód na dupie.

– Cześć, Deirdre – uśmiechnął się do niej. – Oto poczynione w tym tygodniu obserwacje naszej dublińskiej śmietanki towarzyskiej – zazartował bez przekonania.

– Doskonale. Masz dla nas jakieś pikantne kawałki? – W jej oczach błysnął niezdrowy entuzjazm.

Rubryka nosiła tytuł *Mary Jane na parkiecie*, bo kiedyś prowadziła ją Mary Jane Murphy. Po jakimś czasie jednak Mary wylądowała w klinice na odwyku, gdyż okazało się, że niekończące się pasmo kolacji, premier i wernisaży źle wpływa na jej podatną na uzależnienia psychikę. MJM pisała *Mary Jane na parkiecie* przez siedem lat i teraz była to bardzo popularna rubryka. Colm przejął ją na pewien czas, kiedy Mary Jane po raz pierwszy zeszła z drogi cnoty i wstrzeźliwości. Zastąpił ją. Zawsze

bardzo lubił MJM i chciał jej pomóc. Należała do kręgu jego przyjaciół od kieliszka, znał też wszystkie jej plotkarskie kontakty, bo MJM nie potrafiła utrzymać języka za zębami. Urodziła się, żeby gadać. Colm tracił powoli wszystkich swoich przyjaciół od kieliszka. Padali jak muchy, biedne ofiary uzależnienia, wyznawcy New Age, więźniowie małżeństwa, odrodzeni chrześcijanie – zwłaszcza tych ostatnich było bardzo dużo. Religia szerzyła się wśród jego znajomych jak ospa wietrzna.

MJM nie zakończyła odwyku tak szybko, jak się spodziewano. Musiała zostać w klinice dłużej, ale jej rubryka nadal ukazywała się co tydzień. Colm, zdolny naśladowca, bez trudu podchwycił jej styl. Trochę bezczelny, okraszony lekkim damskim dowcipem, nieco poufały. Żaden z czytelników nie zauważył zmiany.

MJM wróciła wreszcie do gazety, ale odmówiła prowadzenia swojej rubryki, twierdząc, że dawna praca zmuszała ją do zbyt aktywnego życia towarzyskiego, a ona nie może narażać się na płynące winem przyjęcia i tym podobne imprezy. Znalazła dla siebie niszę i zaczęła pisać o ogrodnictwie jako Mary Greenfield, ponieważ wyszła za swojego psychiatrę, doktora Greenfielda. Trzeba przyznać, bardzo odpowiednie nazwisko dla osoby piszącej o ogródkach.

– I pomyśleć, że spędziłam piętnaście lat na alkoholowych imprezach, usiłując znaleźć męża. A w końcu, w wieku trzydziestu siedmiu lat, zniszczona przez wódę i życiowe rozczarowania spotkałam przystojnego, bogatego psychiatrę, który rzucił mi się do stóp. Życie nie jest sprawiedliwe – powiedziała radośnie.

Mary Jane Murphy przestała istnieć.

Został problem rubryki, którą Colm prowadził pod pseudonimem przez ponad rok. Zaproponował nawet zmianę nazwy z *Mary Jane na parkiecie* na *Colm Cantwell na suficie*, ale tak naprawdę lubił pisać jako MJM. Odczuwał miły erotyczny dreszczyk, wcielając się w kobietę.

Byłoby mu znacznie trudniej pisać własnym głosem. Jako kobieta mógł z powodzeniem udawać zalotną, naiwną, kapryśną idiotkę. Mógł na przykład poświęcić cały tekst nowym włoskim szpilkom, barwnie opisując, jakich nabawił się przez nie pęcherzy. Mężczyzna po prostu od razu zdjąłby te cholerne buty.

Kobiety mają znacznie więcej przydatnych akcesoriów.

Klamka zapadła. Nadal prowadził rubrykę plotek, ale pod dawnym tytułem. Przez cały czas, który Mary Jane spędziła na odwyku, utrzymywano w tajemnicy

fakt, że jej felietony pisze ktoś inny. Redaktor działu wiedział o tym, oczywiście, ale poza nim nikt nie miał o niczym pojęcia. Colm był z tego zadowolony i kiedy oficjalnie przejął rubrykę, postanowił utrzymać ten stan. „Ofiarowuję ci moją dawną, przesiąkniętą alkoholem osobowość”, powiedziała MJM ponuro, w formie łagodnej klątwy. Colm wprowadził trochę zmian. Mary Jane stała się bardziej lekkomyślna. Piła więcej, częściej uprawiała seks, straciła resztki przyzwoitości. Kiedy prawdziwa Mary Jane wyszła na prostą, fikcyjna znalazła się na równi pochyłej.

Sobowtór Demi Moore z kompleksami przez chwilę przeglądał tekst.

– Całkiem nieźle – powiedziała, wstawiając kilka dodatkowych przecinków i łącząc zdania proste w złożone. Sądziła pewnie, że wygląda to na poważny wkład

redakcyjny w pracę Colma.

To nie jest literatura piękna, kobieto. Zmiany w interpunkcji są zupełnie bezcelowe, bo chłopcy na składzie i tak wszystko pomieszają.

– Cornelius spóźnia się ze zdjęciami. Dzwoniłam przed chwilą do laboratorium, powiedzieli, że będą gotowe za pół godziny. Podobno został wypchnięty z kolejki, bo pojawiła się naprawdę gorąca sprawa. Mają rewelacyjne zdjęcia tego faceta, który popełnił samobójstwo, skacząc z Burt Bridge. Sekwencja w stylu Davida Hockneya. Chcę, żeby to weszło do działu „Styl życia”. Mam artykuł o samobójstwach, bardzo dobry artykuł, zdaje się, że napisał go psychiatra czy pracownik socjalny, wiesz, ktoś, kto zna się na rzeczy, mnóstwo diagramów i tak dalej. Trzymałam ten artykuł od pewnego czasu, czekając, aż samobójstwa będą na

fali, i teraz nadarza się znakomita okazja. Ale wiadomości nie chcą mi dać tych zdjęć. No cóż, trudno. Ale ja mogłabym je opublikować w kolorze, a w dziale wiadomości będą czarno-białe. Mam wolne pół strony w kolorze. Może uda mi się tam wsadzić zdjęcia z tego balu na rzecz domu starców. Tak, ten tekst jest świetny, Colm – powiedziała, machając przyniesionymi przez niego kartkami. – Bardzo, bardzo dobry. Gratuluje. Naprawdę masz rękę do tych rzeczy.

– Daj spokój – mruknął Colm.

Pochlebia ci, chłopie.

– Musisz się nauczyć przyjmować komplementy – powiedziała Deirdre, przyklepując włosy i odchylając się na oparcie fotela.

Colm nie lubił tej całej Deirdre ani trochę. Wniosła do biura atmosferę napięcia, pośpiechu. Typową dla nowego

pokolenia. Wszyscy zaczęli się zachowywać tak, jakby od ich pracy zależało czyjeś życie. Jakby pisanie czy poprawianie tekstów było co najmniej operacją mózgu. Deirdre najwyraźniej nie zdawała sobie sprawy, że „Grub Street Gazette” to pies, dział „Styl życia” to pchła na tym psie, a jego rubryka to ameba na pchle. Po co robić tyle zamieszania wokół czegoś, co jest zupełnie bez znaczenia?

– Do zobaczenia w przyszłym tygodniu – powiedział Colm, odwrócił się i ruszył do drzwi, pocieszając się myślą o kwocie, która w magiczny sposób pojawiała się co tydzień na jego koncie bankowym.

– A tak przy okazji – powiedziała Deirdre. – Była tu dzisiaj jakaś kobieta. Szukała Mary Jane Murphy. Bardzo dobrze ubrana. Miała na sobie kostium za osiemset funtów. Wiem, bo sama go mierzyłam u Pia Bang w ubiegłym

tygodniu.

– Och.

– Nie, żebym ubierała się w tym przedziale cenowym, przy mojej pensji. – Śmiech – cha, cha, cha – oczy wzniesione do nieba. – Ale zawsze można pomarzyć, prawda?

– Co powiedziała?

– Tylko tyle, że musi się zobaczyć z Mary Jane Murphy. Była bardzo uparta i trochę niegrzeczna. Udało jej się tu wejść, bo opowiedziała portierowi jakąś historyjkę o poprawce tekstu do reklamy – najwyraźniej wie, jak się załatwia takie sprawy.

W każdym razie nic jej nie powiedziałam. Ale dała mi kopertę zaadresowaną do MJM, więc chyba powinnam oddać ją tobie. Wyciągnęła zwykłą białą kopertę ze starannie wydrukowanym napisem poufne w rogu.

– Dzięki – powiedział Colm.

Deirdre przytrzymała kopertę.

– Nie otworzysz? Umieram z ciekawości.

– Jak widzisz, to poufne – odparł Colm, wyrwał jej kopertę lekkim szarpnięciem, po czym włożył do kieszonki na piersiach. Lubił irytować Deirdre i korzystał z każdej nadarzającej się okazji, żeby ją wkurzyć. List zawierał pewnie notę dla prasy czy coś równie nieistotnego. Spece od PR często zadają sobie wiele trudu, by takie rzeczy trafiały bezpośrednio do rąk dziennikarzy piszących rubryki towarzyskie. Zwłaszcza ci młodzi, którzy od niedawna pracują w tym fachu. Po paru latach harówki przyjmują bardziej stosowną postawę.

W tej chwili Cornelius, fotograf, wszedł do biura z dużą szarą kopertą w ręce.

– Musiałem je wysuszyć suszarką do

włosów.

Colm rzucił okiem na zdjęcia. To co zawsze, krwawa mozaika strzaskanych kości.

– Dobranoc wszystkim.

Wstydzę się podpisywać te teksty własnym nazwiskiem. Dlaczego? Czy dlatego, że w głębi duszy uważam, że jestem na to za dobry? Chyba nie. Nie mam dla siebie aż tyle szacunku. Nie, po prostu jestem snobem.

Poszedł do Davy Byrne's. O szóstej miał się tam spotkać ze swoim przyjacielem Davidem, żeby wypić parę głębszych przed kolacją w jakiejś eleganckiej knajpie, którą zje na koszt Davida. Było wpół do piątej, przyszedł trochę za wcześnie. Zamówił kawę, bo nie chciał za bardzo wyprzedzić przyjaciela. David był bardzo bogaty. Jego portfel wypełniały karty kredytowe. Mnożyły się

tam. Colm posługiwał się wyłącznie gotówką. Czuł, że gdyby posiadał kartę kredytową, mógłby dopuścić się strasznych rzeczy w nocnych klubach, gdzie podawano szampana.

Z Davidem Blakiem chodzili razem do szkoły. Colm polubił go, bo na początku było mu go żal. David miał jedną nogę trochę krótszą i musiał nosić specjalne buty; co dla dorosłej osoby jest tylko drobną niedogodnością, a dla małego chłopca katastrofą towarzyską. Utykał lekko. Ich drogi, jako dwóch odszczepieńców, zeszyły się zaraz na początku szkoły średniej. Colm był wyrzutkiem, ponieważ jego babcia opłacała wysokie czesne tej kosztownej szkoły, nie miała natomiast zamiaru płacić za elegancki dom, ubrania, sprzęt sportowy i dobrane do niego kolorystycznie skarpetki, dzięki czemu jej wnuk mógłby

lepiej pasować do tego miejsca. Żaden z nich nie grał w rugby, David z powodu swojej ułomności, Colm dlatego, że nie mógł znieść faktu, iż został wybrany do drużyny jako ostatni. Wolał więc siedzieć z Davidem na ławce, gdzie pozwalali sobie na ironiczne komentarze. Byli nierozłączni i wkrótce stali się nietykalni. Rodzina Davida była bardzo bogata, Colm często przesiadywał w ich domu. Uczył się zachowywać jak bogacz. W ostatniej klasie wraz z Davidem należał do ścisłej elity towarzyskiej. Colm nauczył się rozmawiać w taki sposób, by szybko zdobywać ludzi. Wyszkolił się w udawaniu.

Często siedzieli razem na murku koło publicznej szkoły koedukacyjnej i przyglądali się wychodzącym z niej o wpół do czwartej uczniom. Wszyscy nosili dziwaczne swetry i śmieszne fryzury, a kilku z nich jeździło na wózkach

inwalidzkich (szkoła ta, jako jedyna w okolicy miała podjazd dla wózków). Jeden chłopak chodził w prującym się swetrze, który z dnia na dzień robił się coraz krótszy, aż w końcu zostały mu tylko rękawy i mały kawałek przy szyi. Krótsza noga czy zwykłe ubóstwo nie wystarczały, by wyróżnić się w tej paradyzie odmieńców.

A dziewczyny ze szkoły publicznej były fantastyczne. Fantastyczny był już sam fakt, że w ogóle były tam jakieś dziewczyny. Ich rodzice należeli do klasy pracującej. Dziewczyny zachowywały się przyjaźnie, nosiły krótkie spódniczki i paliły papierosy. No i nie kryły fascynacji Colmem i Davidem. Chłopcy w blezerach i krawatach drogiej prywatnej szkoły jawili im się jako egzotyczne stworzenia. W ciągu trzydziestu lat przyjaźni Colm i David tylko raz naprawdę się pokłócili. Chodziło wtedy o dziewczynę z tamtej

szkoły. Nazywała się Emmeline.

– Noszę imię jednej z pierwszych feministek, która walczyła o prawa kobiet. Moja staruszka jest samotną matką i jest z tego dumna.

Zdumiewająca dziewczyna. Pochodzenie z niepełnej rodziny w latach siedemdziesiątych to było coś.

Colm skupił całą swoją siedemnastoletnią energię hormonalną na pyzatej Emmeline. Ona jednak skupiła całą swoją energię hormonalną na Davidzie, który coraz bardziej upodabniał się do Byrona.

– Leci na ciebie, bo jesteś kaleką. Dziewczyny lubią kalekich, bo lubią bawić się w pielęgniarce.

Colm powiedział to, żeby zranić Davida. David nie odpowiedział, tylko wsiadł na rower i odjechał. Ale Colm miał rację. Emmeline skłoniła Davida do zdjęcia

spodni, żeby móc się przyjrzeć jego krótszej nodze. Nie chciała go urazić, powodowała nią po prostu naukowa ciekawość. Miała zamiar zostać lekarką. Osobie noszącej imię pierwszej sufrażystki nie wystarczyłby kitel pielęgniarstwa.

David musiał się uporać z pierwszym z wielu uczuciowych rozczarowań. Wzajemne stosunki Colma i Davida ochłodziły trochę w tym czasie, wkrótce jednak wszystko wróciło do normy. Pragmatyzm. Wiedzieli, że są sobie potrzebni, by przetrwać.

Teraz David miał mnóstwo własnej forsy. Zajmował się wieloma rzeczami i ze wszystkim świetnie sobie radził. Miał kilka klubów nocnych, sieć restauracji, a ostatnio otworzył też parę agencji towarzyskich. Forsa tatusia pomogła mu na starcie, ale nauka w prywatnych

szkołach nie poszła na marne i David zdołał pomnożyć rodzinne zasoby. Tatuś, człowiek bardzo religijny, nie był zachwycony inwestycjami Davida. Od lat codziennie przyjmował komunię i należał do Opus Dei. Zapanowały między nimi napięte stosunki.

David był dla Colma głównym źródłem informacji. Lubił trzymać rękę na pulsie i odwiedzał swoje lokale prawie codziennie. Pracownicy donosili mu o wszystkim: kto przyszedł, kto się z kim spotkał i tak dalej, a David przekazywał najświeższe wieści Colmowi, który robił z nich użytek w swoich felietonach. Oczywiście David był bardzo dyskretny, Colm także, więc prawie nikt nie wiedział, że kryjący się po kątach goście nocnych lokali są bacznie obserwowani.

Colm dostał kawę i usiadł przy stoliku. Zazwyczaj wolał stołki przy barze, ale

posłuchał rady lekarza i wybrał krzesło z oparciem. Plecy bolały go trochę mniej, pewnie za sprawą leków, ale miał zatwardzenie od czasu, kiedy zaczął je przyjmować. Czyli od ośmiu dni. Lekarz wspomniał, że zaparcie może być skutkiem ubocznym. Colm był teraz przepełniony kałem.

Wyciągnął kopertę wydartą ze szponów Deirdre (prawdziwych szponów, długich ciemnych pazurów) i otworzył ją, spodziewając się jakiejś broszury reklamowej, ale w środku był ręcznie napisany list, wydzielający delikatny zapach perfum.

Longbrook

Howth Hill Rise

Tel. 770 9983

Droga Mary Jane!

Czytuję Twoje felietony od wielu lat i uważam, że są bardzo zajmujące i dowcipne. Zawsze zaczynam czytać gazetę od Twoich tekstów. Uwielbiam plotki, a to, co najbardziej podoba mi się w Twoich, to fakt, że plotkujesz o całym kraju. Właściwie tylko z tego powodu kupuję tę gazetę. Twoje teksty są takie urocze i pełne interesujących spostrzeżeń. Naprawdę udało Ci się uchwycić styl współczesnej samotnej kobiety.

W ubiegłym miesiącu nie było mnie w kraju przez parę tygodni, a kiedy wróciłam, znalazłam w Twoim felietonie z jedenastego stycznia wzmiankę o moim mężu Jamesie Carterze. Wszyscy moi przyjaciele i znajomi wycięli dla mnie tę stronę, mam ich teraz dziesięć. Bardzo chciałabym zadać Ci kilka pytań. Zapewniam absolutną dyskrecję. Bardzo mi na tym zależy. Mam nadzieję, że się

*zgodzisz, w imię siostrzanej solidarności.
Proszę, zadzwoń do mnie na podany
powyżej numer, najlepiej jeszcze dzisiaj,
jeśli to możliwe.*

*Szczerze oddana
Sally Carter*

Hm. Naprawdę dziwne. MJM dostała już wiele epistoł od prawników, anonimów z pogróżkami i trudnych do odczytania gryzmołów od osób podających szpital psychiatryczny w miejscu adresu nadawcy, ale nikt jeszcze nie zwracał się do niej z tak bezpośrednią prośbą. Colm uśmiechnął się pod nosem na te wszystkie pochlebstwa. Zastanawiał się, czy są szczerze, czy ta kobieta jest kompletną idiotką i naprawdę podobają jej się felietony, czy też chciała się przypodobać w nadziei na przychylną odpowiedź. Nie

wiedział, co o tym sądzić. Włożył list do kieszeni, żeby wrócić do niego później.

Do baru wszedł David.

Czyżby zaczął bardziej utykać?

Piątkowe wieczory, które często spędzali razem, były bardzo cenne dla nich obu. David chełpił się wtedy swoimi sukcesami, a Colm dawał mu do zrozumienia, że mało go to obchodzi. Niepohamowane samochwalstwo jest ulubioną rozrywką trzynastoletków, a tych dwóch zachowało dość ze swej trzynastoletniej natury, by nadal z upodobaniem mu się oddawać. Przepadali za tym.

– Co słyszeć?

– Świetnie, tak dobrze jeszcze nie było. Zarabiam kupę forsy. Agencje towarzyskie przynoszą wielki dochód. Tego właśnie potrzebuje ten kraj! Trochę bara-bara! – David wykonał kilka wymownych gestów.

– Restauracje też dobrze sobie radzą. Żarcie zawsze przynosi pieniądze. Myślę o tym, żeby kupić jacht i popływać trochę po Morzu Śródziemnym. A co u ciebie?

– Fantastycznie, jestem szczęśliwy jak świnia w gównie, cieszę się życiem. Pracuję, trochę tu, trochę tam. Dostaję różne fuchy. Znasz mnie.

I zamawiali parę piw. David pił niewiele, ale wszystkie dozwolone jednostki alkoholu rezerwował na wieczory z Colmem. Wiedział, że nie powinien, ale pił, a następnego dnia wypacał alkohol na swoim jadącym donikąd rowerze. Był w dość dobrej formie, mimo krótszej nogi.

– Żona zdrowa?

– Janet? Chyba tak. Właściwie to nie wiem. Z zewnątrz wygląda dobrze. A jak eee... eee...

– Catherine. Świetnie, wiesz, naprawdę

świetnie. Zaczynamy to traktować coraz poważniej. Nigdy jeszcze nie spotkałem kogoś takiego jak ona.

David był niestrudzonym wojownikiem w wojnie plemników. Ożenił się młodo, a pierwsza pani Blake obdarzyła go dwoma słodkimi dziećmi, które zdążyły się już przeistoczyć w skrzywione nastolatki. Owocem romansu z pewną Francuzką, w jaki wdał się po trzydziestce, było kolejne dziecko, siedmioletnia obecnie dziewczynka, która przyjeżdżała w odwiedziny do papy dwa razy do roku. Miała na imię Adele. Dwa lata temu romans (skandaliczny) z dziewiętnastoletnią pracownicą (kelnerką) zaowocował małym chłopcem o imieniu Jason. David zawsze spełniał wszystkie swoje rodzicielskie zobowiązania finansowe, a czasem także emocjonalne.

Dlaczego ja tego nie potrafię? Dlaczego

nie umiem funkcjonować w emocjonalnym chaosie?

David był dość mile widziany w domach wszystkich trzech kobiet, chociaż tylko dziewiętnastolatka, która miała teraz dwadzieścia jeden lat, nie odseparowała go od łoża.

– Bigamia bardzo mi odpowiada. Powinienem być mormonem albo Beduinem czy kimś w tym stylu.

W życiu Davida była też kobieta dojrzała, Rose, która regularnie przychodziła do jego mieszkania, sprzątała i prała. Rose dobiegała pięćdziesiątki i była właściwie jedyną kobietą, którą traktował poważnie. Jedyną, którą bał się utracić, bez której nie dałby sobie rady.

– Musisz poznać Catherine. To jest to. Bardzo chciałbym wiedzieć, co o niej sądzisz. Wydaje mi się, że to ta jedyna, rozumiesz.

Prawdę mówiąc, David był pełen entuzjazmu w stosunku do każdej swojej nowej dziewczyny. Beznadziejny romantyk. Przychodził do nich, uginając się pod wielkimi bukietami kwiatów.

– W ubiegłą sobotę pierwszy raz poszliśmy do łóżka, i mówię ci, prawdziwa eksplozja.

Ale kobiety, które go pociągały, zawsze przypominały reklamy ubrań.

– Miałem orgazm, który odczuło chyba kilka pokoleń moich przodków. Catherine jest taka piękna! Jak z obrazka!

David naprawdę chciałby chodzić z kolorowym magazynem.

– Wiesz, że nie jestem z tych, co od razu ciągną dziewczynę do łóżka. Nie spieszę się. Większość mężczyzn popełnia ten błąd. Ja zwlekam, i kiedy w końcu zaczynam o tym myśleć, same się o to proszą.

Mimo wszystko jednak rejestr jego podbojów prezentował się tak fatalnie, że Catherine musiałaby być wyjątkowo tępą optymistką, żeby dać się nabrać.

Wieczór rozwijał się zgodnie ze zwyczajem, który dotyczył wszystkich tych wieczorów. Wypili sporo piwa w barze, a potem poszli do restauracji, gdzie zamówili stek z frytkami i więcej piwa. A potem poszli do Candelabra, jednego z nocnych klubów Davida, i wypili szampana w jego biurze, rozmawiając o piłce nożnej i życiu seksualnym Davida. Uwielbiał opowiadać o swoich kochankach. Colm zastanawiał się nawet, czyjego przyjaciela nie woli przypadkiem o nich rozmawiać, niż się z nimi spotykać. Co do Davida dziwne było także to, że właściwie nie miał przyjaciół poza Colmem. Nie miał kolegów, miał tylko

pracowników. Owszem, spotykał się ze znajomymi z pracy na gruncie towarzyskim, chodził z pracownikami do pubu i nawet miło spędzali czas, ale zawsze to on musiał wszystkim stawiać. Płacił za ich drinki i nigdy nie mógł pozbyć się uczucia, że tolerują jego obecność tylko ze względu na swoje pensje. Coś w rodzaju towarzyskiej prostytutki. David, niczym Goliat rajfurów, królował w barach wśród swoich faworytów.

Sobota

Colma obudziło palące pragnienie i dwie nieletnie osoby skaczące po wielkim łóżku. Był sobotni poranek i maluchy natarły na sypialnię. Spojrzał na zegarek. Jedenasta. Janet udało się do tej pory utrzymać je w ryzach. Pozostawione same sobie wtargnęłyby tu o ósmej. Siedziały teraz na jego pograżonym w półśnie ciele i grały w łapki. John włączył telewizor i zmieniał kanały tak długo, aż znalazł *Yukki Teddies*, swój ulubiony program poranny. June chciała oglądać coś innego, *Xenę*, *lesbijską wojowniczką* czy coś w tym rodzaju. John wepchnął pilota pod Colma. Oboje dali potem nurka pod kołdrę. Ktoś kogoś uszczypnął, ktoś został pociągnięty za włosy i po chwili rozległ się przeraźliwy wrzask, straszne pulsujące

crescendo. Colm posadził dzieciaki, jedno po swojej prawej stronie, drugie po lewej, i przełączył telewizor na sympatyczny program przyrodniczy o wydrach wędrujących w dół i w górę rzeki. Dzieci ucichły.

Spojrzał na nie. June wtuliła się w jego lewą pachę i ssała kciuk, John przytulił się do jego drugiego boku, przygryzając dolną wargę, co świadczyło o tym, że jeszcze niedawno był bardzo zły. Ślicznie pachnieli. Oboje mieli okrągłe twarze swojej matki o anielskich rysach i jej wielkie oczy, ale włosy ciemne, jak Colm.

Parę drobiazgów wskazuje, że miałem swój udział w tym przedsięwzięciu. John wysuwa dolną wargę tak jak ja, a June ma ten błysk w oku, uroczy, a jednocześnie przebiegły. Zostawiłem swój ślad.

Colm kochał te dzieci bardziej, niż się spodziewał. Wybrał im imiona. John dostał

imię po dziadku Colma, a June po matce Janet, mimo protestów Janet. Po katastrofie, jakim było jego zdaniem imię Cordelii, chciał, by jego dzieci nosiły staroświeckie imiona, które nie oznaczały nic poza staroświecką ideą odradzania się w przyszłych pokoleniach.

Drzwi sypialni otworzyły się i weszła Cordelia, niosąc wielką tacę na czterech nóżkach.

– Mama powiedziała, że idzie na zakupy.

Sobotni rytuał. Zawsze jeździła na zakupy w soboty. Kiedyś Colm robił zakupy razem z nią. To znaczy jechał z nią do centrum handlowego, gdzie siedział z gazetą w barze nad filiżanką cappuccino. Ale pomagał Janet zanosić siatki do samochodu.

Cordelia uśmiechnęła się słabo do Colma i wyszła.

– Dzięki, Cordy.

Taca była pięknie nakryta. Colm poczuł wdzięczność i wyrzuty sumienia. Przypomniawszy sobie mgliście, że wrócił koło czwartej nad ranem i próbował wziąć Janet od tyłu. Po prostu strząsnęła go z siebie. Zresztą i tak zrobił to bez większego przekonania. W taksówce doprowadził się do szału z powodu braku pożycia małżeńskiego i postanowił, że rozwiąże ten problem, kiedy wróci do domu. Wszystko przez Davida. Po kilku głębszych David był jak pornograficzna stacja radiowa. Język mu się rozwiązywał i zaczynał opisywać wszystko ze szczegółami. Bardzo dokładnie. Pikantne historie, gorące plotki. Nic dziwnego, że Colm wrócił do domu w takim stanie i próbował wślizgnąć się na zakazany teren tylnymi drzwiami. A jednak, mimo jego obrzydliwego zachowania, Janet zadała

sobie tyle trudu, by przygotować dla niego śniadanie.

Nie jestem tego wart.

Kilka dni temu złożył raport dotyczący zastoju w jelitach, co znalazło odbicie w składzie śniadania. Dostał budyń z suszonymi śliwkami, a zamiast płatków z cukrem, które zwykle jadał, na talerzyku leżały otrębowe ciasteczka, wyglądające jak kozie bobki. Nie było kiełbasek ani żadnej wędliny, tylko trochę nadwierzęzone jajko na miękko i smażony pomidor na bardzo zdrowym pieczywie z pełnego ziarna. Ale obok stała duża szklanka gazowanej wody mineralnej z mnóstwem lodu.

Na kaca, bo wie, że mam kaca. Kto mógłby wiedzieć lepiej?

Colm przeżuwał śniadanie, które okazało się zaskakująco smaczne. Tak, stanie się lepszym człowiekiem. Będzie

jadł więcej błonnika. Nie przepadał za suszonymi śliwkami, ale zjadł kilka, a resztą podzielił się z dziećmi, które piszczały radośnie, wypluwając pestki w chusteczkę Colma.

– Uwielbiam pluć – oznajmił John. – Zwłaszcza wtedy, kiedy mi wolno.

– Nienawidzę Johna, ale i tak lubię go najbardziej na świecie, zaraz po tobie i mamusi – powiedziała June. – A po nim jest Cordelia i Ronan Keating z Boyzone.

– Masz dopiero sześć lat. Jesteś jeszcze za mała, żeby interesować się Boyzone.

– Mam sześć lat i pięć miesięcy. W Hiszpanii sześćioletnie dziewczynki wychodzą już za mąż.

– Nieprawda.

– Kiedyś tak było. Ich mamusie i tatusiowie wybierali dla nich chłopca i żenili, ale nie wolno im było ze sobą mieszkać, aż dopiero później. Dużo

później. Może jak już miały osiem lat.

– Kto ci to powiedział? – spytał Colm.

– Cordelia. Czytała o tym w książce.

Nie mogę uwierzyć, że wczoraj próbowałem dobrać się do Janet. Jezu.

– Ja mam osiem lat – powiedział John.

– Nie cierpię Johna też dlatego, że jest chłopcem. Chciałabym, żeby go żywcem pogrzebali i żeby robaki go zjadły.

– Nie cierpię June, bo jest dziewczynką i ciągle płacze.

– Wyobraź sobie, że żywcem zjadają cię robaki. Wyobraź sobie.

– Dosyc – przerwał im Colm. – Popatrzcie na te śliczne wydry. Tatuś wydra idzie odszukać zagubione dziecko. No, patrzcie tylko.

Dzieci usłuchały go i ucichły. Wspaniale. Był zachwycony faktem, że zawsze potrafi je skutecznie uciszyć. Była to jedna z niewielu rzeczy, z których był

naprawdę dumny. Z władzy nad dziećmi w wieku od sześciu do ośmiu lat. Siedziały grzecznie i oglądały program.

– Wróciłam! – zawołała Janet z dołu, szeleszcząc plastikowymi reklamówkami.

– Słodczyce! – wrzasnęły dzieci unisono, wyskoczyły z łóżka i wypadły z pokoju. Żadnych sentymentów. Rozkoszne.

Colm przewrócił się na bok i naciągnął kołdrę na pulsującą bólem głowę.

Od poniedziałku zacznę nowe życie. Wezmę się do porządnej pracy. Usiądę i napiszę coś wartościowego, cokolwiek. Jestem lepszym człowiekiem, niż mi się wydaje. Będę... chrrrr...

Colm obudził się, przewrócił na drugi bok i poczuł nagłe poruszenie w jelitach. Zanosilo się na potężną defekację. Pamiętając o bólu głowy, powolutku ruszył w stronę przylegającej do sypialni

łazienki, spodziewając się poważnej akcji odbytowej. I nie zawiódł się.

W toalecie zabawił dłuższą chwilę. Lubił siedzieć na sedesie i wietrzyć swoje części intymne. Wstał w końcu i spojrzał w lustro.

Brakowało połowy lewej brwi. Zły znak. Miał zwyczaj szarpać lewą brew, kiedy był zestresowany. Wyglądał bardzo mizernie. Dlaczego David o tym nie wspomniał? O braku jego lewej brwi? Zasięg wzroku Davida kończył się na czubku jego własnego nosa, oto dlaczego.

Do sypialni weszła Janet.

– Colm?

Skrzywił się.

– Jestem tutaj – odparł.

– Ruszyło cię?

– Tak, dzięki.

– To te suszone śliwki. Są świetne.

– Taaa, super.

– W takich przypadkach nie ma to jak suszone śliwki.

– Nie ma.

– Idę do Marie. Nie proponuję ci, żebyś poszedł ze mną, bo wiem, że jej nie lubisz.

Siostra Janet, Marie, to straszna jędza. Wszystkimi rządzi. Rządzi swoim mężem, rządzi Janet, rządzi mną. Rządzi dziećmiakami.

Colm zawsze wdawał się w dyskusje z Marie. Irytowały go jej uogólnienia. Spotkania na ogół kończyły się ostrą potyczką, ze stratami po obu stronach.

– Świetnie. Nie ma sprawy.

– To na razie.

W głosie Janet nie było cienia wyrzutu. To nie jest normalne. Ten spokój. Lepiej załatwić to od razu. Colm wyszedł z łazienki i spojrzał w pogodną twarz Janet. Tu też nie dojrzał urazy.

– Nie jesteś zła?

- Z jakiego powodu?
- Z powodu ostatniej nocy.
- A co się stało ubiegłej nocy?
- No cóż... – zaczął Colm.

– Zawsze po spotkaniach z Davidem wracasz do domu pijany o czwartej rano. Nie ma w tym nic niezwykłego.

– Ale chodzi mi o to, co robiłem. Nie jesteś na mnie zła?

– Chrupki ryżowe na podłodze w kuchni? No, za to się nie wiesz.

Och. Teraz sobie przypomniał. Kilka razy próbował nasypać chrupek do miseczki, ale nie udało mu się do niej trafić. Próbował je też po jednej pozbierać z podłogi, ale szybko uznał, że to niewykonalne.

- Chodzi mi o... coś innego.
- To znaczy co?
- To, co zrobiłem tobie.
- Nic mi nie zrobiłeś.

– Jesteś pewna?

– No cóż, objąłeś mnie ramieniem.

– To wszystko?

– Colm, coś musiało ci się przyśnić. Posłuchaj, lepiej już pójdę, i wezmę ze sobą maluchy. Cordelia doszło do wniosku, że też nie lubi cioci Marie, więc nie pójdzie z nami. Robi się bardzo trudna. To pewnie hormony.

– Mnie to mówisz?

– Od wizyty ojca dziwnie się zachowuje. Mam nadzieję, że jej przejdzie. Może nie powinnam była pozwolić jej się z nim spotkać. Ale chciała tego, a w książkach piszą, że trzeba pozwolić dziecku kierować się swoimi pragnieniami... Tak czy inaczej, jestem trochę niespokojna. No, muszę już iść.

Dziobnęła go w policzek i już jej nie było.

Więc wszystko to sobie wyobraziłem.

Wcale nie próbowałem dobrać się do Janet.

Był tym niejasno rozczarowany i postanowił spędzić jeszcze pół godziny pod kołdrą.

Mniej więcej dziesięć minut po wyjściu Janet do sypialni weszła Cordelia i usiadła na brzegu łóżka.

– Cześć – powiedziała.

Wyglądała jakoś inaczej niż zwykle. Nie miała na sobie gieźła z dzwoneczkami, tylko bardzo krótką spódniczkę.

– Cześć – odparł ostrożnie.

– Jak się czujesz?

Chce pieniędzy. A powinna wiedzieć, że Colm jest pod tym względem kiepsko wyposażony. No, może mieć jakieś drobne, ale nie poważną forszę. Janet, der Kommandant, trzyma rękę na poważnej forsie.

– Dobrze – powiedział.

– Ładna pogoda.

Gadka szmatka!

– Spróbuj – Cordelia podała mu brzoskwinie.

– Nie wiem, czy się odważę.

Pewnie ją zatrula.

– Nie ma dziwnego smaku?

Colm odgryzł kawałek i przeżuł go dokładnie. Teraz, po śniadaniu, uczucie niesmaku w ustach zelżało trochę. Brzoskwinia rzeczywiście miała dziwny smak. Była sucha. Niesmaczna.

– Tak, ma dziwny smak.

– To znaczy jaki?

– Chyba nie bardzo umiem opisywać smaki.

– Smakuje rybą?

– Tak. To jest to. Makrela. A może skarpetki?

– Myślę, że faszerują brzoskwinie genami ryb, żeby dłużej były świeże.

– To śmieszne.

– Jest luty. Sezon na brzoskwinie dawno minął. – Cordelia miała bardzo poważną, skupioną minę.

– Nie na południu – odparł Colm pogodnie.

– Czytałam o tym w „New Scientist”. Faszerują owoce rybimi genami.

– Żeby umiały pływać?

– Mówię poważnie – powiedziała Cordelia. Lekko zirytowana.

Nigdy w to nie wątpiłem...

– No, to co masz zamiar dzisiaj robić? – spytała.

– Och, sam nie wiem. Zobaczę. Mam parę rzeczy do zrobienia. A ty, co planujesz? – zagadnął kordialnie.

– Idę do Phoedry. Może pojedziemy do miasta, do Tempie Bar.

Bohaterki tragedii jadą do miasta. Czy są najlepszymi przyjaciółkami dlatego, że

obie mają takie okropne imiona?

– Przynieś tu moją marynarkę.

Cordelia przyniosła marynarkę i podała ją Colmowi, który otworzył portfel i spojrzał do środka. Po spotkaniach z Davidem zazwyczaj miał pieniądze, bo David z reguły płacił za wszystko. Kiedyś Colm unosił się dumą i nalegał, by pokryć część rachunków, jego duma topniała jednak w obliczu ogromnego uporu i ogromnego bogactwa Davida, a także własnego braku jednego i drugiego. Wyciągnął z portfela dziesięć funtów.

– Masz, nastolatko. Kup sobie tabletkę ecstasy.

Cordelia wzięła banknot i uśmiechnęła się niespokojnie.

– Dzięki. Kupię sobie płytę kompaktową czy coś – i z wesołym „pa, pa” wyszła z pokoju.

– Pa, Delio.

Dziwnie miutko. Będzie super, jeśli ten stan się utrzyma. Jeden problem z głowy.

Plotka

Plotka – niepotwierdzone fałszywe informacje, przekazywane z ust do ust, często fałszywe lub złośliwe; plotkować – rozpuszczać, powtarzać plotki; plotkarz – człowiek powtarzający, rozpuszczający plotki.

Colm zamknął słownik.

To właśnie ja. Dokładny opis. Rozpuszczam niesprawdzone informacje. Tyle tylko, że „rozpuszczać” nie jest odpowiednim określeniem. Sugeruje dynamizm, którego brak moim działaniom.

W czwartki, o drugiej po południu, Colm siadał za biurkiem do pisania swojego felietonu. W tygodniu zazwyczaj zbierał nowinki i zapisywał je na serwetkach i biletach autobusowych, a w czwartek siadał i składał je do kupy.

Grzebał po kieszeniach i wyciągał swoją barwną dokumentację. Niektóre notatki były dla niego kompletnym zaskoczeniem, gdyż często robił je pod wpływem alkoholu. Niektórych w ogóle nie mógł odczytać. W tym tygodniu niewiele zebrał. Zadzwoił do Luke'a Maysa.

– Luke? Siemasz, chłopie. Co słychać?

Dlaczego kiedy z nim rozmawiam, gadam jak Amerykanin?

Luke był hiperaktywnym specjalistą od kampanii reklamowych. Wolnym strzelcem. Colm miał z nim doskonały układ. Luke stawiał mu kilka piw, a Colm od czasu do czasu napomykał w *Mary Jane na parkiecie* o organizowanych przez Luke'a wydarzeniach kulturalnych. Luke miał promocję książki we wtorek i płyty w środę.

– Colm, Colm! Mój drogi! Naprawdę się cieszę.

Totalnie zniewieściałały.

– Zrób coś dla mnie, a będę cię kochał miłością wieczną. Mam tę pisarkę, która wprost nie cierpi reklamy. Robi, co może, żeby unikać rozgłosu. Jest tak nudna, że właściwie nic nie da się o niej powiedzieć. W średnim wieku, średniego wzrostu i należy do klasy średniej. Generalnie bardzo średnia. Z początku sądziłem, że to będzie czarny koń. Znasz mnie, wierzę w ludzi i nie mieściło mi się w głowie, że ktoś może być aż tak nijaki. Poza tym książka jest sprośna. Ale myliłem się. W każdym razie jej wydawca należy do moich najlepszych klientów i wystawia najlepsze czeki, więc jestem w kropce. A ona nie ma nic do powiedzenia. Wziąłem ją na próbę do lokalnego radia i szczerze mówiąc, nigdy dotąd nie słyszałem takiej ciszy. Nie puszcze jej na antenę, ale gdybyś mógł coś o niej napisać, będę ci

bardzo wdzięczny.

Zdumiewające, ale mimo wielu zakładów, jakie w tej sprawie obstawiono, Luke nie był gejem. Miał żonę i dwoje czy troje dzieci. Totalnie zniewieściały, ale totalnie heteroseksualny. Colm wiedział o tym, bo Colm wiedział wszystko.

– Przyślę ci coś faksem.

Faks przyszedł dwadzieścia minut później. Był pełen kłamstw, Colm nie miał co do tego wątpliwości. Niemożliwe, by na promocji zjawily się Spice Girls. Arnold Schwarzenegger przyjechał wprawdzie w tym tygodniu do miasta na otwarcie swojej restauracji, ale raczej nie bawił w klubie nocnym Moochies wśród gości nudnej pisarki.

Nie miało to większego znaczenia. Powszechnie przyjęte normy etyczne nie odnosiły się do rubryki Colma. Była poniżej tego poziomu.

Wasza oddana kronikarka gościła we wtorek na spotkaniu z Rosemary Hegarty, unikającą rozgłosu pisarką, autorką nowego rewelacyjnego thrillera *Odciski palców*. Podziwiałam właśnie jej przystojnego małżonka, kiedy nagle ujrzałam umięśniony tors samego...

Czwartkowe popołudnia wprowadzały trochę dyscypliny w życie Colma. Siadał przy biurku o drugiej i wstawał o piątej, odrobiwszy pisemną część swojej tygodniówki. Uwielbiał to i jednocześnie nienawidził. Z mieszanki odrazy do samego siebie i upokorzonej dumy rodziły się zdumiewające banały. Surrealistyczny kontrast. Męka, jaką przechodził, i bzdury, które były jej płodem. Kiedy zabierał się do pisania, w wyobraźni stawał się Mary Jane, bywalczynią nocnych klubów,

zwierzęciem imprezowym w wydaniu kobiecym. Widział ją dokładnie, włosy, ubranie, wysokie obcasy. Było to doznanie tak intensywne, że prawie czuł na sobie dotyk pończoch z lycrą, zapach lakieru do paznokci, wrzynające się w ciało fiszbiny biustonosza.

Nie cierpiał włączać komputera, a jednak musiał przyznać, że to przywilej zarabiać w ten sposób na życie. W ciągu tych paru krótkich godzin. Dlaczego nie potrafi wypełnić reszty swojego czasu pożyteczną działalnością? Cóż, powinien spojrzeć na to całościowo. Pisanie zajmowało tylko jedno popołudnie, ale by zebrać informacje, musiał przez cały tydzień siedzieć na stołkach barowych i rozmawiać z ludźmi. Prawdopodobnie gdyby zliczył wszystkie godziny, jakie na to poświęcał, okazałoby się, że pracuje na półtora etatu. Zwłaszcza jeśli wziąć pod

uwagę czas, który spędzał na leczeniu kaca. A kac był integralną częścią tego biznesu. Każdy wie, że aby wyciągnąć z ludzi naprawdę pikantną plotkę, trzeba ich najpierw dobrze zwilżyć. Trzeba zdobyć ich zaufanie, trzeba zapracować na to, by zwykła pogawędka nabrała rumieńców. Trzeba ich delikatnie łechtać, aż wypowiedzą magiczne słowa: „Cóż, właściwie nie powinienem nikomu tego mówić, ale... „.

Colm przejrzał swoje notatki i wśród kartek papieru znalazł list od Sally Carter. Z koperty uniosła się woń perfum. Zupełnie o tym zapomniał. Co z tym zrobić? Chyba zignorować. To jakaś zwariowana damulka zaniepokojona prowadzeniem się męża. Colm już nie pamiętał, co o nim napisał.

Sprawdził pliki. Trzymał wszystkie swoje teksty posegregowane według

miesiący. Sam nie miał pojęcia, po co to robi, skoro uważa, że nie przedstawiają żadnej wartości. Ale cenił je mimo wszystko. Choć bezwartościowe, były dowodem, że zarabia na życie jako pisarz. Grzebiący w kupie łajna, ale jednak pisarz. Znalazł tekst z jedenastego stycznia. Istotnie, był to tekst o Jamesie Carterze.

James Carter, magnat piwny, postawił waszej kronikarce drinka, kiedy płacił za całą kolejkę we wtorkowy wieczór. (Nie, nie piwo. Brandy i port. Lubię swoje krągłości). Samotna dziewczyna pomyślała, że uśmiechnęło się do niej szczęście. Już miałam rzucić mu się z wdzięczności do stóp, kiedy spostrzegłam, że ktoś mnie ubiegł. Pan Carter gruchał właśnie słodko, by nie rzec: migdalił się, z długonogą Anitą de Brun, sławą agencji Models Etc. Istotnie, nogi ma aż do szyi, więc nie mogłam z nią konkurować, jako

że moje kończyny dolne sięgają za ledwie...
sami wiecie czego... Może jestem krągła,
ale próżna...

Bez nazwy lokalu. Brzmiało jak historyjka przekazana przez Davida. Większość plotek z nocnych klubów docierała do niego dzięki uprzejmości Davida Blake'a. Wrzucił list do kosza.

Po chwili jednak, w akcie desperacji, wyjął zgniecioną kartkę i wygładził ją. Napisał do Sally Carter, okraszając litery nieco większą ilością zawijasów, proponując spotkanie. Podpisał: Mary Jane Murphy. Nie miało sensu podawać własnego nazwiska, które i tak nic by jej nie powiedziało. Poza tym mogłaby nie przyjść, a Colm doszedł do wniosku, że chce się z nią spotkać.

Może mógłbym pójść z nią do łóżka. Może zraniona pani Carter szuka

pocieszenia. Muszę korzystać z okazji, zanim będę na to za stary. Zanim stracę wszystkie włosy. Teraz wszystko się zmieni. Koniec z szarakiem.

Małżeńskie łoże

Łóżko było ogromne, dobre dwa metry na dwa. Można je było dzielić z inną osobą i nawet nie zauważyć jej obecności. Można je było dzielić z inną osobą i być przekonany, że śpi się samotnie. Kupili to bardzo drogie łóżko w pierwszym porywie szaleństwa wywołanego przez nieoczekiwany spadek. Sufit sypialni był wyłożony sosnowymi panelami, więc Colm często wpatrywał się w niego, szukając wzorów w rysunku drewna. Próbował się masturbować, ale bez powodzenia. W tym wydziale kiepsko się teraz wiodło. Brakowało Colmowi wigoru. Było coraz trudniej. Jako młody chłopiec chętnie oddawał się temu zajęciu, choć zarazem cierpiał katusze, przekonany, że za karę oślepie, spłonie w piekle, uschnie

mu ręka. Taki religijny terroryzm. W wieku szesnastu lat, podczas szczególnie energicznej sesji, naciągnął sobie coś w prawym ramieniu. Matka zabrała go do lekarza, który złowieszczo zdiagnozował przypadłość jako „nadwreżenie wywołane powtarzającą się czynnością”. Colm twierdził, że za dużo siłował się z Davidem, ale był przekonany, że „nadwreżenie wywołane powtarzającą się czynnością” w szyfrze znanym lekarzom i matkom oznacza słowo na „m”. Z jego pokoju zniknęło pudełko chusteczek higienicznych.

Ostatni raz współżył z Janet sześć i pół roku temu, kiedy była w ciąży. Później nie kochał się już z nikim. W tym czasie marszczył freda średnio trzy razy w tygodniu, jeśli miał chwilę dla siebie i nie męczył go kac. To oznacza, że zmarszczył freda mniej więcej tysiąc czternaście razy.

Nic dziwnego, że teraz brakowało mu energii.

Janet nie chciała z nim sypiać, ponieważ nie zgodził się na sterylizację. Miała straszne problemy w ciąży, nim urodziła June. Wszystkie jej ciążę wiązały się z takimi czy innymi problemami, ale ostatnia była wyjątkowo trudna. Pod koniec ciśnienie podskoczyło Janet tak bardzo, że pogotowie zabrało ją na cesarskie cięcie. Colm musiał przyglądać się całej tej procedurze, co jego zdaniem było równie okropne. Matka i dziecko byli bardzo osłabieni przez kilka miesięcy. Po tym doświadczeniu Janet postanowiła twardo, że „nigdy więcej”.

Colm przez pewien czas chodził na palcach wokół żony i niemowlęcia. Kiedy wydawało się, że wszystko wróciło do normy, poklepał pewnej nocy Janet po ramieniu, sugerując, żeby podjęli

przerwane życie seksualne. Wtedy Janet zaproponowała sterylizację. Powiedziała, że nie ufa już innym metodom – brała pigułkę, kiedy zaszła w pierwszą ciążę, kiedy poczęli Johna, używali prezerwatyw. Janet okazała się statystycznym wyjątkiem, odpornym na antykoncepcję, a za żadne skarby nie chciała znowu zająć w ciążę. Colm powiedział, że to przemyśli.

I przemyślał. I doszedł do wniosku, że nie może tego zrobić. Nie dlatego, że chciał mieć więcej dzieci, w ogóle nie o to chodziło.

Uwielbiał Johna, wówczas dwulatka, a mała June była najrozkoszniejszym stworzeniem, jakie można było sobie wyobrazić, jednak przy tej dwójce i ośmioletniej wówczas Cordelii mieli pełne ręce roboty.

Ale nie chciał poddać się wazektomii. I nie potrafił wytłumaczyć, dlaczego nie

chce. Janet była wściekła. Nie spodziewała się takiego oporu.

Colm naprawdę nie chciał mieć więcej dzieci. Ale chciał móc je mieć. Miał wrażenie, że ten potencjał dodaje sił jego biednemu ciału, wypełnia je magią. Ten potencjał był korzeniem łączącym go z ziemią. Jeśli stanie się bezpłodny, nie będzie ryzyka. Nie będzie adrenaliny. Zniknie jego ogniwo w łańcuchu pokoleń.

– Cóż, jeśli tego nie zrobisz, nie będzie seksu aż do chwili, gdy przejdę menopauzę.

Zasugerował, żeby to ona poddała się sterylizacji, podwiązała sobie jajowody czy coś w tym rodzaju, i zaraz pożałował, że w ogóle otworzył usta. Jej twarz poszarzała z gniewu. Spokojnie i dość rozsądnie przypomniała mu, że urodziła troje dzieci, z czego dwoje jego. Poza tym kiedy miała dwadzieścia lat, przeszła

operację nerki, a jeszcze wcześniej wyrostka robaczkowego. Po tym wszystkim jej pocięty bliznami brzuch wyglądał jak prawdziwe pole bitwy. A teraz on chciał, żeby poddała się kolejnej operacji tylko po to, by ułatwić sobie ponowne podjęcie współżycia, bo sam nie miał zamiaru iść pod nóż.

– Ale w razie czego, może mogłabyś usunąć ciążę.

Tej uwagi pożałował zaraz jeszcze bardziej.

– Nie chcę nigdy więcej słyszeć ani słowa na ten temat. Wybacz, ale w kwestii aborcji nie stać mnie na spokój. Za dużo się nasłuchałam, kiedy byłam w pierwszej ciąży. Wszyscy mnie namawiali, żebym usunęła, ojciec Cordelii też. I moi rodzice.

Biedna Cordelia. Już wtedy poróżniła tylu ludzi.

Colm porzucił temat, planując, że wróci

do niego, kiedy Janet minie poporodowa niechęć do seksu. Ale Janet była nieugięta, a on od czasu do czasu myślał o wazektomii. W szufladzie jego biurka w tajemniczy sposób pojawiła się broszura zatytułowana *Nadal mężczyzna*. Propaganda ruchu wyzwolenia kobiet.

Czy to Janet ją tu włożyła, czy też sam znalazł ją gdzieś po pijanemu, przyniósł do domu, a potem o tym zapomniał?

Ale ciągle nie potrafił się do tego przekonać. Czekał przez jakiś czas w nadziei, że Janet zmieni zdanie, kiedy jej libido wróci do normy. Wyglądało jednak na to, że jej libido zniknęło na zawsze. Wystarczy kilkoro dzieci, żeby kobieta straciła zainteresowanie. Wydawała się całkiem zadowolona z życia bez seksu. Zaczęła ćwiczyć jogę. Colm próbował ją zainteresować inną formą seksu (oralną), ale Janet nie miała do tego serca, więc w

końcu dał sobie spokój. Mniej więcej raz do roku rozważał możliwość operacji, ale nigdy się na nią nie zdecydował. Właśnie dlatego masturbował się tysiąc czternaście razy. Bardzo możliwe, że Janet zostało do menopauzy nawet dziesięć lat, a to oznaczało, że Colm zrobi to samodzielnie jeszcze co najmniej tysiąc razy, przy założeniu, że z wiekiem nie zacznie tracić kondycji. Dziesięć lat do następnego bzykania. Nie najgorzej. Sześć miał już za sobą. Na pewno wytrzyma.

Od tak dawna nie uprawiał seksu, że prawie zapomniał już, jak to jest. Często obiecywał sobie, że nawiąże z kimś romans. Z jedną z kelnerek Davida czy kimś w tym stylu. Będzie się z nią spotykał w ciasnych kawalerkach o ścianach wyłożonych poplamioną tapetą. Ale nawet gdyby znalazła się chętna, Colm nie miał pewności, czy byłby w stanie to zrobić.

Nie był urodzonym cudzołożnikiem.

To właśnie po burzliwych dyskusjach o wazektomii zaczęły go nawiedzać sny, w których nie miał penisa. Wtedy też zaczął tyć. Być może było to związane z wiekiem, on jednak uważał, że przyczyną nadwagi jest brak seksu. Pocieszał się jedzeniem. Zmysłowe przyjemności czerpał z herbatników, ciasteczek maślanych i pączków z dżemem. A także z dużych ilości guinnessa i papierosów. Ale miał już tego dość.

Jestem w kwiecie wieku, no, może ciut dalej. Jestem dojrzały, jak dobry ser. Jeszcze pójdę z kimś do łóżka. Choćby tylko raz, zanim umrę.

Spacer w parku

Colm wszedł do hotelu Herbert i natychmiast zorientował się, że kobieta w żółtym kostiumie siedząca na brzegu kanapy czeka właśnie na niego. Wyglądała tak, jakby wybierała się na ślub, elegancki kostium, mały kapelusik, rękawiczki, bardzo wysokie obcasy. Żółty kostium zdawał się jaśnieć własnym światłem. Colm miał ochotę włożyć okulary przeciwsłoneczne. Podeszedł bliżej i dostrzegł też świetnie utrzymane, jasne kręcone włosy. Piękna jak egzotyczny ptak. Szerokie wy watowane ramiona: piękno skryzalizowane gdzieś koło 1984, kiedy wyszła za męża. Teraz dobijała już czterdziestki i nie szła z duchem czasu. Podeszedł do niej.

– Sally Carter?

Odwróciła się i uśmiechnęła nagle, jakby za naciśnięciem odpowiedniego guzika.

– To ja.

Przypominała mu kogoś. Nie mógł sobie przypomnieć kogo, ale był pewny, że jest uderzająco podobna do kogoś, kogo dobrze znał. Może z telewizji?

– Cześć, jestem Mary Jane Murphy – powiedział Colm.

Sally Carter spojrzała na niego, przesuając wzrokiem po jego wymiętym ubraniu.

– Oczekiwałam raczej kobiety – odparła.

– Wiem, ale to właśnie ja piszę te felietony. Tyle że jako kobieta.

– Och, nie wiedziałam. – Sprawiała wrażenie trochę zniechęconej. – Pewnie wszyscy o tym wiedzą poza mną.

Westchnęła ciężko. Trochę oklapła.

Colm nagle uświadomił sobie, do kogo

była podobna. Wyglądała jak jedna z Aniołków Charliego. Ta miała z długimi jasnymi włosami.

– Tak czy inaczej, chciałabym porozmawiać, jeśli to możliwe. Przejdziemy się po parku?

Colm kiwnął głową, a Sally Carter wstała.

– Możesz w tym chodzić?

Uśmiechnęła się do niego.

– Całe życie nosiłam wysokie obcasy, więc w płaskich bołą mnie łydki. Mam nawet specjalne buty na obcasach do prac w ogrodzie. Zniewolenie przez modę!

Już zaczęła mówić o zniewoleniu! Dobry znak.

Weszli do parku, prawie pustego o tej porze. Tylko kilku zabłąkanych ekshibicjonistów i bezrobotny młodzieniec o dziwacznym wyglądzie krążyli po wyludnionych alejkach. Za to staw aż roił

się od kaczek. Sześć kaczorów uganiało się za jedną niedużą, ale wyraźnie pociągającą (dla osobników tego gatunku) kaczką, która robiła, co mogła, żeby im uciec. Był początek marca. O tej porze roku młode kaczozy marzą o zbiorowych gwałtach.

Zza chmur wyszło słońce i żółty kostium Sally rozjarzył się w jego świetle. Dla Colma było to już trochę za wiele. Włożył ciemne okulary od Calvina Kleina. Były to zupełnie zwyczajne okulary, które powinny kosztować najwyżej osiem funtów, ale kosztowały siedemdziesiąt z powodu małych literek CK umieszczonych na brzegu prawego szkła. Janet kupiła je dla niego w sklepie bezcłowym, wracając ze szkolną wycieczką z Francji. Sally spojrzała na okulary z aprobatą. Brylant w kupie łajna.

– Dziękuję, że zgodziłeś się na to spotkanie – powiedziała. – Wiem, że jesteś

bardzo zajęty i naprawdę to doceniam.

– Nic podobnego. Nie mam nic do roboty.

Nie należy mówić takich rzeczy.

– Nie wierzę – uśmiechnęła się Sally. – Przepraszam, trochę się zdenerwowałam na początku, ale oczekiwałam kobiety. Łatwiej mi rozmawiać o intymnych sprawach z kobietami. Wydaje mi się, że kobieta lepiej zrozumie kobietę niż mężczyzna. Nie sądzisz?

– Nie chcę generalizować, ale jeśli...

– Trudno nie traktować mężczyzn jak wrogów, bo oni zawsze trzymają się razem. Przepraszam, plotę bzdury.

– Nie przejmuj się, to oczywiście musiało być zaskakujące, że jestem mężczyzną. Nawet mnie to zdumiewa, cha, cha.

Mały żarcik na przełamanie lodów.

– No więc, chciałam zapytać ją, to

znaczy ciebie, o ten kawałek dotyczący mojego męża i Anity de Brun. Spytałam go o to i powiedział, że spotkał się w klubie Cody z Anitą, ale twierdził, że było to zupełnie niewinne spotkanie. Co oczywiście jest możliwe. Jednak moja kobieca intuicja podpowiada mi, że prawda wygląda trochę inaczej.

Szli powoli alejką prowadzącą nad stawem. Sally zatrzymała się nagle i rzuciła mu błagalne spojrzenie.

– Wyszłam za mąż piętnaście lat temu. Mamy dwoje dzieci. Przez pierwsze kilka lat było w porządku, choć szczerze mówiąc, dość nudno. A teraz... Nie sypiamy ze sobą już od dwóch lat...

Więc ty też?

– ... i doszłam do wniosku, że on ma romans. Nie mam dowodów, ale jestem prawie pewna. Intuicja, przeczucia...

Mała brązowa kaczka wskoczyła do

wody tuż przed nimi, wiodąc za sobą sznur kaczorów.

– Czy to możliwe, że to naprawdę było tylko przypadkowe spotkanie, że tylko rozmawiał z Anitą?

Colm nagle poczuł się nieswojo. Prawdę mówiąc, nie miał pojęcia, bo nawet nie widział tego spotkania na własne oczy.

– Sprawiali wrażenie, że... są ze sobą blisko? – Sally wyjęła z torebki wystrzępioną kartkę z artykułem. Co właściwie oznacza, że się „migdalili”? Czy w ogóle można się niewinnie migdalić? Trzymali się za ręce? Całowali się? Czy ona wsadzała mu rękę w spodnie? Kochali się na podłodze?

W głosie Sally brzmiała nuta hysterii. Zaciskała palce na swoim szaliku, aż bieleły jej kostki.

– Nie jestem pewny – powiedział Colm.

– No dobrze, to co właściwie widziałeś?

Colm doszedł do wniosku, że najlepszą taktyką będzie udzielanie możliwie mglistych odpowiedzi.

– Piszę plotkarskie felietony, pani Carter.

, Oficjalny ton może ją trochę uspokoić.

– Istotą plotki jest niejednoznaczność – ciągnął. – Rzadko opisuję stwierdzone fakty. Zajmuję się raczej spekulacjami. Plotka, która jest niezaprzeczalnym, udokumentowanym faktem, nie jest plotką.

– To moja siostra, do cholery! – wybuchnęła Sally Carter. – Anita de Brun jest moją siostrą. Naprawdę nazywa się Brown, tak jak ja, zanim wyszłam za mąż. Ale takie zwyczajne nazwisko nie było dość dobre dla modelki, o nie. A teraz nie wystarczy jej, że jest piękna i robi karierę, i jeździ najlepszym modelem bmw, chce jeszcze odebrać mi męża.

Gdybym wiedział, że Carter migdalił się

z siostrą swojej żony... To dopiero byłaby plotka.

– Cóż – mruknął Colm. – Nie wiedziałem o tym. To mogła być tylko zażyłość rodzinna. Jest tyle różnych rodzajów zażyłości. Łatwo można się pomylić.

– Powiedz mi dokładnie, co robili.

Kostium był ciut za ciasny, materiał naciągnął się odrobinę i między połami zakietu ukazywał się fragment koronkowej koszulki.

– Prawdę mówiąc, nie bardzo pamiętam.

– On był w ofensywie, czy ona? Założę się, że ona.

– No cóż...

– Zawsze dostawała wszystko, na co miała ochotę. Była najmłodsza i najładniejsza, więc wszyscy ją rozpieszczali. Wystarczyło, że wskazała na coś palcem i już to miała. Bardzo źle ją

wychowywano. – Sally zmrużyła oczy, a jej ładna twarz stężała.

A potem górny guzik zakietu odpiął się, ukazując otuloną koronkową materia śliczną białą pierś. Nie za dużą, nie za małą. W sam raz. Zmieściłaby się w jednej dłoni.

– Ona traktuje świat jak pudełko czekoladek, najlepsze wybiera dla siebie, a dla innych zostawia całą resztę.

Plusk!

Colm nie patrzył pod nogi. Jego prawa stopa najpierw zawisała na moment w powietrzu, a następnie z pluskiem wpadła do wody. Zaraz potem całkiem stracił równowagę i wpadł do stawu, boleśnie uderzając przy tym kroczem w twardą kamienną krawędź. Wrzasnął głośno z bólu, echo odbite od powierzchni stawu zwielokrotniło jego krzyk. Staw okazał się niespodziewanie głęboki, miał

przynajmniej półtora metra. Colm klapnął miękko na dno, a potem pozbierał się niezdarnie, kaszląc i plując. Wskoczył, upapwany mułem, ciągnąc za sobą zielone nici wodorostów. Nadal jednak, o dziwo, miał na nosie okulary Calvina Kleina, trzymały się niewzruszenie.

Sally stała na brzegu, lśniąc żółtym kostiumem, z wyrazem przerażenia na twarzy. A potem zaczęła chichotać.

– Och, przepraszam, nie powinnam się śmiać.

Colm też wybuchnął śmiechem.

– Tak mi przykro – powiedziała Sally. – Właśnie miałam ci powiedzieć, żebyś zszedł z tego murku. Zauważyłam, że idziesz tuż przy krawędzi.

Zaśmiał się, żeby ukryć zażenowanie. Śmiał się coraz głośniejsze. Ale ból w kroczu nasilał się z każdą chwilą i w końcu Colm zgiął się wpół.

– O Boże – powiedziała Sally. – Zaziebisz się na śmierć. Jest zimno.

Colm zatoczył się, jęcząc z bólu.

– Co ci jest? – spytała Sally.

– Uderzyłem się w... no wiesz... – Jakoś nie mógł się przemóc i powiedzieć „w jaja”.

– W co się uderzyłeś?

– W jaja. Uderzyłem się w krocze, wpadając do wody. Jezu, co za ból.

– Chcesz, żebym to obejrzała?

– Co?!

– W porządku, byłam pielęgniarką, zanim wyszłam za tego drania. Ludzkie ciało nie ma przede mną tajemnic. Wszystko już widziałam.

– Eee, lepiej nie – odparł.

– Chodź, zaparkowałam tu niedaleko. Podrzucę cię do domu, bo inaczej jeszcze dostaniesz zapalenia płuc.

Wyprowadziła go z parku.

– Tak mi przykro. To moja wina. Gdybym nie napisała, że chcę się z tobą spotkać, nie wpadłbyś do tego stawu.

Colm dostał dreszczy. Trząsał się z zimna. Marcowe słońce sprawiało, że dzień wydawał się ciepły, ale było to tylko złudzenie. Dotarli do wielkiego srebrnego audi. Sally wyłączyła alarm i posadziła Colma na przednim siedzeniu. Potem poszła do bagażnika, wyciągnęła koc w szkocką kratę i otuliła go nim. W końcu sama wsiadła do samochodu i włączyła ogrzewanie. Małe wnętrze wypełniły fale gorącego powietrza, ale Colm ciągle dygotał. Zaczął szczękać zębami.

Sally ruszyła z kopyta, nie zwracając uwagi na inne samochody i przechodniów. Niewiele brakowało, a przejechaliby kilku obywateli. Prowadziła fatalnie, mniej więcej po roku każdy z jej samochodów nadawał się tylko na złom. Sprawiała

wrażenie, jakby nigdy nie uczyła się jeździć, jakby pewnego dnia po prostu usiadła za kierownicą i wcisnęła gaz. Nie patrzyła w lewo ani w prawo, tylko grzała przed siebie, ufna, że inni kierowcy zdołają uniknąć kolizji z jej wielkim, drogim samochodem, a poduszki powietrzne odgradzą ją skutecznie od nakazów drogowej etyki.

– Będzie ktoś teraz u ciebie? – spytała.

– Myślę, że żona jest w domu. Jest nauczycielką, ale dzisiaj ma wolny dzień.

– Musisz zaraz wziąć szybką, gorącą kąpiel, żeby splukać z siebie wodę ze stawu. Potem idź z żoną do łóżka, przytul się do niej pod kołdrą, żeby się rozgrzać. To najlepszy sposób.

– Dobr-br-bra. – Colm dzwonił zębami.

Zatrzymali się przed domem. Colm wysiadł z samochodu i podszedł do drzwiczek od strony Sally.

– Popytam – powiedział. – Dowiem się, co robił, czy robi, twój mąż.

Sally napisała numer na kawałku papieru i wcisnęła mu go do ręki, dotykając przy tym jego dłoni w alarmująco intymny sposób.

– Mój nowy numer. Komórka – powiedziała, zaciskając jego palce wokół świstka.

I Colm pobiegł do domu ze słabą nadzieją na przytulanie się do Janet pod kołdrą.

Janet była tego dnia szczególnie czuła, napełniła więc wannę gorącą wodą, wlała do niej mnóstwo płynu do kąpieli, który pieniał się obficie, i została przez chwilę z Colmem w pełnej pary łazience.

– Nie wiem, jak to się stało. Nie patrzyłem pod nogi i nagle znalazłem się w stawie. Po prostu dałem nura do wody.

Poważna twarz Janet wyrażała głęboką troskę.

– Biedactwo. To musiało być okropne. Woda na pewno była bardzo brudna. W takich stawach żyją też szczury wodne.

– Naprawdę?

– Szczury wodne siusiają do stawów. Marian Jones, wiesz, nauczycielka matematyki, no więc jej syn wpadł do Liffey i zachorował na chorobę Weila. Musiał się nałykać szczurzego moczu.

Colm z rozkoszą nurzał się w tym oceanie współczucia. Rzadko trafiała mu się taka okazja.

– Po prostu szedłem sobie brzegiem stawu. Chyba za bardzo zbliżyłem się do krawędzi.

Często odczuwam ten pociąg do krawędzi, pragnienie, by zobaczyć, co jest poza nimi.

Kiedy był mały, bez przerwy wspinał się

na mury. Pamiętał, jak doprowadził matkę do szachu, kiedy wlaźł na balustradę wiaduktu kolejowego i uparł się, że po niej przejdzie. Był to pierwszy akt odwagi, jaki zapamiętał.

– Lubię balansować nad krawędzią i podświadomie szukam do tego okazji. Szukam wrażeń – uśmiechnął się bezradnie do żony.

Jestem żalonym szarakiem.

Janet namydliła mu plecy, a potem pierś. Tę owłosioną pierś, która kiedyś tak bardzo jej się podobała.

– Niewzruszenie kroczę po krawędzi świata.

Janet zaczęła myć mu głowę szamponem.

– Biedactwo – powiedziała przerażająco poważnie.

Naprawdę ani trochę cię to nie rozbawiło?

Ale miło było czuć jej ręce na ciele, jej czułe delikatne paluszki.

– Uderzyłem się dość mocno w krocze. Może byś to obejrzała?

Zaczynam posuwać się ciut za daleko. Wytarł się do sucha ręcznikiem i położył płasko na łóżku, rozkładając ręce i nogi.

– Tam na dole, w kość miednicy.

Janet delikatnie uniosła jego części intymne i uważnie zbadała obrażenia.

– Wygląda to strasznie – powiedziała. – Wielki czerwony siniak. Masz szczęście, że nie uderzyłeś się wyżej, bo mógłbyś sobie poważnie uszkodzić jądra.

Chciałabyś.

Poszła do łazienki, wróciła z tubką jakiegoś balsamu w ręce i zaczęła smarować nim Colma, który powitał to nowe doznanie entuzjastyczną erekcją. Optymistyczną erekcją. Rozpaczliwą erekcją. Potężną erekcją.

Na którą zupełnie nie zwróciła uwagi.

Skończyła nakładać balsam, który istotnie działał kojąco. Colm spojrział na nią błagalnie.

– Jak stolce? – spytała, zmieniając temat, który został, a jednocześnie nie został poruszony.

– Znacznie lepiej.

– Zdumiewające, co może sprawić mała zmiana diety. Wystarczy trochę błonnika.

– Moje stolce są teraz tak doskonałe, że myślę o pokazaniu ich na wystawie.

Ani cienia uśmiechu.

Jego członek przywiądnął. Był bardzo wrażliwy na tematy, jakie przy nim podejmowano. Janet wyszła i wróciła po chwili z ciepłą piżamą, rzuciła mu ją obojętnie. Colm patrzył, jak krąży po pokoju. Zaokrąglone ciało obleczone w nijaką, ciemną spódnicę i rozpinany sweter. Wyczuwalny, silny związek z

grawitacją. Janet była przyziemna, zakorzeniona w rzeczywistości. Colm przyglądał jej się chłodno.

O co chodzi? Kiedyś musiała istnieć między nami jakaś magia. Musiało łączyć nas jakieś uczucie, którego już nie ma. Po którym nie zostało ani śladu.

Zmarszczyła czoło. Robiła to zawsze, kiedy miała zamiar poruszyć jakiś trudny temat.

– Martwię się o Cordelię – powiedziała.

– Słyszałeś o takiej książce Valerie Solanis, nazywa się *Manifest feministyczny!*

– Tak. Lata sześćdziesiąte. Valerie Solanis stała się sławna, bo skrytykowała Andy Warhola. Pisała też, że mężczyźni to zdeformowane jajeczka. Jakieś takie bzdury. Była szurnięta.

– Cóż, Cordelia ma pod łóżkiem dwadzieścia egzemplarzy tej książki.

– A po co?

– Nie wiem. Martwię się o nią. Myślę, że spotkanie z ojcem było dla niej szokiem. Dopóki pozostawał tajemnicą, mogła udawać, że był wspaniały.

On z pewnością powstał ze zdeformowanego jajeczka.

– To taki wiek. Nastolatki muszą zachowywać się dziwnie. Pamiętam, jak moja matka znalazła pod moim łóżkiem świerszczyki i wezwała księdza, żeby odprawił egzorcyzmy. A wyrosłem na zupełnie normalnego człowieka.

Kwestia dyskusyjna.

– Nie wydaje się szczęśliwa. Nie ma w niej życia. Nawet włosy jej oklapły.

– Nie przejmuj się. Nic jej nie jest. Właściwie jest wyjątkowo rozsądna. Nawet nie pali papierosów ani nie bierze narkotyków. Wszystko będzie dobrze.

– Hm.

Janet kręciła się po pokoju jeszcze przez chwilę.

– Wypełniłam wniosek. Prawie cały dzień nad nim siedziałam. Jutro go składam.

– Chcesz, żebym rzucił na to okiem?

– Chyba nie ma potrzeby.

Przykre. Był czas, kiedy...

– Wiem, że mam małe szanse, jestem najmłodsza z kandydatów ze szkoły, ale nigdy nie wiadomo. Fakt, że jestem kobietą, może trochę pomóc. Wszyscy mówią, że trzeba zatrudniać więcej kobiet na kierowniczych stanowiskach – powiedziała, walcząc ze swoją pokorną naturą.

Moja żona postanowiła zostać dyrektorem szkoły. Nareszcie coś, czym można się będzie podniecać.

Janet wyszła, żeby zająć się domem. Ilekroć miała wolny dzień, spędzała go na

robieniu generalnych porządków. Jej standardy dotyczące utrzymania domu były niezwykle wysokie. Wszystko musiało zawsze lśnić nieskalaną czystością, jakby mieszkali na wystawie sklepu z meblami. Wszystko, poza gabinetem Colma. Tam wolno mu było odcisnąć piętno swojego niechlujstwa. Tam mógł czuć się szczęśliwy jak pies w swoim legowisku. Włożył szlafrok i powędrował do gabinetu, szukając pocieszenia.

Gabinet znajdował się na tyłach domu. Okna wychodziły na ogródek i niedawno zaczęłą budowę domków szeregowych. Colm i Janet sprzedali nawet kawałek ogrodu i dostali trochę pieniędzy, które Janet rozsądnie wydała na naprawę dachu, rynien i zewnętrznej stolarki. Zagospodarowywano każdy skrawek wolnej ziemi w okolicach centrum. Colm

spodziewał się, że pewnego dnia zostanie nową willę postawioną na środku skrzyżowania.

Usiadł w swoim nowym krześle. Der Kommandant kupił je na wyprzedaży w sklepie z meblami biurowymi, ze względu na te bóle kręgosłupa. Był to właściwie wielki, miękko wyściełany fotel z obiciem ze skóry, z regulowanym oparciem i pneumatyczną regulacją wysokości. Obracał się lekko, kiedy chciał po coś sięgnąć, a oparcie można było opuszczać do tyłu, żeby ulżyć plecom. Było to najwygodniejsze krzesło, w jakim kiedykolwiek siedział. Nareszcie coś zdrowego, co nie przysparza cierpień. Rozparł się w nim wygodnie i natychmiast zasnął.

Kiedy się obudził, mniej więcej pół godziny później, czuł się cudownie odprężony. Postanowił, że spróbuje coś

napisać. Sięgnął do dolnej szuflady i wyjął plik kartek. Był to zbiór pierwszych rozdziałów rozmaitych powieści, które usiłował napisać w ciągu wielu lat. Każdy z nich starannie spięty, z pierwszą stroną oznaczoną optymistycznym napisem Rozdział pierwszy. Miał dwadzieścia pierwszych rozdziałów. Niezła kolekcja.

Co za marnotrawstwo. Gdybym tylko trzymał się jednego tematu i pilnował kolejności rozdziałów, miałbym całą książkę. Jest tego wystarczająco dużo. Ale to nie jest książka. To zbiór dwudziestu pierwszych rozdziałów dwudziestu książek.

Przez chwilę rozmyślał nad możliwością połączenia tych różnych rozdziałów w jedną całość przez dopisanie odpowiednich fragmentów. Dzieło eksperymentalne, w stylu eee... neo... dadaizmu. Książka zupełnie pozbawiona sensu, ale stanowiąca

prawdziwe dzieło sztuki. Zaraz jednak zrezygnował z tego pomysłu. To na nic. Musi zacząć jeszcze raz od początku. Zebrał całą swoją odwagę, chwycił wszystkie swoje wydruki i wrzucił dwadzieścia rozdziałów do kosza na śmieci. Od razu poczuł się lepiej. Poczucił się oczyszczony. Włączył komputer. Rozdział pierwszy – wystukał.

A potem wpadł w trans i pisał w szaleńczym pośpiechu przez cztery godziny. Trawiła go twórcza gorączka. Jego palce z trudem nadążały za tokiem myśli. Słowa tłoczyły się, jedno za drugim. Czuł, że naprawdę zaczął coś ważnego. Pisał o kobiecie w żółtym kostiumie, której mąż romansuje z jej siostrą. O kobiecie wzgardzonej. Carla. Ma długie jasne włosy i bardzo wysokie obcasy. Był zadowolony, po raz pierwszy od wieków. Pisząc, czuł się taki szczęśliwy. Uwielbiał pisać.

Kiedy wybuch energii minął, kliknął „drukuj” i zszedł na dół nastawić wodę na herbatę. Jest pisarzem.

Jest nieudacznikiem. Lubi obserwować innych i robi to, kiedy tylko nadarzy się okazja. Ma bardzo niewielu przyjaciół. Pije za dużo i czuje się głęboko nieszczęśliwy. Został skrzywiony już w dzieciństwie przez despotycznych rodziców, którzy byli dla niego jak obcy. Posiada więc wszystkie atrybuty prawdziwego pisarza, poza tym że niczego dotąd nie napisał. Ale to się teraz zmieni. Zrobił sobie kubek herbaty i wrócił na górę.

W gabinecie doszedł do wniosku, że za bardzo się pospieszył i wyciągnął dwadzieścia wyrzuconych rozdziałów z kosza na śmieci. Włożył je z powrotem do dolnej szuflady biurka. Leżąc tam cicho, nikomu przecież nie szkodzą.

Wyjął z drukarki świeżo zapisane strony i ułożył je we właściwej kolejności. Siorbiąc herbatę, zaczął czytać. Ale tekst wydał mu się nijaki. Temat, do którego tak się wcześniej zapalił, teraz go nudził. Główna bohaterka, Carla, była niewiarygodna. Nie udało się. Nigdy się nie uda. Wstał z czarnego skórzanego fotela i przeszedł się po pokoju w nadziei, że z tej perspektywy jego własna proza wyda mu się lepsza, ale tak się nie stało.

Zebrał plik kartek, było ich osiem, ze starannie wydrukowanym napisem Rozdział pierwszy na wierzchu, i włożył go do szuflady z innymi pierwszymi rozdziałami. Teraz miał ich dwadzieścia jeden.

Podchody

Spotkałem się z jego żoną. Napisała do mnie. Poprosiła, żebym się dowiedział – tłumaczył Colm. – Och – mruknął David. – O ile wiem, to ostry zawodnik. Zawsze był kobieciarzem. Ta sprawa z Anitą de Brun jest chyba dość świeża, jak sędzę. Spytamy Statę. Ona zna wszystkie plotki.

– Wiesz, że Anita de Brun to jej siostra?

– Nie, nie wiedziałem. Mówisz poważnie? Ale jaja!

– To siostra jego żony.

– Chrzanisz.

– Naprawdę.

– Rozumiem, dlaczego jest taka wkurzona. Mąż, który ma romans z modelką, to jedno, właściwie normalka, ale jeśli ta modelka jest twoją własną siostrą, sprawa wygląda zupełnie inaczej.

Postanowili zrobić rundkę po nocnych klubach w nadziei, że uda im się przyłapać na gorącym uczynku męża, który zboczył z drogi cnoty.

– Jak Catherine? – spytał Colm.

– Kiepska sprawa. Powiedziałem jej o Adele i Jasonie. To znaczy, sama się dowiedziała. Miałem zamiar jej powiedzieć, ale jakoś nie mogłem. Wiedziała oczywiście o moim pierwszym małżeństwie, o Kenie i Davidzie. Ale nie wspomniałem o reszcie moich dzieci. Była w szoku. Jakiś plotkarz ją poinformował. Powiedziała, że nie chce mnie widzieć przez dwa tygodnie, bo musi to wszystko przemyśleć. Więc jestem trochę przygnębiony.

– Musiała się w końcu dowiedzieć. Ten kraj jest za mały, żeby utrzymać coś w tajemnicy. To miasto jest za małe. Żeby być prawdziwym cudzołożnikiem,

musiałbyś mieszkać przynajmniej w Londynie, a najlepiej w Nowym Jorku.

– Chciałem jej powiedzieć, ale czekałem, aż będę gotów. Cholerni plotkarze. Pieprzone plotki.

– Uważaj, David. – Colm spojrzał na niego ostro.

– Ty to co innego. To twoja praca. Ty jesteś zawodowym cholernym plotkarzem. Nie mam nic przeciw temu. Jest w tym jakiś cel. Wkurzają mnie ludzie, którzy rozsiewają plotki bez celu, dla zabawy.

Colm nie miał siły kłócić się z Davidem, który potrafił głosić sprzeczne poglądy, nie dostrzegając własnej niekonsekwencji. Poza tym Colm w duchu przyznawał mu rację. On także uważał plotkowanie za niskie, niegodne zajęcie. Najgorsze z najgorszych.

Ja jestem najgorszy z najgorszych. Nienawidzę samego siebie. I znajduję w

tym przyjemność.

Candelabra, klub nocny Davida i jedno z najmodniejszych miejsc w Dublinie, znajdował się przy końcu gęsto zabudowanej alei, w pobliżu Stephen's Green. Kiedy tam dotarli, klub był już pełny skąpo odzianych ludzi zajętych rytuałem godowym. Był to lokal dla dojrzałej klienteli. Żadnych nastolatków na ekstazie. Ludzie, którzy przychodzili się tu zabawić, oscylowali blisko górnej granicy skali zarobków i pili bardzo drogie trunki.

David zabrał Colma do biura na tyłach budynku i nalał mu kieliszek szampana. Byli już w wielu lokalach, ale nigdzie nie natknęli się na Jamesa Cartera. To miejsce było ich ostatnią szansą. Colm wychylił musujący płyn. Uwielbiał dobrego szampana. Uważał, że to najlepszy napój na ziemi.

– Chciałbym z tobą o czymś

porozmawiać, Davidzie. To bardzo osobista sprawa.

– Wal śmiało, stary.

– Chodzi o Janet. Przestała ze mną sypiać.

– Och!

– Boi się, że mogłaby znowu zająć w ciążę.

– Och.

– Więc czuję się trochę eee... sfrustrowany.

– Jezu, no tak, to zrozumiałe. Od jak dawna to trwa?

– Od sześciu lat.

– Co? Od sześciu lat! Jak ty to wytrzymujesz? Dlaczego wcześniej mi nie powiedziałeś?

– Nie byłem gotowy, żeby o tym rozmawiać.

– Jak ty to wytrzymujesz?

– Trzępię kapucyna.

- Jezu, chłopie, źle z tobą.
- A co mogę zrobić?
- Nie wiem. Nie możesz jej zmusić?
- Gwałt małżeński został uznany za przestępstwo. Jeśli ona nie chce, ja nic nie mogę na to poradzić.
- Nie o to mi chodziło. Miałem na myśli perswazję. Mógłbyś przestać dawać jej pieniądze na dom czy coś w tym stylu.
- Ona zarabia więcej ode mnie.
- Więc powiedz jej, że odejdziesz.
- Myślę, że specjalnie by się tym nie przejęła.
- No dobrze, więc czemu nie masz romansu?
- Tak, doszedłem do wniosku, że to najlepsze wyjście. Właściwie jedyne.
- Potrzebowałeś sześciu lat, żeby dojść do takiego wniosku?
- Tak. Chcę mieć romans z Sally Carter.
- No, no.

– Czuję, że mamy ze sobą wiele wspólnego.

– Dobrze, że spotkałeś kogoś, kto cię rajcuje.

– Sally jest bardzo ładna, ale nie wiem, czy mnie rajcuje. Ostatnio sam nie wiem, co myślę, co czuję.

– Cóż, czy ona cię podnieca?

– Tak, ale to nic nie znaczy. Wariatka z domu obok też mnie podnieca. Ty mnie podniecasz. Pies na ulicy, który kręci tyłkiem, mnie podnieca. Pod tym względem nie stanowią większego wyzwania.

Zadzwonił telefon.. Statia poinformowała ich, że James Carter przyszedł do klubu i dyskretnie skrył się w salonie. Colm zszedł na dół sam. Carter znał Davida, na pewno zaczęłyby z nim rozmawiać, David musiałby przedstawić mu Colma, który straciłby anonimowość.

Salon był zamkniętą częścią klubu. Żeby wejść na tę salę, należało mieć kartę członkowską, za którą trzeba było najpierw zapłacić mnóstwo pieniędzy. Albo dostać ją za darmo, jeśli kierownictwo uznało, że gra jest warta świeczki, co zdarzało się w przypadku grubych ryb, jednostek opiniotwórczych i tych, których obecność w lokalu przyciągała innych, jak garnek miodu przyciąga pszczoły. Wszystko ma swoją cenę. Colm zamówił piwo i usiadł na kanapie dokładnie naprzeciw Jamesa Cartera. Zdjął gazetę ze stojaka w rogu i ostentacyjnie zajął się czytaniem.

Carter sprawiał wrażenie człowieka, któremu dobrze się powodzi. Dość tęgi, w jasnym garniturze, który z pewnością często trafiał do najlepszej pralni chemicznej. Miał koło czterdziestki, trochę śmieszne czarne włosy sięgające ramion i

nerwowy uśmiech maskarona. Wydawał się podekscytowany, niespokojnie wiercił się w fotelu. Kelnerka przyniosła mu butelkę szampana i kubełek z lodem. Carter demonstracyjnie wręczył jej pięćdziesiąt funtów i powiedział, żeby zatrzymała resztę.

No, no wysoki napiwek! A może i nie, szampan kosztuje tu pewnie czterdzieści dziewięć funtów.

Colm udawał, że czyta gazetę, cały czas ukradkiem obserwując Cartera, którego nerwowość rosła z każdą chwilą. Colm świetnie się bawił. Zawsze chciał zostać prywatnym detektywem, ale kiedy szukał pracy, akurat nie było wakatów w tej profesji. A teraz miał całkiem niezłą namiastkę. Poprawił gazetę, żeby lepiej widzieć. Carter wydawał się niezadowolony. Zawołał kelnerkę i posłał drinki siedzącej w rogu parze, która

odwróciła się i pomachała do niego w formie podziękowania. Był jak brzydki, nielubiany chłopiec na placu zabaw, który musi kupować przyjaźń za słodycze. Colmowi zrobiło się go żal. Współczuł wzgardzonym. Przegranym. Współtowarzyszom niedoli pełzającym po samym dnie bagna ewolucji.

Carter siedział sam przez dziesięć minut, później jednak dołączyła do niego kobieta. Colmowi wystarczyło jedno spojrzenie, by stwierdzić, że to Anita de Brun. Wyglądałaby zupełnie jak Sally Carter, gdyby Sally trochę rozciągnięto, znacznie zwężono w talii, wydłużono jej nogi i szyję, a zmniejszono biust. Zdaniem Colma Anita była zdecydowanie mniej atrakcyjna. W Sally było coś rozczulająco ludzkiego, podczas gdy ta dziewczyna wyglądała groteskowo. I sprawiała wrażenie ciężko niedożywionej. Carter

nalął jej szampana.

Colm nadstawił uszu. Miał doskonały słuch, wyraźnie ponadprzeciętny. Słyszał rozmowy odbywające się w drugim końcu sali. Jego aparat słuchowy był niezwykle czułym mechanizmem. Colm zdawał sobie z tego sprawę od najmłodszych lat. Zawsze słyszał nadjeżdżający autobus znacznie wcześniej niż jego szkolni koledzy. Zawsze też zastanawiał się, jak mógłby wykorzystać ten dar. W tej prywatnej szkole, kiedy podczas rozmowy na temat wyboru zawodu pani pedagog, panna Moon, poprosiła go o wyliczenie swoich zalet i talentów, Colm umieścił „dobry słuch” na pierwszym miejscu listy. Panna Moon uznała tę cechę za nieprzydatną. Myliła się. Zdolność podsłuchiwania rozmów okazała się niezwykle przydatna w zawodzie plotkarza. Była też cennym atrybutem pisarza. Jeszcze jednym wśród

wielu innych.

Mimo to Colm nie był w stanie dosłyszeć ani słowa z rozmowy Cartera i Anity de Brun, ponieważ oboje mówili wyjątkowo cicho. Colm zauważył jednak, że Carter uspokoił się trochę, wydawał się mniej nerwowy. Trudno się było zorientować, co ich łączy. Migdalili się, a jakże, ale mogli rozmawiać o czymkolwiek. Nawet o czymś zupełnie niewinnym. Mogli planować przyjęcie – niespodziankę dla Sally. Mogli planować morderstwo.

Mogli planować morderstwo!

Czuł, że detektywistyczny zapach wziął górę nad zdrowym rozsądkiem. Poniosła go wyobraźnia. Za dużo kryminałów we wczesnej młodości. Anita podała Carterowi swoją torebkę. Wziął ją i poszedł w kierunku toalety. Dziewczyna rozejrzała się po sali, uważnie lustrując

wszystkich gości. Colm schował się za gazetą.

Carter wyszedł z męskiej toalety trochę bardziej rześki i wyluzowany. Był to beztroski, jednoznaczny, chemicznie wywołany luz.

Czy ona handluje koką?

Oboje wstali i wyszli. Colm ruszył za nimi. Przez chwilę czuł wyrzuty sumienia, że nie powiedział nic Davidowi, ale ta historia naprawdę go wciągnęła. Ciśnienie mu podskoczyło. Musiał za nimi pójść. Zostawił nawet swoje niedokończone piwo. Na ulicy Carter i Anita zatrzymali taksówkę. Colm zrobił to samo.

– Za tą taksówką – rzucił. Zawsze chciał to powiedzieć.

– Siemanko, szefie – powiedział taksówkarz.

– Siemanko – odparł Colm niepewnie. Czyżby znał tego taksówkarza?

– Pamięta mnie pan? Jestem Bob. Wiozłem pana do domu, jakoś z tydzień temu. Na Candlewick Avenue.

Coś takiego nigdy nie zdarzyłoby się w Nowym Jorku. Prędzej zginąłbym w zamachu terrorystycznym, niż jechał tą samą taksówką dwa razy w ciągu tygodnia.

– Ach tak, teraz sobie przypominam.

– To co, jak sobie pan poradził?

– Z czym?

– Mówił pan, że żona nie chce z panem spać. Miał pan z nią o tym pogadać.

Och, nie! Zwierzał się taksówkarzowi! Przestał się kontrolować, zaczął rozsiewać plotki o sobie samym. Opowiadanie o swoim życiu intymnym osobie, która ma CB radio, to kiepski pomysł.

Oczywiście teraz, kiedy przerwał już swoje sześcioletnie milczenie, mógł swobodnie gawędzić o tym z zupełnie obcymi ludźmi.

– Bez zmian – powiedział Colm.

– Moja żona też nie chciała ze mną sypiać przez jakiś czas – oznajmił Bob. – Kobotki mają swoje dziwactwa. Kto je tam wyrozumie.

Zmieniły się światła i musieli się zatrzymać. Samochód przed nimi zdążył jeszcze przejechać na zielonym.

– Hej, uciekają nam.

– Spokojnie. To taksówka z mojej sieci. Zadzwońię do bazy i dowiem się, gdzie pojechali. Znam ich. Ona jest modelką, widziałem w telewizji, a on mieszka w Howth. Często odwożę go do domu. Zawsze nawalony jak stodoła. Lubi se wypić i coś mi się zdaje, że od pigułek też nie stroni.

– Kobiety?

– Tego nie wiem. Jeśli tak, to uważa. Nie widziałem, żeby z jakąś wsiadał do taksówki, chyba że z żoną. Taka mała,

tlucze się po tym wielkim domu w Howth.

Pobrzękuje łańcuchami. Trzęsie swoją klatką. Moja mała żółta ptaszyna.

Bob zadzwonił do bazy, dowiedział się, dokąd pojechała taksówka Cartera, i skręcił. Zatrzymali się przed dużą wiktoriańską kamienicą przy jednej z bocznych ulic od Blackrock. Colm dobrze znał te okolice. Tu wychowywał się David.

– To będzie dycha – powiedział Bob pogodnie.

Colm rozstał się z dychą.

– I napiwek – dodał Bob.

Colm wyjął z portfela kolejne pięć funtów. Nie przepłacił, prawdę mówiąc. Bob miał wyjątkowe zalety.

– Wezmę wizytówkę – powiedział Colm, wysiadając. Bob jeszcze się przyda. Może się okazać niezłym źródłem informacji.

– Pozwolę sobie spytać – zaczął Bob –

czy jest pan prywatnym detektywem?

Pytanie to sprawiło Colmowi przyjemność. Podniosło go na duchu.

– Nie – odparł. – Jestem pisarzem. Nocą szukam na mieście inspiracji.

Podglądacz

Kiedy taksówka odjechała, Colm stanął pod krzewem o zwisających gałęziach i zapalił papierosa. Miał stąd dobry widok na schody prowadzące do okazałych frontowych drzwi dwupiętrowego bliźniaka. Po prawej stronie paliło się światło, prawdopodobnie w salonie. Poza tym w domu panowała zupełna ciemność. Colm był zachwycony. Nie przypuszczał, że śledzenie kogoś sprawi mu taką frajdę. Usłyszał stuk obcasów na chodniku. Samotna kobieta o czwartej nad ranem? Dziwne. Kroki zbliżyły się i Colm zobaczył zataczającą się młodą dziewczynę, pijaną, narkomankę albo ofiarę przemocy czy coś w tym rodzaju. Drgnął, bo w pierwszej chwili wziął ją za Cordelię. Zamrugnął i spojrzał jeszcze raz.

Nie, to nie Chopper. Dziewczyna dostrzegła go, kryjącego się pod krzakiem, i stanęła jak wryta.

O Boże, myśli że jestem zboczeńcem.

Stał nieruchomo, paląc papierosa. Dziewczyna też stała nieruchomo, czujna jak zwierzę, które zwietrzyło niebezpieczeństwo. Chwiała się lekko na swoich beznadziejnie cienkich, młodych nogach. Otworzyła szeroko oczy i w świetle latarni Colm zobaczył jej młodość i przerażenie. Jak jej dać do zrozumienia, że jego zamiary są całkiem niewinne?

Niewinne w stosunku do niej, w każdym razie.

Pomyślał, że najlepiej będzie nic nie mówić, bo wszystko, co powie, może zostać źle zrozumiane. Ale ona ciągle stała jak wmurowana. Jak skamieniała. Colm przestraszył się, że dziewczyna zacznie krzyczeć i zwróci na niego uwagę. Teraz

oboje się bali. Ona bała się jego, on bał się jej strachu. Położył palec na ustach i syknął cicho, w nadziei, że ten dziwny gest ją uspokoi. Nic z tego. Dziewczyna wydała krótki, zdławiony krzyk i rzuciła się do ucieczki w stronę, skąd przyszła. W stronę alkoholu, narkotyków albo przemocy. Jej obcasy stukwały głośno na chodniku. Colm cofnął się głębiej pod krzew.

W oświetlonym oknie pokazała się kobieta. Anita de Brun. Z tej odległości, patrząc na jej ciemną sylwetkę, Colm widział wyraźnie, jaka jest chuda. W życiu chyba nie spotkał chudszej kobiety. Była cienka jak ołówek. Jak smuga dymu.

Zapalił pod krzakiem kolejnego papierosa, a potem podszedł pod dom, ostrożnie stąpając po krawędzi zwirowanego podjazdu.

Jestem dorosłym człowiekiem. Co ja robię w cudzym ogrodzie, w środku nocy?

Podkradł się jeszcze bliżej i zauważył ciągnący się wzdłuż domu występ, szeroki na kilka centymetrów. Mógłby się wspiąć i zajrzeć w okno. Mógłby, gdyby był dwadzieścia lat młodszy i nie miał problemów z kręgosłupem. Na szczęście starczyło mu rozsądku, by nawet nie próbować. Zamiast tego nadstawił uszu. Wprawdzie nic stąd nie widział, ale wszystko słyszał. Słyszał odgłosy wydawane przez dwoje ludzi uprawiających seks. Ponad wszelką wątpliwość. Niejednego człowieka, z tym rodzajem odgłosów był bardziej obznajomiony. Dwoje ludzi. Entuzjastyczne, namiętne unisono. Zapomniana radość. Siedząc tam, skulony na krawędzi schodów, czuł się najbardziej samotnym człowiekiem na ziemi.

Czekał, zafascynowany jak psychopatyczny podglądacz, wsłuchując

się w narastający miłosny zgiełk, i doznał pewnej ulgi, kiedy skończyli. Nie tak wielkiej jak oni, rzecz jasna. A później zaczęli rozmawiać. Zaczęli gadać.

– Powiem jej, zechcę rozwodu, obiecuję.

– Już kiedyś obiecywałeś.

– Wiem. Ale wtedy było jeszcze za wcześnie. Teraz jestem gotowy. Uważam, że później jeszcze przez jakiś czas powinniśmy trzymać nasz związek w tajemnicy.

– Kiedy to takie trudne. Chciałabym powiedzieć o nas całemu światu. To już za długo trwa. Wiem, że w końcu coś mi się wyrwie. Dziewczyny już się domyślają że coś ukrywam. Nawet Sally. Kiedy z nią jestem, czuję nieodpartą pokusę, żeby jej powiedzieć.

– Jezu, nie rób tego! – Nuta paniki. – Wiesz, jaka ona jest porywcza.

– Obawiam się, że w końcu mi się

wypśnie. Chciałam jej powiedzieć już na samym początku. Prawie jej powiedziałam na tym przyjęciu w Boże Narodzenie, kiedy za dużo wypłam na pusty żołądek. Ale tylko zwymiotowałam.

– Powiem jej pod koniec kwietnia. Dziesiątego kwietnia są jej urodziny, a dwudziestego dziewiątego urodziny ma mały James, więc lepiej zaczekajmy do tego czasu.

– Prawda jest bardzo ważna, wiesz o tym. Nie umiem żyć w kłamstwie.

– Skurcz mnie chwycił w nodze.

Po czym nastąpiła wymiana niezwykle oryginalnych zdrobnień. Colm doszedł do wniosku, że może opuścić posterunek. Dość już usłyszał.

Wszystkie pieniądze wydał na taksówkę, więc musiał wrócić do domu pieszo. Z Blackrock do Rathmines. Spory kawałek. Ale był w niezłej formie. Po raz

pierwszy od dłuższego czasu wracał do domu stosunkowo trzeźwy. To, co wcześniej wypił, wywietrzało mu już z głowy, ale podniecenie spowodowane nocną działalnością wprawiło go w euforię, dało mu kopa.

Noc powoli stawała się porankiem, na ulicach pojawili się pierwsi przechodnie. Colm przyglądał się im, czując swoją odmienność. W miarę jak zbliżał się do centrum, ruch gęstniał. Ludzie spieszący do miasta, do porządnej pracy. Gardził nimi. I zazdrościł im.

Lunch z przyjacielem

Aggghhr! Au! Au! Och... – Doskonale. Wyrzucić to z siebie – zachęcał Frank. – Otwórz szeroko usta i nie zamykaj oczu. Musisz wypuścić ból wszystkimi otworami.

Frank przewrócił Colma na brzuch i zaczął masaż. Dłonie Franka byłyby bardzo duże i bardzo silne. Jego błękitne oczy przykuwały uwagę, działały niemal hipnotyzujące Colm nagle uświadomił sobie całą intymność tej sytuacji. Oto leżał na kozetce w skąpych slipkach, miętoszony przez podobnego do małego faceta.

– Nastąpiła duża poprawa – powiedział Frank.

– Ggghhnnn! – odparł Colm.

– Mięśnie grzbietu bardzo się rozluźniły,

ciągle jest tam trochę napięcia, ale znacznie mniej. Zacząłeś ćwiczyć? Spacerujesz z dziećmi, biegasz z pasierbicą i tak dalej?

– Szczerze mówiąc, Frank, kiepsko mi się układa z pasierbicą. Podrzuca mi ciągle różne broszury, zatytułowane, na przykład, *Zbawienie poprzez modlitwę* albo *Ceną grzechu jest śmierć*. Nie lubi mnie, uważa, że jestem niemoralny. Ale nie powinienem zwracać ci tym wszystkim głowy.

– Och, daj spokój. – Frank potrząsała lokami. – Zdziwiłbyś się, gdybyś wiedział, czego ja tu czasem wysłuchuję. Wszyscy klienci opowiadają mi o swoich kłopotach. Zajmuję się ciałem, ale także psychiką. Często ból w plecach wynika z bólu, który kryje się w sercu...

Kit w stylu New Age. Teraz już nie może cię po prostu boleć noga, musi to mieć związek z faktem, że w ubiegłym

tygodniu oblałeś test na prawo jazdy albo jako dziecko byłeś za krótko karmiony piersią.

– ... a wśród moich klientów jest wielu znanych ludzi. Nie wyobrażasz sobie, co wiem o sławnych i bogatych.

– Na przykład co? – spytał Colm tępo.

– No, nie mogę powiedzieć – odparł Frank, zaskoczony wścibstwem Colma. Chyba się tego nie spodziewał.

Colm przyglądał się Frankowi, jego długim rękoma, które dokonywały cudów, i dużej głowie, pełnej sensacyjnych informacji, które świetnie nadawałyby się do felietonów i oszczędziłyby mu wielu tygodni pracy. Ale wystarczyło jedno spojrzenie w twarz Franka, by zrozumieć, że nic się z niego nie wyciągnie.

Dyskrecja. Oto co mnie naprawdę wkurza.

Ale Frank lubił się droczyć. Lubił, żeby

ludzie wiedzieli, że on dużo wie. Wyraźnie dawał im to do zrozumienia. Lubił zbierać informacje i rozmyślać o nich samotnie, nie dzieląc się z nikim. Tam, gdzie w grę wchodziły plotki, był bardzo skąpy.

Colm zapłacił za masaż i dostał od Franka żółtą kartkę z ćwiczeniami, bo teraz, kiedy jego stan trochę się poprawił, powinien zacząć ćwiczyć. Spojrzał na kartkę i pomyślał, że wygibasy na obrazkach przekraczają możliwości ludzkiego ciała. Uprzejmie pokiwał głową.

– Już nie mogę się doczekać – mruknął i wyszedł z budynku.

Klinika Franka znajdowała się przy ruchliwej ulicy w Ballsbridge. Colm ruszył nią powoli w stronę centrum. Była dopiero dziesiąta rano. Umówił się z Frankiem na dziewiątą trzydzieści i wychodząc na świat tak wczesnym rankiem, czuł się bardzo dumny z własnego męstwa. Zazwyczaj o

tej porze przewracał się na drugi bok, planując, że wstanie z łóżka koło wpół do jedenastej. Odetchnął głęboko. Rano powietrze było dużo świeższe, czyste, dziewicze. Zazwyczaj oddychał powietrzem popołudniowym, które zawsze sprawiało wrażenie, jakby wcześniej ktoś go już używał.

Colm był umówiony z Davidem na lunch, spędził więc trochę czasu w mieście, wędrując po księgarniach, patrząc na książki, których nie napisał i wyobrażając sobie, że znajduje na półce kilka pozycji własnego autorstwa. *Serce to samotny myśliwy* Colma F. Cantwella. *Wojna i pokój* Colma F. Cantwella. *Dzieła wszystkie Williama Shakespeare'a* Colma F. Cantwella. „Dwadzieścia powieści Colma F. Cantwella. Kup dziewiętnaście, dwudziestą dostaniesz gratis”. Teraz księgarnie były takie gościnne. Zapraszały

do szperania i przeglądania książek nad filiżanką aromatycznej kawy. Nie tak, jak w czasach jego dzieciństwa, kiedy przeganiano go za czytanie książek, których nie kupił. Przeczytał w ten sposób wszystkie powieści Conan Doyle. Wchodził do księgarń i zazwyczaj udawało mu się przeczytać dziesięć stron, zanim bezduszny sprzedawca zdążył go wyrzucić. Zamówił kawę, usiadł i zaczął czytać *Psa Baskervillów*, żeby się czymś zająć. Czas mijał. Colm zabijał czas.

O pierwszej wszedł do restauracji. David siedział przy stoliku w rogu sali, samotny i trochę przybity. Zadzwoił do Colma, prosząc o radę i pomoc. Rzeczywiście, wyglądał tak, jakby potrzebował pomocy. Marszczył czoło i był rozczochrany. Colm usiadł naprzeciw przyjaciela.

Do usług.

Złożyli zamówienie. Restauracja była potwornie droga, klienci sprawiali wrażenie bardzo dobrze sytuowanych. Colm oddał swój podniszczony płaszcz kelnerowi, który mówił z bardzo dystyngowanym akcentem. Upadły arystokrata, ofiara ciężkich czasów.

– Ostrożnie, proszę. To moje dziedzictwo.

Kiedy David miał problemy, zawsze wydawał mnóstwo pieniędzy. Tak rozładowywał stres. Niektórzy wolą parę dzinów z tonikiem. Inni przebierają się w damskie ciuchy. David wydawał sto funtów na kilka listków sałaty.

– Zostałem pozwany do sądu – powiedział.

Colm uniósł brwi i przekrzywił pytająco głowę.

– Molestowanie seksualne. Wczoraj

dostałem list od prawnika z kancelarii Drew Ltd, napisany w imieniu Gemmy Blake. kelnerki w klubie Harbour. Oskarżyła mnie o molestowanie seksualne w miejscu pracy. Wszczęto postępowanie.

– A jest w tym ziarno prawdy? – spytał Colm.

– Skąd – odparł David. – Nigdy w życiu nikogo nie molestowałem. Wiem, mam słabość do kobiet, ale molestowanie? Nigdy.

– Więc na jakiej podstawie cię oskarżyła?

– Dostawiałem się do niej, ale byliśmy na imprezie, a nie w klubie. To nie było jej miejsce pracy. Odmówiła. Miałem ochotę nalegać, ale kiedy się zorientowałem, że mówi poważnie, dałem spokój. Jest naprawdę ładni utka.

– Co dokładnie robiłeś?

– Cóż, niezbyt dobrze pamiętam, bo

wtedy wszyscy mieliśmy już trochę w czubie, ale chyba ukląknęłam przed nią, zacząłem lizać jej uda i powiedziałem, że jest nieziemsko piękna, co, niestety, jest prawdą. Ale jak tylko zobaczyłem, że nie jest zainteresowana, przestałem się wygłupiać.

– To było molestowanie – orzekł Colm.

– Ja tak nie uważam.

– Oczywiście, że molestowanie. Gdybyś zrobił coś takiego mnie, na pewno uważałbym to za molestowanie.

– Ale ty jesteś mężczyzną. Oczywiście, gdybym to zrobił tobie, byłoby to molestowanie. Ty uznałbyś to za odrażające.

– Myślisz, że twoja kelnerka uznała to za miłe? Na tym właśnie polega błąd w twoim rozumowaniu.

. – Błogosławione niech będą czasy, kiedy mężczyzna mógł się dostawiać do

kobiety i nie było na to paragrafu. To takie niesprawiedliwe. Mnóstwo kobiet się do mnie dostawiało, aleja nie leciałem z tym zaraz do adwokata. Prawdę mówiąc, kilka moich pracownic robiło mi awanse, aleja po prostu odrzucałem je uprzejmie, jak dorosły człowiek, zamiast płakać, że jestem molestowany w miejscu pracy.

– Bo one nie miały forsy. Nie ma sensu pozywać do sądu kogoś, kto nie ma forsy. Ty jesteś bogaty. Dlatego zostałeś pozwany. Bogaci goście nie mogą się tak po prostu dostawiać do lasek. Muszą za wszystko zapłacić. Przede wszystkim za to, że są bogaci.

– Teraz nikt nie ma żadnych zasad – jęczał David. – Zasady odeszły w przeszłość.

– Rozmawiałeś już ze swoim prawnikiem?

– Przyjdzie dziś po południu. Została

niedawno partnerem w Moore i Kent, teraz nazywają się Moore, Kent i Smith. Sylvia Smith. Jezu, ale laska. Wspaniała blondynka. W ogóle nie wygląda na prawniczkę...

David był absolutnie niereformowalny. Nadmiar forsy rozmiękczył mu mózg. Miał neandertalskie odruchy, zupełnie nieuleczalne. Nigdy nie wejdzie w XXI stulecie. Zagubiony człowiek, który nie zdołał się zakotwiczyć w rzeczywistości, nie wie, jak żyć tu i teraz, nie idzie z duchem czasu. Postać z osiemnastowiecznej powieści, pełnej piersiastych karczmarek i znudzonych żon arystokratów. Mimo całej swej ostentacyjnej nowoczesności, telefonu komórkowego i butów z ostatniej kolekcji Gucciego, David miał bardzo wsteczne poglądy.

– A Catherine? Jeśli coś zwęszy, będę

skończony. I tak jeszcze nie całkiem ochłonęła po tym, jak dowiedziała się o Adele i Jasonie. Jej matka jest bardzo religijna. Z trudem zaakceptowała fakt, że córka spotyka się z rozwodnikiem, który ma dwoje nastoletnich dzieci. Catherine chyba nigdy nie odważy się powiedzieć jej całej prawdy.

– Nie musi. Powinna wiedzieć, że okłamywanie rodziców to standardowa procedura. Niby czemu miałyby opowiadać o tobie swojej biednej starej matce?

– A jeśli wyląduję na ławie oskarżonych za molestowanie seksualne, to koniec.

Colm przeżuwał ośmiornicę. Każdy kęs kosztował dwadzieścia funtów, a była trochę twarda. Trochę oporna. Ta ośmiornica nie chciała być jego lunchem. Wypluł ją na talerz.

– Ta ośmiornica jest twarda.

– Ma być twarda – odparł David.

– Nic mnie to nie obchodzi. Nie smakuje mi.

Do stolika podszedł kelner.

– Czy coś jest nie w porządku?

– Ośmiornica jest twarda – poskarżył się Colm.

– Ma być twarda – powiedział David.

– Czy panowie życzą sobie coś innego?
– spytał kelner zaskakująco uprzejmie. Był to ten rodzaj uprzejmości, jaką można dostać tylko za pieniądze. Kelner wydawał się doskonale rozumieć, jaką tragedią jest niejadalny lunch.

Poproszono kuchnię o przysłanie makaronu z kurczakiem. David przeżuwał swoją ośmiornicę. Ale David miał większą szczękę niż Colm.

Mniejszy mózg, większa szczeka.

David wyraźnie cierpiał. Colm szczerze mu współczuł. Życie osobiste Davida było

tak skomplikowane, że biedak zapewne nigdy nie doczeka się szczęśliwego zakończenia. Przeżywał permanentny życiowy kryzys i nigdy nie znajdzie sposobu, by go rozwiązać. Nigdy nie zazna spokoju i bezpieczeństwa. Będzie się miotał w oceanie chaosu. Jak wampir, który nigdy nie osiąga spełnienia, David krążył po orbicie błędnego koła. Jego życie było tak zagmatwane, że gdyby ktoś chciał doprowadzić je do porządku, nie wiedziałby, od czego zacząć. Colm nienawidził tego bezładu. David go nie dostrzegał, więc nie mógł go nienawidzić.

Wino było dobre i gładko spływało w przełyk.

Po lunchu, pokrzepiony wybornym makaronem, czując się świetnie po porannym masażu, Colm ruszył do domu. Szedł Camden Street, przez kanał, w

stronę Rathmines. Zdołał przejść obojętnie obok licznych pubów po drodze, ale widok Briana wchodzącego do Maguires okazał się zbyt silną pokusą. Skręcił i wszedł za nim do ciemnego wnętrza. Brian miał kolegę, który od czasu do czasu pilnował jego stoiska. Jadał na mieście, stawał się kapitalistą. W pubie pił czerwoną lemoniadę i marzył o posiadaniu wielu kiosków z gazetami i wielu kolegów.

Colm usiadł koło niego przy barze i zamówił piwo. Barman napełnił szklanke do połowy i postawił ją na serwetce, która zadrżała przy tym lekko, jak jakieś żywe stworzenie. Moda nie miała wstępu do Maguires. Wnętrze zaprojektowano z myślą o przestępczej klienteli, więc wszystko było przybite gwoździami: stoliki, większość stołków i tak dalej. Popielniczki przybito do stolików, więc nie dawało się ich umyć. Nawet powolny,

ocięwały barman zdawał się być przytwierdzony do swojego miejsca, jakby i on mógł paść łupem złodziei.

– Ta dziewczyna z Galway to nie studentka – powiedział Brian. – Jest bardzo młoda. Zaszła w ciążę i rodzice wykopali ją z domu. Nie ma pieniędzy, nie ma przyjaciół, a dziecko przyjdzie na świat za trzy miesiące. Jego ojciec zwiął, oczywiście. Niektórzy ludzie mają wiele problemów, bracie.

– Na pewno.

– Posłałem ją na dół, do Stelli. Stella była sama, kiedy urodziła Bena, wie, jak to jest. Pokaże jej właściwy kierunek. Ta mała jest naprawdę miła. Chyba nie ma jeszcze osiemnastu lat.

Brian lubił takie zagubione stworzenia. Im bardziej zagubione, tym bardziej je lubił. Uważał swój dom za schronienie dla życiowych rozbitków. Colm zamówił

drugie piwo i lemoniadę dla Briana.

– Lubisz to, prawda? – powiedział Brian.

– Co masz na myśli? – spytał Colm.

– Picie.

– Dlaczego tak uważasz?

– No, wiesz, widzę cię czasem na ulicy, masz takie szkliste oczy i czuję od ciebie alkohol, nawet rano.

Colm wyprostował się na stołku. Poczul się dotknięty. W Irlandii obowiązywała niepisana zasada, w której myśl nikt nie komentował zwyczajów innych. Człowiek siedzący w barze i wstrzykujący sobie heroinę powinien czuć, że ludzie dookoła rozumieją, iż potrzebuje jej, bo stresuje go praca albo fakt, że nie ma pracy.

– Poznaję te objawy, bracie – powiedział Brian, kołysząc szklanką lemoniady. – Sam to przerobiłem. Ale udało mi się z tego wyjść. Chociaż nadal

lubie siedzieć w pubach. Skłaniają do refleksji.

Nie ma nic gorszego niż nawrócony alkoholik prawiący kazania na temat alkoholu.

Colm pociągnął długi łyk piwa. Teraz już nie czuł się swobodnie w towarzystwie Briana. Zasada została złamana. Brian przywodził mu na myśl księdza. Nigdy nie widział go z żadną kobietą ani też z mężczyzną. A wynajmowanie pokoi w domu przy Candlewick Avenue Brian traktował niemal jak powołanie. Jakby zarządzał obozem dla uchodźców.

Brian dopił swoją lemoniadę.

– Muszę lecieć, bracie.

I zostawił Colma samego w mrocznym pubie.

Colm zamówił kolejne piwo, które miało mu pomóc zdecydować, czy powinien powiedzieć Sally Carter, czego

się dowiedział. Wyjął z kieszeni kartkę z jej numerem telefonu. Chwiejne cyfry, pochylone w lewo. Zadzwoń, powiedz, że jej mąż jest draniem i zaoferować swoje silne ramię, na którym będzie mogła się wyplakać? Postanowił, że tego nie zrobi, że nie będzie się w to angażował. Tak naprawdę nie miał teraz sił na romans. Powinien wymazać to wszystko z pamięci. Wrzucił kartkę papieru do wielkiej popielniczki, które nie była opróżniana przynajmniej od miesiąca.

To dziecinada. Naprawdę. Jestem szaraczkiem. Szarą myszą.

Zdecydowanym ruchem zapalił zapalniczkę i przytknął ją do kartki.

Dmuchany zamek

Czwartkowe popołudnie. Godziny pracy Colma. Jak zwykle nie był w nastroju. Wyrzął przez okno i zauważył postępy w pracach budowlanych. Na niewielkim skrawku ziemi przy końcu ogrodu, gdzie kiedyś rosły dwie krzywe jabłonki i leżała kupa kompostu, pojawiły się konstrukcje dwóch domów. Cztery ściany z otworami na okna, drewniana więźba dachowa. Sprawiało to wrażenie schludnej, uporządkowanej ruiny. Podobnie wyglądało pięć kolejnych ogrodów. W sumie wyrosło tu dziesięć nowych domów. Inwestor, miły młody człowiek z akcentem z hrabstwa Kerry, oczarował większą część mieszkańców ulicy, w wyniku czego zrezygnowali z części swoich ogrodów i kup kompostu. Ogrody były zdecydowanie

za duże, trudne do utrzymania w porządku. W każdym razie nie dawało się tego osiągnąć bez pomocy kilku niewolników, a niewolnictwo zostało zniesione.

Dojście do nowych domów miało znajdować się od strony tylnego podjazdu. Zanim rozpoczęła się budowa szeregowców, z podjazdu korzystali tylko włamywacze. Włamywacze dublińscy znali wszystkie podjazdy jak własną kieszeń, co było jednym z powodów, dla których obywatele Dublina tak chętnie oddawali krańce ogrodów inwestorom. W ten sposób mieli pod domem straż dwadzieścia cztery godziny na dobę. Yuppies w ogrodzie. Colmowi było żal włamywaczy. Normalni, przyzwoici przestępcy muszą z czegoś żyć. Przy wzrastającej ciągle liczbie dealerów narkotyków i korupcji w urzędach zwykłe włamanie wydawały się całkiem

przyzwoitym, niemal godnym szacunku sposobem zarabiania na życie. W dodatku niełatwym. Nienormowany czas pracy. Ryzyko zawodowe. Brak ubezpieczenia i płatnych urlopów. Dom Cantwellów został okradziony w ubiegłym roku. Włamywacze zabrali tylko odtwarzacz wideo, za który na czarnym rynku dostali pewnie najwyżej dwadzieścia funtów. Niewiele, biorąc pod uwagę, że musieli wspinać się po rynnie w środku nocy. Włamywacze muszą pracować dla gigantów handlu używanym sprzętem wideo, żeby gra była warta świeczki. Producentów jest coraz mniej, ale kradzieże mają wpływ także na ich sytuację. Większość klientów kupuje nowe odtwarzacze dlatego, że stare zostały skradzione. Co się więc dzieje z nadwyżką sprzętu wideo? Do kogo trafia?

Colm wymierzył sobie policzek i

postanowił skupić się na pracy. Włączył komputer. Rozległ się cichy szum, przyjazny i nagły. Tłumiąc ziewnięcie, Colm otworzył plik z felietonami. Zaraz potem doszedł do wniosku, że najpierw przejdzie się trochę po gabinecie, żeby nabrać wigoru.

Potrafię to zrobić. Potrafię to zrobić. Zrobię to.

Znowu zagapił się w okno. W sąsiednim ogrodzie wariatka przycinała krzewy różane. Colm zastanawiał się, skąd ona bierze ubrania. Były takie dziwaczne. Może chodzi do sklepów ze szkolnymi mundurkami i udaje, że kupuje rzeczy dla swojej siostrzenicy, choć to chyba zbyt wymyślne jak na nią. Dziwne, ale sprawiała wrażenie, jakby całkiem nieźle sobie radziła w życiu, mimo oczywistych problemów. Miała krewnych, którzy odwiedzali ją od czasu do czasu. Colm

rozmawiał z nimi, ilekroć nadarzyła się okazja. Intrygowali go i kiedy tylko mógł, zapraszał ich na herbatę, żeby pogadać. Była wśród nich siostra wariatki, Flora, o wyglądzie statecznej matrony, zawsze ubrana wyjątkowo skromnie i bezbarwnie, żeby nie wyglądać na obłąkaną. Był też brat, Gordon i jego zasadnicza żona, z całą pewnością zdrowa psychicznie. Oni przychodzili rzadziej. Wydawali się nie wiedzieć nic o głosach w środku nocy, ale oczywiście zdawali sobie sprawę, że wariatka jest dziwna. Angelique, tak miała na imię. Zdaje się, że to ona odziedziczyła rodzinny majątek. Jej rodzice uznali zapewne, że pozostała dwójka dzieci poradzi sobie sama. Sprawa pieniędzy została rozwiązana w dość zawikłany sposób. dzięki któremu wariatka dostawała co miesiąc pewną sumę, ale kapitał pozostawał nienaruszony. Majątek należał

do Angelique tylko dożywotnio, po jej śmierci miał zostać podzielony między najstarsze dzieci jej rodzeństwa. Flora i Gordon bardzo interesowali się domem, dbając, by jego wartość zbytnio nie spadła.

Z początku Colm patrzył na Florę i Gordona jak na sępy krążące wokół słabego kurczęcia, później jednak Flora wyznała mu przy herbacie, że troje z jej ośmiorga dzieci to potomstwo Angelique. Flora i Brian, jej niewidzialny mąż, adoptowali je, jedno po drugim, w miarę jak pojawiały się na świecie.

– Nigdy nie udało nam się wydusić z niej, kto jest ich ojcem. Może to jeden człowiek, możliwe też, że trzech różni mężczyźni. Oczywiście Brian nie akceptuje tego. Uważa, że powinniśmy ją zamknąć albo przynajmniej wysterylizować już po pierwszym dziecku, ale to moja siostra. Sama nie zgodziłaby

się na zakład, a nie można przecież zamknąć własnej siostry wbrew jej woli, skoro nie stanowi żadnego zagrożenia ani dla innych, ani dla siebie samej. Poza tym nie nam sądzić, komu wolno mieć potomstwo. Tylko Wszechmogący to wie.

Colm musiał więc zrewidować swój osąd, widząc tę zwykłą ludzką przyzwoitość i siostrzaną troskę. Flora dzielnie i dość pogodnie radziła sobie z trudną i dziwaczną sytuacją, przy bardzo niewielkiej pomocy ze strony Wszechmogącego, który często pojawiał się w czasie ich pogawędek – „Dwie łyżeczki cukru, proszę – i dzięki niech będą Wszechmogącemu”. Colm nigdy nie miał odwagi spytać, które z dzieci były potomstwem Angelique, a z pewnością nie dało się tego wywnioskować z ich wyglądu i zachowania. Colm oczekiwał, że zdradzi je nerwowy tik, upodobanie do

noszenia kucyków czy rozmów z psami. Ale wszystkie dzieci sprawiały wrażenie zupełnie normalnych. Colm zazdrościł wariatce jakości jej życia. Wydawała się całkiem szczęśliwa. Nie musiała pracować. Co wieczór oddawała się bardzo niezwykłym rozrywkom, odgrywając dla samej siebie fascynujące monodramy. Krzątała się po swoim ogrodzie ile dusza zapagnie i najwyraźniej prowadziła bardzo ożywione życie seksualne.

Colm wyciągnął zabazgrane kawałki papieru z kieszeni i szuflad, do których upychał je przez cały tydzień. Potem niechętnie zmusił szare komórki do pracy nad nowym zadaniem. Ułożył skrawki papieru na biurku w porządku chronologicznym. W sobotę odbył się pokaz mody; w niedzielę przyjęcie na cele dobroczynne. Dwa wyścigi w poniedziałek; we wtorek ukazała się nowa

książka; w środę bardzo elegancki ślub (i spotkanie z prasą). Codziennie wracał do domu pijany, ale Janet nie powiedziała na ten temat ani słowa.

Nie przeszkadza jej, że piję, bo lubi, jak jestem zamroczony.

Kiedyś, na początku, Janet narzekała na picie Colma. Już kiedy się pobierali, wiedziała, że on ma takie skłonności. Jak w ogóle udało mu się z nią ożenić?

Colm wrócił myślami w przeszłość, ale nie mógł sobie przypomnieć, kiedy właściwie poprosił ją o rękę. Musiał to zrobić, ale nie pamiętał ani tej chwili, ani słów, jakich użył. Zupełnie jakby jednego dnia żył sobie spokojnie, powolutku, normalnie, a drugiego obudził się jako mąż Janet. Miał mgliste wrażenie, że to ona tego chciała, a on spełnił jej życzenie, żeby jej nie zawieść, żeby nie wyjść na durnia. Ożenił się z nią, żeby stać się lepszym

człowiekiem. Teraz, patrząc wstecz, nie wiedział właściwie, czy ją kochał, był natomiast pewny, że ona kochała jego. Musiała go wtedy kochać. Jako osoba niezwykle pryncypialna nie wyszłaby za mąż bez miłości. Wtedy jeszcze była dla niego nadzieja. Wspominając teraz tamten okres, zrozumiał nagle, co się wtedy stało. To Janet skłoniła go, by się jej oświadczył. Wydawało mu się wówczas, że zrobił to z własnej woli, ale się mylił. Został naprowadzony na ten pomysł jak niewinna owieczka.

Pierwszy raz zobaczył Janet w pociągu do Dublina. Mieszkał wtedy w Dun Laoghaire i każdego ranka wsiadał do pociągu o ósmej piętnaście. Janet, z pięcioletnią wówczas Cordelią, wsiadała w Booterstown i zawsze zajmowała miejsce w drugim wagonie. Obie jechały do szkoły, jedna, żeby się uczyć, druga, żeby

nauczać. Cordelią chodziła do podstawówki w zespole szkół, w którym Janet pracowała na rocznym kontrakcie. Colm co rano wypatrywał ich z okna pociągu. Fascynowały go. Młoda matka o trochę sennej, nieprzeniknionej twarzy Madonny Cimabue i ciche, skupione dziecko. Okrągła twarz, biała skóra i jasne włosy nadawały Janet wygląd świętej, a mała Cordelią, uderzająco podobna do matki, przywodziła na myśl cherubina. Colm interesował się nimi trochę z nudów. W porannych pociągach niewiele się dzieje. Obserwował je tak co rano mniej więcej przez sześć miesięcy. Kiedy w końcu poznał Janet, miał wrażenie, że znają od bardzo dawna. Zobaczył ją pewnego dnia w barze niedaleko stacji na Tara Street. Colm wstępował tam czasami na kilka szybkich przed powrotem do swojego kawalerskiego mieszkania o

oknach wychodzących na Dublin Bay. Podszedł do niej bez zastanowienia i przedstawił się. Janet pamiętała go z porannego pociągu. Rozmawiali jak starzy znajomi.

Ta noc, pierwsza, którą spędzili razem, była też pierwszą od pięciu lat nocą, którą Janet spędziła z dala od Cordelii. Dziewczynka została u matki Janet. Była tam zapraszana wiele razy, Janet jednak zawsze odmawiała, ponieważ rodzice nie wspierali jej w czasie ciąży. Kiedy dziecko przyszło na świat, zmiękli i odwiedzali je często, gdyż uwielbiali spotykać się z wnuczką. Janet natomiast stała się twarda. Okazało się, że nie jest skłonna do wybaczenia. Tylko ci, którzy zostali zranieni, mogą ujawnić tę cechę osobowości.

Janet wstąpiła wtedy do baru na drinka po prostu dlatego, że po raz pierwszy od

bardzo dawna mogła sobie na to pozwolić, gdyż jej obowiązki szczęśliwie przejął ktoś inny. Siedziała na stołku, spokojna i opanowana, rozkoszując się tą krótką chwilą. Fakt, że tak dobrze sobie poradziła z bardzo trudną sytuacją, napawał ją dumą. Pracowała i realizowała swoje zawodowe plany, mimo że musiała samotnie urodzić i wychowywać dziecko. Była zadowolona z siebie i patrzyła na świat trochę z góry, kiedy Colm pojawił się u jej boku.

W tym czasie Colm chodził z dziewczyną o imieniu Ginger, która brała mnóstwo narkotyków i nie miała żadnych hamulców. Właściwie niezupełnie z nią chodził. Ginger nie należała do dziewczyn, z którymi można chodzić. Była wolnym duchem, nie wierzyła w chodzenie. Prowadziła bujne życie towarzyskie, sama włóczyła się po klubach i imprezach, a potem wracała do mieszkania Colma

(miała klucz). Znikała przed świtem, żeby popatrzeć na wschód słońca nad zatoką. Nie miała własnego mieszkania. Trzymała swoje ubrania w kilku miejscach, u Colma i kilku innych przyjaznych osób. Latem często sypiała pod gołym niebem. „Moja rodzina to sami podróżnicy – mawiała, potrząsając rudymi włosami. – Moja babcia tylko czekała, żeby się gdzieś wyrwać”.

Colm spotkał Ginger jeszcze raz, wiele lat później, kiedy odwiedzał Mary Jane Murphy, która przechodziła właśnie pierwszy okres odwyku w klinice, na oddziale zamkniętym. Ginger była pacjentką długoterminową, błąkała się po korytarzach zagubiona, znerwicowana, z rozwichrzonymi rudymi włosami. Sprawiała wrażenie, jakby rozpoznała Colma, ale nie bardzo wiedziała, kim jest. Była półprzytomna z powodu środków

uspokajających, którymi ją faszerowano. Dostawała teraz więcej prochów, niż kiedyś miała ochotę brać. Nigdy tak naprawdę nie pasowała do tego świata; była zbyt delikatna. Stoczyła się zupełnie. Colm zastanawiał się, na ile przyczyniło się do tego jego własne drańskie zachowanie. Zapewne dość znacznie. Prawdopodobnie była to jeszcze jedna z wielu kropli, które przepełniły czarę. Jej życie było długą litanią nieszczęśliwych zdarzeń. Opowiedziała Colmowi wiele smutnych historii. W łóżku nie miała żadnych zahamowań. Zawsze będzie pamiętał jej drobną, smutną twarzyczkę, kiedy zażądał, by oddała mu klucz do mieszkania, klucz, który dał potem Janet. Ginger stała się później tematem wielu z jego niedokończonych powieści. Taki był los jego nieudanych romansów, stawały się nieudanymi powieściami i zalegały dno

dolnej szuflady biurka.

Tak więc Ginger została usunięta, a Janet zainstalowana w jego życiu. Najczęściej spotykali się u Janet, ponieważ prawie zawsze musieli zajmować się Cordelią. Janet była już zmęczona rolą samotnej matki i chciała wyjść za mąż. Chciała wyjść za Colma. Mówiła o stabilizacji i trwałym związku. Wzięła go w obroty, zaczęła nim rządzić. Dawała mu tego lekkiego kopniaka, którego potrzebował, żeby rano wstać z łóżka i żeby cokolwiek zrobić. „Colm, dlaczego nie starasz się o pracę u tego-i-owego? Colm, idź się ostrzyc, zanim pójdziesz na to spotkanie. Colm, wyrzuciłam ten stary garnitur, wyglądałeś w nim jak wypchany indyk. Ten kupiłam na wyprzedazy. Czysta żywa wełna. Przymierz”. Podobało mu się, że ktoś organizuje mu życie i wkrótce stał się tak bezradny, że pozostawiony sam

sobie nie potrafił już funkcjonować. Wprowadził się do Janet, a kiedy pojechała na szkolną wycieczkę i zabrała ze sobą Cordelię, przekopał całe mieszkanie, ale nie zdołał odszukać miejsca, w którym trzymała skarpetki.

W końcu się jej oświadczył. To musiało się stać. Chciał kupić jej z tej okazji wielki, świecący pierścionek z brylantem. Nie zgodziła się. Wybrała proste obrączki z białego złota, dla siebie i dla niego. Tak oto znalazł się na jego palcu ten blady złoty krążek, jarzmo purytanizmu.

I przez cały ten czas, przeżarty grzechem, wypierałem się siebie.

Colm zmusił niechętny umysł do pracy nad bieżącym zadaniem, to znaczy notatkami zalegającymi blat biurka. Na każdej z tych imprez bawił się dość dobrze. Rozmawiał z wieloma ludźmi, wiele jadł i pił. Właściwie było to jedno

wielkie, tygodniowe przyjęcie. Jednak większości ludzi, z którymi rozmawiał, tak naprawdę nie lubił. Dobrze mu się z nimi rozmawiało, ale ich nie lubił. Lenie, dryfujący z prądem, którzy nic nie robili, niczego nie osiągnęli. W jego ustach mogło to brzmieć arogancko, bo on też dryfował z prądem i niczego nie osiągnął, ale w jego przypadku było inaczej, jego ta świadomość dręczyła. Co dzień płacił za swoje pozbawione osiągnięć życie. Niezadowolenie zżerało go od środka.

Udzielił sobie kolejnej surowej reprimendy i znowu nakierował myśli na felieton. Ta praca przynajmniej pozwalała mu zarabiać na życie. Przynajmniej nie musiał prosić Janet o pieniądze na piwo. Chociaż tyle. Ale wkrótce dojdzie i do tego. Zamiast lepiej, jest z nim coraz gorzej. Niedługo jego mózg będzie tak zdegenerowany, że nie zdoła już pisać

nawet tych felietonów. To tylko kwestia czasu.

Praca pełnoetatowej imprezowiczki jest ciężka, wiedz o tym, Drogi Czytelniku, a ubiegły tydzień nie zaliczał się do wyjątków. Dieta przynosi oczekiwane rezultaty, straciłam parę funtów na wyścigach w poniedziałek, gdzie wszyscy zazdrościli mi kapelusza... We wtorek wybrałam się na zakupy do nowego sklepu BiBi, skąd wyszłam lżejsza o kilka kolejnych ton, z powodu jedwabiu w kolorze cytryny... W środę byłam na kolacji z moim nowym przyjacielem, tak, tak, w żółtym jedwabiu, nowy łaszek – nowy ptaszek (Colm zawsze pisał coś, co Deirdre będzie mogła usunąć, po to tylko, by nie zasnęła przy swojej pracy redakcyjnej). Kolację zjedliśmy w Corneille. *Nowelle cuisine*. Wszystko było

spryskane rzadkim, zielonym sosem, zapewne pesto. Zielony sos jest teraz bardzo modny, kupiłam w zeszłym tygodniu skromną kanapkę z serem i z przerażeniem odkryłam, że i ona została od środka skażona jego zieloną obecnością. Osobiście nie przepadam za *nouvelle cuisine*, ale to świetny sposób na utratę wagi. Nic nie jeść...

Colm zakończył swoje tysiąc słów i odetchnął z ulgą. Zawsze zdumiewało go, że jest w stanie odrobić tę tygodniówkę. Kliknął „drukuj” i zszedł na dół na filiżankę herbaty.

Wkrótce wszyscy wrócą do domu. Janet odbierała maluchy po drodze z pracy, a Cordelia przychodziła zaraz po niej. Zabrał się do obierania ziemniaków i jarzyn. Był to jego wkład w prace domowe, od czasu wielkiej dyskusji na szczycie kilka lat

temu, kiedy Janet, bardzo słusznie, stwierdziła, że wypełnia wszystkie obowiązki, podczas gdy on nie robi nic. Wstępne przetwarzanie warzyw okazało się znakomitym rozwiązaniem problemu, Colm był z niego całkiem zadowolony. Po powrocie do domu Janet zawsze znajdowała na kuchence dwa garnki pełne obranych, lśniących warzyw i przejmowała pałeczkę. To ona zajmowała się przyrządzaniem potraw, bo była żywnościowym architektem, projektantem posiłków. Colm spełniał tylko funkcję siły roboczej. Janet miała w zamrażarce mnóstwo zawiniątek, ponumerowanych według sobie tylko znanego systemu, a Colm nie umiał gotować ani nawet prawidłowo rozmrażać wiktuałów. Przy tych rzadkich okazjach, kiedy Janet do późna nie było w domu, na obiad była zawsze ryba z frytkami sprowadzana z

restauracji Burdocks w Rathmines.

Colm lubił obierać jarzyny. Podobało mu się, że tak bezpośrednio przyczynia się do żywienia dzieci. Oczywiście polubił to dopiero wtedy, kiedy minął już pierwszy szok po spotkaniu z surowym pasternakiem. Wstrząśnięty, długo kontemplował jego zdumiewający kształt. Nagie warzywo. Szokujące. Bulwiaste. Niemal obsceniczne. Nazwą zdaniem Colma, wskazywałyaby na coś mniejszego. Obieranie warzyw sprawiło jednak, że poczuł się więcej wart.

Ledwo skończył, otworzyły się drzwi i do kuchni wkroczyła Janet z maluchami. June miała twarz napuchniętą i czerwoną jak pomidor. Najwyraźniej wystąpił jakiś większy problem. Colm spojrzał na Janet.

– Chcieliśmy zamówić dmuchany zamek na sobotę, ale było już za późno, wszystkie są zajęte – powiedziała Janet,

krzywiąc się.

Dmuchane zamki to ważna rzecz dla siedmiolatków. Przyjęcie urodzinowe bez dmuchanego zamku do skakania równa się towarzyskiej śmierci.

June podbiegła do Colma i znowu zaczęła płakać.

– Czujemy się oszukani i zdradzeni – powiedziała Janet. – Ponieważ tatuś obiecał nam, że dostaniemy zamek. Ale tatuś obiecuje, a potem zapomina zadzwonić, gdzie trzeba.

No tak. Więc to moja wina.

– A ja obiecałam wszystkim dzieciom z mojej klasy, że będzie zamek, i teraz oni pomyślą, że jestem kłamczucha, a ja nie jestem kłamczucha, tylko mam okropnych rodziców – łkała June z twarzą wtuloną w udo Colma.

Colm wrócił na górę do swojego gabinetu z nogawką spodni przesiąkniętą

łzami June. Zadzwoił do Luke'a Maysa, który jako spec od PR miał wiele najrozmaitszych kontaktów. Jeśli w Dublinie znajduje się dmuchany zamek, który można wynająć na sobotę, Luke go znajdzie. Colm będzie musiał za to, oczywiście, zapłacić. Wszystko ma swoją cenę. Ale w przypadku Luke'a waluta będzie prosta, jak zawsze. Informacja. Colm był w stanie mu to dać. A Luke dostarczy dmuchany zamek i wszyscy będą zadowoleni. Luke obiecał, że zrobi wszystko, co w jego mocy. Powiedział, że zadzwoni, jak tylko coś znajdzie.

Colm zabrał Johna i June na spacer, często wychodził z nimi zaraz po szkole, żeby Janet mogła spokojnie przygotować obiad. W pobliżu znajdował się niewielki park, na skwerze, gdzie stało kilka huśtawek i karuzela. Colm bardzo lubił ten skwerek. To taka wspaniała idea, skwerki

rozrzucone po mieście, gdzie dzieci mogą się bawić, pijacy spotykać, a kobiety objuczone siatami przysiąść i przejrzeć swoje zakupy. Dzieciaki też uwielbiały to miejsce. Huśtały się na huśtawkach, kręciły na karuzeli i biegały, usiłując nie wdepnąć przy tym w liczne psie kupy. Koniec marca, przełom pór roku. Colm lubił ten czas. Przenikliwe zimno minęło, a upały jeszcze nie nadciągnęły. Nie było tak zimno, żeby człowiek musiał rozgrzewać się wysiłkiem fizycznym, i nie tak gorąco, żeby trzeba było brać dwa prysznicie dziennie. Idealna pogoda dla leni i nierobów.

John kręcił się na karuzeli, krzycząc: „Tato, patrz na mnie! Patrz na mnie!” Przechodził teraz fazę popisywania się na każdym kroku. Wieczorem schodził na dół, by zaprezentować świeżo umyte białe zęby, a Janet, Colm i Cordelia musieli

podziwiać je dłuższą chwilę, zanim zgodził się pójść do łóżka. Za bardzo zależało mu na opinii innych ludzi. Colm będzie musiał go tego oduczyć. Dzieciak do niczego w życiu nie dojdzie, jeśli będzie się tak przejmował tym, co myślą inni. Colm miał co prawda mizerne doświadczenie w dochodzeniu do czegokolwiek, ale miał swoje teorie, jak wszyscy.

Colm usłyszał pobrzękiwanie, którego nie pomyliłby z niczym innym. Odwrócił się i zobaczył Cordelię, zbliżała się ścieżką, wraz z Phoedrą. Obie w długich spódnicach. Phoedra także obszyła spódnicę dzwoneczkami. Była dziwnym stworzeniem w okularach o grubych szklach i z aparatem ortodontycznym na zębach. W ubiegłym roku wystrzeliła w górę i wydawała się teraz o wiele za wysoka i niepokojąco wiotka, jakby nastolatce o tak wybujałym

wzroście brakowało jeszcze charakteru, by unieść ciężar własnego ciała.

– Co porabiają tragiczne heroiny? – spytał Colm.

– Zaczynamy szkolny projekt oczyszczenia tego parku – odparła Cordelia. – Jest w strasznym stanie. Ohyda.

Rozejrzał się po swoim skwerku. Wszędzie wały się śmieci, a młodzi ludzie z okolicy powyginali większość prętów ogrodzenia, zmieniając je w abstrakcyjną metalową rzeźbę. Park, który jawił się dotąd jego oczom jako miniaturowy rajski ogród, stał się nagle śmietnikiem Cordelii.

– Popatrz na te odpadki, na pewno przyciągają szczury. A te kawałki szkła przy huśtawkach! To bardzo niebezpieczne.

Koło huśtawek istotnie leżało pełno

potłuczonego szkła i gdyby June spadła z huśtawki, mogłaby się poważnie pokaleczyć. Colm nawet tego nie zauważył. Na ogół nie zauważał takich drobiazgów.

– Dzisiaj przyszłyśmy, żeby napisać raport, a w środę po południu przyprowadzimy tu całą klasę i posprzątamy wszystko.

– To świetnie. Jesteście wzorowymi obywatelkami – pochwalił Colm.

– Myślę, że powinieneś zabrać stamtąd Junie. To niebezpieczne.

Już się rządzi.

– Odrażające miejsce. Wszędzie śmieci – powiedziała Cordelia, wskazując leżące pod krzakami butelki po piwie i zużyte prezerwatywy. Pozostałości po orgii.

– Wygląda na to, że ktoś się tu dobrze bawił – stwierdził Colm i mrugnął do dziewczynek, które wymieniły spojrzenia.

Znaczące spojrzenia. Colm zastanawiał się, co te spojrzenia miały znaczyć. Phoedra oblała się rumieńcem. Cordelia pozostała nieprzenikniona. Była najbardziej nieprzeniknioną istotą ludzką, jaką kiedykolwiek spotkał.

– Phoedra, zacznij tutaj, a ja pójde na drugi koniec. Opiszemy wszystko. Nie zapomnij nadmienić, w jakim stanie są klomby.

Phoedra posłusznie podeszła do ogrodzenia, a Cordelia udała się na swój koniec parku. Colm spróbował nakłonić June do zejścia ze śmiertelnie niebezpiecznej huśtawki. Odmówiła, ciągle zła z powodu dmuchanego zamku.

– ... eprz się – mruknęła.

– June, to okropne słowo. Jestem na ciebie bardzo zły – powiedział surowo.

– Powiedziałam tylko „eprz”. „Eprz” to nic złego. To nie jest brzydkie słowo –

odparła gniewnie.

– Tak czy inaczej, nie wolno tak mówić.
Tatuś się gniewa.

Oczy June wypełniły się łzami, które powoli spłynęły po policzkach.

– Przepraszam – chlipnęła.

Jej łzy złamały mu serce. Łzy z powodu rozbitego kolana – to jeszcze mógł znieść. Ale June płakała, bo sądziła, że on się na nią gniewa i teraz przestanie ją kochać. Ten płacz był nie do wytrzymania. Próbował wymyślić coś miłego, co mógłby powiedzieć.

– Pójdziemy do domu i sprawdzimy, czy Luke zostawił dla nas wiadomość.

Podziałało jak magiczne zaklęcie.

– Pójdziemy i sprawdzimy, czy Luke wyczarował dmuchany zamek – powiedziała June, pociągając nosem. Poweselała, jako że kryzys wywołany użyciem przez nią słowa na „p” wyraźnie

minął.

A na automatycznej sekretarce rzeczywiście była wiadomość od Luke'a.

– Siemasz, Canwell, mówi Luke Mays. Zamek zaklepany na sobotę. Stop. Jest, eee, rozmiarów przemysłowych, ale macie tam duży ogród. Przyjedzie w sobotę rano o ósmej razem z armią ludzi, którzy go postawią. Powiedziałem, że zapłacę (to znaczy, powiedziałem, że ty zapłacisz), ale się uparli... Live Event Management Ltd. Jesteśmy ich dłużnikami. Obaj. Sto lat i baw się dobrze, June. Ciao!

– Tatusiu, ty potrafisz wszystko załatwić? – spytała June z błyszczącymi oczami. – Ty jesteś jak Pan Bóg?

Kocham moje dzieci. Kocham moją córkę.

Puf! Puf!

Colm dotarł na Castle Grub Street w piątek po południu, żeby dostarczyć swój tekst. Kierownik działu produkcji, Philip, próbował bez powodzenia nakłonić go do wysyłania tekstów pocztą elektroniczną, Colm jednak zawsze stanowczo odmawiał. Lubił cotygodniowe wizyty na Grub Street, potyczki z Deirdre, spotkania z talentami Corneliusa i uprzejmością portiera Dana. Przede wszystkim czuł wtedy, że ma pracę.

– Ale musisz przepychać się przez całe miasto w godzinach szczytu.

– Nie przeszkadza mi to – powiedział Colm. – Lubię przepychać się przez miasto. Poza tym jeżdżę pasem dla autobusów.

– Tak? I jeszcze nie zgarnęła cię

drogówka?

– Jeżdżę pasem dla autobusów autobusem.

– Autobusem!

Philip uważał autobusy za najgorszy z możliwych środków transportu. Colm mógł równie dobrze oznajmić, że przyjeżdża do redakcji na osiołku albo przypelza na czworakach. Philip nie był w stanie pojąć, że podróż do biura może być dla kogoś najważniejszym wydarzeniem tygodnia.

Jestem żałosny.

Colm chciał się później spotkać z Davidem, ale nie udało mu się z nim skontaktować. Nie miał żadnych planów na ten wieczór. Miał zamiar wrócić do domu o rozsądnej porze, żeby wstać wcześniej następnego ranka i nadzorować montaż dmuchanego zamku.

Dan, portier, pozdrowił go ochryłym

kaszlem. Ten człowiek był chodzącą popielniczką, zapalony papieros przyklejony do jego ust sprawiał wrażenie jeszcze jednej części ciała. Colm zastanawiał się czasami, jak Dan jest w stanie przetrwać bez niego noc. Pewnie budził się co godzinę na dymka. Wyszedł do Colma ze swojej dziupli. Zazwyczaj siedział tam, nie zwracając na ludzi uwagi i wydając swoje dziwne chrząknięcia.

– Eghm, eghm, była tu jakaś blondynka parę dni temu, szukała cię. Eghm, eghm, eghm, powiedziała, że nazywa się Sally. Twoja przyjaciółka. Powiedziałem jej, żeby przyszła dzisiaj, eghm, eghm.

– I przyszła?

– Eghm, eghm, tak, jest na górze. Eghm. Idiota ze mnie. Myślałem, że wystarczy do niej nie zadzwonić.

– Jezu, Dan, strasznie kaszlesz.

– Eghm, eghm, eghm – i Dan zniknął w

swojej przytulnej dziupli.

Colm poszedł na górę po starych schodach. Kamienica pochodziła z połowy XVIII wieku i powoli zaczynała się sypać. Zarząd często napomykał o planie wyburzenia jej i postawienia w tym miejscu nowoczesnego budynku, z windami i rozsuwanymi drzwiami na fotokomórkę, ale jak dotąd kończyło się na planach. Podobnie jak w przypadku wielu innych spraw.

Colm wszedł do biura. Była tam Deirdre, w obcisłym topie bez rękawów. Jej zakiet wisiał na oparciu fotela. Dalej, na sofie dla gości, popijając kawę ze styropianowego kubka, siedziała Sally w jaskrawoczerwonej sukience. Deirdre znacząco spojrzała na Colrria szeroko otwartymi oczami.

– Masz gościa, Colm.

– Cześć, Colm – powiedziała Sally.

Trochę zdyszana. Trochę nerwowa. – Pani redaktor była tak miła, że pozwoliła mi tu na ciebie zaczekać. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciw temu. Chciałabym z tobą porozmawiać.

– Eee, świetnie – mruknął Colm, trochę zażenowany rozwojem sytuacji. W ogóle w Sally było coś zenującego, w jej wyrazistości, jej zadyszce, jej stroju.

– Pójdziemy na drinka, jak tylko skończę z Deirdre.

Deirdre wzięła szarą kopertę z rąk Colma i przejrzała jej zawartość. Czytała cicho, od czasu do czasu tylko wzdychając z satysfakcją i wydając okrzyki zdumienia. Była to jej ulubiona rubryka. Sprawy innych ludzi. Uwielbiała to.

– Marian Cooper się zaręczyła! Pomyśleć tylko. Zawsze sądziłam, że jest lesbijką – zdziwiła się. – Colm, naprawdę masz nosa do tych rzeczy. Jak ty to robisz?

Do tego trzeba mieć smykałkę.

Boże, co za kretynka!

– Jest tam parę rzeczy, za które mogą nas pozwać.

– Doskonale. Lubię od czasu do czasu zrobić coś dla palestry.

Wszedł Cornelius ze zdjęciami.

– Niestety, jedyne zdjęcie Marian Cooper, jakim dysponujemy, pochodzi z zeszłego roku, z pogrzebu jej ojca. Ma na twarzy czarną woalkę i płacze. Chyba nie najlepsze do tej zaręczynowej historii. Ale może dać zabawny efekt.

– To trochę niesmaczne – powiedział Colm.

– Niesmaczne? A nas w ogóle obchodzi smak? Cała ta historia jest niesmaczna – odparła Deirdre. – Zwłaszcza jeśli Marian jest lesbijką.

– Marian Cooper jest lesbijką? – spytał Cornelius.

– Tak – potwierdziła Deirdre.

– Nie wiedziałem – powiedział Cornelius.

– Ona wcale nie jest lesbijką – odezwała się Sally.

Wszyscy odwrócili głowy w jej stronę.

– Znam ją. Nie jest lesbijką. Chodziła kiedyś z moim kuzynem z Los Angeles, i wtedy na pewno nie była lesbijką.

– Och – mruknęła Deirdre. – W takim razie miałam nieprawdziwe informacje.

– Tak czy inaczej uważam, że zdjęcie z pogrzebu będzie nie na miejscu, a to mój tekst. Podpisuję go moim nazwiskiem. No dobrze, podpisuję go nie moim nazwiskiem – powiedział Colm.

– W porządku, Colm. W takim razie go nie wykorzystamy.

Colm zwyciężył. Małe zwycięstwo też się liczy. Tak!

Colm poszedł z Sally na dół po

skrzypiących schodach, on stąpając ciężko w swoich półbutach, ona chwiejąc się lekko na idiotycznie wysokich obcasach. Dan, który zanosił się kaszlem w swojej dziupli, nawet ich nie zauważył.

– Jesteś pewna, że możesz w nich chodzić?

Poszli do baru o dźwięcznej nazwie Bankers. Colm pomyślał, że nie spotka tam nikogo znajomego. Nie znał żadnych bankierów. Sally kupiła stronga dla Colma i butejkę cydru dla siebie.

– Nie cierpię, kiedy kobiety piją piwo. Wyglądają jak tłuszcz – oznajmiła Sally.

Zdumiewająco postępowe.

. No tak, Sally oczywiście przez całe życie walczyła z nadwagą. Udało jej się wygrać, podczas gdy on, Colm, padł ofiarą tłuszczu. Kiedy zaczął przybierać na wadze, od razu się poddał. Upił łyk piwa. Milutko.

– Ta redaktorka wydaje się taka sympatyczna. Taka empatyczna... taka empatyczna, czy jak to się mówi.

– Deirdre to jadowity wąż, pożarłaby cię żywcem. Powinnaś jązobaczyć na zebraniach redakcyjnych. Zachowuje się koszmarnie. Upokarza ludzi, zwłaszcza słabych. Trzyma z silnymi. To jedna z najgorszych osób, jakie znam.

– Och, a wydawała się taka urocza.

– Wierz mi, nie jest urocza.

– Typowe. A ja myślałam, że jest miła. Nigdy nie umiałam właściwie oceniać ludzi.

– Wie, jak udawać uroczą, to fakt.

– Colm, jak się czułeś po tej kąpieli w stawie? Mam nadzieję, że się nie rozchorowałeś. Martwiłam się o ciebie. – Sally spojrzała na niego swoimi wielkimi oczami.

– Nie, wszystko w porządku. Naprawdę.

– Colm nie chciał tak od razu informować Sally o odkryciach, jakich dokonał w nocy ze środy na czwartek, chociaż teraz, kiedy się z nią spotkał, doszedł do wniosku, że wszystko jej powie. – Jutro przywożą do nas dmuchany zamek. Moja mała ma siódme urodziny.

– Dmuchany zamek. Świetny pomysł. Muszę załatwić coś takiego na urodziny Jimmiego. W kwietniu skończy dziesięć lat.

Cisza.

– Więc? – spytała Sally.

– Obawiam się, że to prawda. Bardzo mi przykro, Sally, ale pojechałem za nimi z nocnego klubu do tego wielkiego domu w Blackrock.

– Pojechałeś za nimi?

– Tak. Wskoczyłem do taksówki i śledziłem ich aż do Blackrock.

– Anita pilnuje tego domu. Kupiła go

jakaś gwiazda rocka, która w ogóle tam nie mieszka. Połowa domów na południu miasta należy do gwiazd rocka, które wcale w nich nie mieszkają.

– I mają romans.

– Wiedźma.

– Bardzo mi przykro.

Sally drgnęła kilka razy w bezgłośnym płaczu i dwa razy czknęła. Twarz jej się zmarszczyła.

– Powiedz mi dokładnie, co robili. Wszystko, co widziałeś. Chcę znać szczegóły, nawet najbardziej drastyczne.

– Cóż, właściwie to nic nie widziałem.

– To skąd wiesz?

– Słyszałem.

– Och.

– Dwie osoby uprawiające seks.

– Krzyczał: „Puf, puf”, kiedy kończył?

– Słucham?

– Pewnie nie. Anita by go wyśmiała.

Udaje, że jest lokomotywą tylko przy starej, dobrej Sal. Puf, puf, puf.

– Przy tobie udaje, że jest lokomotywą?

– Tak. To dość – upokarzające.

Jakie fascynujące! Jakie dziwne!

– Skoro on jest lokomotywą, to czym ty jesteś?

– Och, stacją albo peronem. Czasami krajobrazem, a moje ramiona to gałęzie. Czasami ja byłam pociągiem, kiedy kochaliśmy się pod prysznicem. Puf, puf.

– Och.

– A czasem, kiedy zatrzymywaliśmy się na zmianę toru, musiałam robić: „Uch, uch”.

– I nie powiedziałaś mu, że tego nie lubisz?

– Nie. Słuchaj, Colm, byłam bardzo młoda, kiedy za niego wyszłam, i niezbyt pewna siebie. Poza tym byłam dziewicą. Myślałam, że to normalne. On miał taką

wielką kolejkę, którą rozłożył na stałe w nowym domu po naszym ślubie. Sądziłam, że to przez tę kolejkę. Teraz Jimmy się nią bawi i jest zachwycony.

– Ja też miałem w dzieciństwie kolejkę, ale nie wywarła na mnie szczególnie destrukcyjnego wpływu. Tak mi się przynajmniej wydaje.

– Na szczęście Jimmy przestał już biegać po domu, wołając „puf, puf, puf”. Robił to, kiedy był młodszy. Poza tym to wykapany ojciec. Nieźle dał mi popalić, możesz mi wierzyć. Przepraszam cię, Colm. Nie powinnam ci opowiadać o takich intymnych sprawach. Ale jestem taka rozbita.

– Nie dziwię ci się.

– Co ja teraz zrobię?

– Cóż, zależy, ile dla ciebie znaczy to małżeństwo. Możesz spróbować przeczekać albo, jeśli masz już dość,

możesz się rozwieść. Ale nie rób nic pod wpływem impulsu. To poważna decyzja.

Gadam jak psycholog z działu porad.

– Och, sama nie wiem. – Sally teatralnym gestem odrzuciła głowę. – Dowiedziałeś się, co planują?

– Cóż, zdaje się, że on ma zamiar ci powiedzieć, ale dopiero po urodzinach, twoich i małego.

– Hm. Ona na niego naciska?

– Eee... tak.

– Wiedziałaś. Nie rozgrzeszam go, to parszywy drań tak czy inaczej. Ale to jej wina. Nie spodziewałam się tego po niej. Wyobraź sobie tylko, że twoja własna siostra próbuje rozbić ci rodzinę. Odebrać ojca twoim bezbronnym dzieciom. Miałabym ochotę naskarżyć na nią matce.

– To by pomogło?

– Nie, moja matka nie żyje.

– Och, tak mi przykro.

Sally wysączyła swoją szklanke, więc Colm wlał jej resztę cydru i poszedł po drugie piwo dla siebie. Kiedy wrócił, zalewała się właśnie łzami. Dał jej chusteczkę higieniczną.

– Brakuje mi matki – powiedziała Sally.
– Zawsze mi jej brakuje, kiedy mam problemy.

Colm dał jej więcej chusteczek. Miał w kieszeni płaszcz całą paczkę, włożoną tam przez Janet, która zauważyła u niego początki przeziębienia.

– Moja matka zmarła, kiedy byliśmy w podróży poślubnej. Pojechaliśmy na Florydę i reszta rodziny postanowiła, że nic mi nie powie, żeby nie zepsuć mi miodowego miesiąca. Więc dowiedziałam się dopiero po powrocie, kiedy ona była już dwa metry pod ziemią. Więc w jakiś sposób ciągle mi jej brak. Mam wrażenie, że nigdy tak naprawdę jej nie

pogrzebałam. Zawsze mnie to dręczy, kiedy jest jakiś kryzys.

Nos Sally lśnił jak sygnalizacja świetlna. Colm wskazał stojącą przed nią szklanke. Nie ma takiego kryzysu emocjonalnego, którego nie można pokonać odpowiednią ilością procentów.

– Przepraszam, Colm, że obarczam cię tym wszystkim. Ale czuję, że mogę ci zaufać. Zupełnie, jakbym rozmawiała z kobietą.

Super.

– Anita zastawiła na niego sidła, ale on tak łatwo dał się złapać. Chce jej, bo ona jest modelką, co schlebia jego próżności. Próżność mężczyzn nie zna granic. Kobiety są próżne w bardziej powierzchowny, trywialny sposób. W ogóle są często powierzchowne. Próżność mężczyzn jest prawdziwa, głęboka.

Colm wychylił swoje piwo.

Dogłębna, odkrywczą analiza różnic między płciami w wydaniu Sally Carter.

– Chodźmy coś zjeść. Dzieci nie czekają na ciebie w domu? – zaproponował Colm z zapałem i brawurą.

– Mogę zadzwonić, mamy opiekunkę na stałe, więc nie ma sprawy. Zdaje się, że chciała iść dzisiaj do kina, ale powiem, żeby to odwołała.

– Nie będzie miała nic przeciw temu?

– Nie. Ciągłe musi coś odwoływać i nigdy nie ma nic przeciw temu.

Colm zabrał ją do spokojnej sali na tyłach eleganckiej restauracji, gdzie dyskretnie zjedli obiad. Sally zajrzała do tabeli kalorii, którą miała w torebce, i wybrała dania z menu.

– Nauczyłam się tego w Los Angeles.

– Zapomniałaś o cydrze – powiedział Colm.

– O Boże, rzeczywiście. Dziękuję, że mi

przypomniałeś.

Dodała kolejne kilka tysięcy kalorii i zrezygnowała z ziemniaków. Colm wziął z niej przykład i zamówił odrażająco zdrowy posiłek – pstrąga i jakąś wyszukaną kontynentalną sałatę. Czuł, że będzie ją sobie wydłubywał spomiędzy zębów przez cały tydzień.

– Więc co zamierzasz? – spytał.

– Chyba będę musiała zrobić scenę – odparła Sally. – Nie będzie to łatwe, bo nigdy dotąd nie robiłam mu scen. Albo poczekam, aż sam mi powie.

Spytałbym ją, czy ma ochotę na romans, ale nie wiem jak. Zrób to ze mną, Sally. Zrób to ze mną, Sally. Proszę.

Po obiedzie podszedł do nich kierownik restauracji, wysoki, chudy facet o smutnych oczach i czarnych wąsach, wyglądający na Latynosa.

– Mam nadzieję, że państwu

smakowało.

– Było super – odparł Colm.

– W takim razie może zechciałby pan o tym wspomnieć w swoim felietonie.

Skąd on wie, że to ja piszę te felietony? Nikt o tym nie wie.

– W jakim felietonie?

Kierownik poruszył się niespokojnie, jakby grunt usuwał mu się spod nóg.

– Mary Jane... ? Wie pan, nie najlepiej nam tu idzie, potrzebujemy trochę reklamy. Tak teraz wygląda ten biznes. Trzeba być trendy.

Rosnąca histeria.

– Kiedyś, kiedy liczyło się dobre jedzenie, ludzie polecali knajpy znajomym, i to wystarczyło, żeby wieczorem wszystkie stoliki były zajęte. Teraz jest inaczej. Teraz trzeba mieć szwedzkie krzesła, tancerki brzucha i wzmianki w gazetach. Gotowanie staje się

rodzajem pornografii.

Mężczyzna miał łzy w oczach.

– Ja kocham kuchnię. To sztuka, powołanie.

– Zrobię, co będę mógł – obiecał Colm.

Wyszli z restauracji i niepewnym krokiem ruszyli w dół ulicy.

– Jesteś sławny – stwierdziła Sally.

– Nie wiedziałem, że on mnie zna. Tracę anonimowość.

Tracę swój towarzyski immunitet.

– Miło jest być sławnym. Anita jest sławna. Ja też chciałabym być sławna.

Sławna z robienia czegoś pożytecznego, być może.

– Może będę. Może odejdę od Jamesa i stanę się kimś.

Odprowadził ją do samochodu, który stał na strzeżonym parkingu. Stał tam od kilku godzin i Colm był zbulwersowany

kwotą jaka pojawiła się na elektronicznym wyświetlaczu przy wyjeździe.

– Rozbój w biały dzień – mruknął. – Myślałaś o tym, żeby jeździć autobusem?

– Wskakuj – powiedziała.

Zatrzymała się na parkingu przed hotelem na nadbrzeżu.

– Chcesz wziąć pokój? – spytała śmiało, z wdziękiem.

Colm był wstrząśnięty. Podczas gdy on bezskutecznie próbował wykonać jakiś ruch, gryzł się i walczył z wątpliwościami, okazało się, że Sally, krucha, kobiecą nieco stłamszona mała Sally potrafi przejąć inicjatywę, kiedy trzeba. Spojrzał na hotel. Spojrzał na nią. Zaczął dyszeć jak przepełniony wdzięcznością pies.

Sally wynajęła pokój na nazwisko. Brown i zapłaciła za niego kartą kredytową wydaną również na to nazwisko.

– Zawsze miałam własne konto. Ojciec

często dawał mi pieniądze. Wkładałam je tam, żeby nie musieć się tłumaczyć ze swoich wydatków. Mam też konto na nazwisko Carter i pod koniec każdego miesiąca muszę się rozliczać z każdego pensa. Zawsze kończy się to awanturą. Jak przed jakimś trybunałem. Myślałam, że po to wychodzi się za kogoś bogatego, żeby nie zawracać sobie głowy pieniędzmi. Ale James zawsze powtarza: „Nie doszedłbym do tego, co mam, gdybym rozrzucił pieniądze na prawo i lewo”, co jest trochę śmieszne, bo większość swojego majątku po prostu odziedziczył. Poza tym tak naprawdę to on rozrzuca pieniądze na prawo i lewo. Tylko lubi udawać, że tego nie robi, bo jest próżny.

Weszli do pokoju. Nijakiego, anonimowego pokoju, czystego i spartańskiego, z zasłonami i narzutą w wielkie kolorowe kwiaty na łóżku.

Więc to jest scena mojego pierwszego nierządneho aktu. Brak jej... brak jej... znaczenia.

Sally zadzwoniła do hotelowej obsługi i zamówiła butelkę szampana. Colma opadły wyrzuty sumienia. Teraz, kiedy znalazł się w tej sytuacji, nagle się wystraszył. Przed oczami miał swoje dzieci, skaczące po wielkim małżeńskim łóżku. Zaczął się pocić. Sally zrzuciła ubranie i została tylko w luksusowej i na pewno drogiej koronkowej bieliźnie. Była w doskonałej formie, mimo lekkiej skłonności do tycia.

Kobiety są teraz zawsze w doskonałej formie. To takie onieśmielające.

– Patrząc na to wszystko obiektywnie – mówiła – widzę, że James jest bardzo słabym człowiekiem. Brak mu kręgosłupa, zawsze ugina się pod presją innych. Ale mnie umiał zdominować, zmusić, żebym

tańczyła, jak mi zagra. Poza domem często czuje się upokorzony i próbuje to sobie odbić, upokarzając mnie. Widzę, jak w towarzystwie zabiega o popularność, kupuje drogie prezenty, płaci rachunki. Ale ludzie nim gardzą. Przychodzi potem do domu i odgrywa się na starej dobrej Sal. Na początku popełniłam duży błąd, nie każąc mu pracować na moje uznanie. Cały czas za to płacę. Ludzie nie szanują tego, co dostają za darmo.

Sally poszła się wysiusiać, zostawiając otwarte drzwi. – Colm odwrócił wzrok i usiłował nie słyszeć dobiegających z łazienki dźwięków. To wszystko wydawało się takie intymne. Nie był do tego przyzwyczajony. •

– Problem w tym – zawołała, przycupnięta na sedesie – że kiedy wychodzisz za mąż w wieku dwudziestu lat, nie masz pojęcia, jak się zachowywać,

co robić, i pozwalasz na wiele rzeczy, na które nie powinno się pozwalać. I w końcu okazuje się, że żyjesz w niezgodzie z własną naturą.

Wynurzyła się z łazienki. Wyglądała na bardzo odprężoną. Zbyt odprężoną. Jej odprężenie zaczęło go denerwować.

– Odpręż się – powiedziała.

– Jestem odprężony – jęknął.

Pukanie do drzwi. Colm zerwał się na równe nogi.

– Kurwa, co to? Kurwa...

– To pewnie szampan. – Sally otworzyła drzwi, wzięła kubełek z rąk kelnerki i podpisała zamówienie. W pierwszej chwili Colmowi wydało się, że dziewczyna wygląda jak Cordelia. Drgnął. Ale to nie była Cordelia.

Ta dziewczyna mnie prześladowa.

Sally zdjęła szlafrok i naląła szampana do kieliszków.

– Za przyjaźń – powiedziała, podnosząc kieliszek.

– Taa.

Colm siedział w ubraniu i popijał szampana dla kurażu.

– Robiłaś to już kiedyś? – spytał.

– Nie. Nigdy nie zdradziłam Jamesa.

Intuicja podpowiedziała Colmowi, że to kłamstwo. Jak na prawie dziewicę Sally zbyt swobodnie zachowywała się w hotelowym pokoju.

– A ty?

– Nie – odparł. – I lepiej od razu ci powiem, że trochę wyszedłem z wprawy. Od sześciu lat nie kochałem się nawet z żoną więc nie wiem, jak mi pójdzie.

– Och. A dlaczego? – spytała, sącząc szampana.

– Ona nie chce mieć więcej dzieci, a ja nie zgodziłem się na sterylizację.

Ilekroć wspominał o sterylizacji, jego

penis bojaźliwie chował się głębiej w spodnie.

– Dziwne. Czy twoja żona nie chce ci sprawiać przyjemności? Nie boi się, że zaczniesz ją zdradzać?

– Chyba jej to nie obchodzi. – Colmowi wróciła odwaga.

Skorzystaj z okazji. Masz do tego prawo. Urodziłeś się jako istota seksualna. Masz prawo do seksu.

Colm w końcu wszedł do łóżka z Sally, a raczej wśliznął się jak pies, który wie, że jego pan będzie się gniewał. Zrobili to. Sally zachowywała się bardzo dziwnie. Jakby grała w filmie porno. „Jesteś świetny, taki wielki, zrób to ze mną”, należało do repertuaru jej okrzyków. Dyszała dużo i jęczała, ale w bardzo elegancki sposób. Przybierała różne pozy, jakby została specjalnie wyszkolona. Colm miał wrażenie, że Sally udaje, ale ta

falszywa nuta bardzo mu odpowiadała. Tak się przyzwyczał do fantazjowania podczas masturbacji, że czuł się dziwnie w łóżku z prawdziwą kobietą. Zaskoczył go jej dotyk. Zapomniał już, że skóra prawdziwej kobiety jest taka rzeczywista, taka cielesna, zupełnie niepodobna do śliskich kolorowych magazynów. Kobiety z jego fantazji były wszystkie gwiazdami porno i dziewczynami z ostatnich stron „Hot Press” i „In Dublin”, w czarnych kombinezonach z PCV albo pielęgniarских fartuszkach. Smutne papierowe istoty. Nic oryginalnego. Żadnego zwierzęcia, choćby raz na jakiś czas.

– Zrób to, och, zrób to!

Mglista nierealność Sally, jej filmowa poza, ułatwiły mu zadanie. Kończąc, usłyszał ciche chrupnięcie i zdał sobie sprawę, że z jego kręgosłupem już

wszystko w porządku. Przemieszczone kręgi wróciły na swoje miejsce.

Po wszystkim zapadł w drzemkę, co zazwyczaj mu się w takich chwilach zdarzało, a potem obudził się z nerwowym drgnieniem i przez chwilę nastawiał ostrość wzroku na kwieciste zasłony. Czuł, że zrobił krok, który zmieni wszystko.

• – Lepiej już chodźmy – powiedziała Sally, wkładając ubranie. – Dzięki za wszystko. Naprawdę dobrze mi to zrobiło.

– Mnie też.

Tak!

Wyrzuty sumienia

Colm leżał w swoim łóżku, gapiąc się w sosnowy sufit. Czuł się bardzo źle. Zastanawiał się, czy Janet zauważy w nim jakąś zmianę. Wiedział, że wygląda jak zdrajca. Czuł, że w jego oczach można dostrzec zdradę. Czuł, że zdrada usadowiła mu się pod brwiami i na czubku nosa. Wszedł do łazienki i spojrzął w lustro. Zdecydowanie widać było, że jest winny. Pachniał winą. Był winny.

Usłyszał dobiegające z ogrodu piski i śmiech. Zapomniał. Dmuchany zamek. Podeszedł do okna. Był tam, jak statek kosmiczny z innej planety, wielki, kolorowy zamek. Zajmował większą część ogrodu. A mała księżniczka, od niedawna siedmioletnia, skakała po nim w górę i w dół, wrzeszcząc: „Ja jestem królem tego

zamku, zjeżdżaj stąd, ty brudny wieśniaku!”, do swojego starszego brata.

Dlaczego Janet mnie nie obudziła? Wiedziała, że chcę zobaczyć, jak go stawiają.

Odkręcił kurek prysznic i wskoczył pod strumień wody w nadziei, że zmyje z siebie grzech. Szczególnie dokładnie umył penisa, uznając, że ta część ciała najaktywniej uczestniczyła w grzesznych działaniach.

Moje małżeństwo się sypie. Co mam teraz robić?

Wytarł się do sucha czystym miękkim ręcznikiem wyciągniętym z łazienkowej szafki. Szafka była wzorem domowego porządku. Leżały w niej ręczniki, starannie poskładane według rozmiaru, od najmniejszych do największych. Na skraju po lewej stronie znajdowały się małe ręczniki do twarzy, następnie do rąk, dalej

do włosów, a na końcu wielkie ręczniki kąpielowe. Colm zamienił kiedyś ręczniki do rąk z ręcznikami do włosów, żeby zobaczyć, czy kierownictwo to zauważy. Dwa dni później ręczniki wróciły do pierwotnej konfiguracji. Nikt słowem nie wspomniał o przegrupowaniu ręczników. Wszystko ma swoje miejsce.

Colm włożył schludnie złożone ubranie, które Janet zostawiła dla niego na krześle przy łóżku. Wybrane części garderoby były strojem Tatusia: para jasnych lnianych spodni, koszulka w kolorowe paski z zamkiem błyskawicznym pod szyją i pasujące do niej kolorowe skarpetki. Tego dnia miał być Tatusiem. Przez chwilę miał ochotę się zbuntować i włożyć swoje zwykłe szarości i brązy, ale zaniechał tej myśli.

Jestem wdzięczny. Muszę być wdzięczny.

Na dole Janet miotała się po kuchni, mieszając czekoladę na ryżowe ciasteczka jedną ręką, a drugą obsługując mikser rozrabiający ciasto na biszkopt. Na tacach stygły ciastka o różnych, starannie wyciętych kształtach: ślimaków, kotów, królików i tak dalej. Janet zadała sobie wiele trudu, by wszystkim owcom przykleić ogony z anyżowych ciągutek. Jeśli chodzi o przyjęcia urodzinowe, przechodziła samą siebie. Jej wypieki były piękne, artystyczne. Maleńkie rzeźby z mąki i cukru. Była zbyt zajęta, by dostrzec zdradę w jego twarzy, w jego ciele.

– Przykro mi, że nie posłałam ci śniadania na górę, ale dosłownie nie wiem, w co ręce włożyć.

– W porządku – powiedział Colm.

– Mam nadzieję, że wszystko będzie gotowe na drugą. Jest zachwycona zamkiem.

Za oknem roześmiana June skakała niezmordowanie w górę i w dół, obraz czystej radości.

Do kuchni weszła Cordelia, obładowana torbami pełnymi gazowanych napojów i chipsów, obraz czystego nieszczęścia.

– W tym wszystkim jest pełno różnych E i cukru. To trucizna, rzecz jasna.

Janet dyskretnie uniosła oczy do nieba. Colm wziął torebkę chipsów i otworzył ją. Miał ochotę na coś słonego. Nalał sobie też coli do szklanki.

– Idę do Phoedry. Wybieramy się do miasta – oznajmiła Cordelia – Jeśli zadzwoni Carmel, wiecie co powiedzieć.

– Jest taka przygnębiona i nieszczęśliwa, że dałam jej dwadzieścia funtów. Lepiej niech idzie do miasta, zamiast psuć tu dzieciom zabawę. Już nie wiem, co z nią zrobić – westchnęła Janet.

– Pewnie spodobał jej się jakiś chłopak i

nie wie, jak sobie z tym poradzić, więc wylewa swoją frustrację na nas. Wyrośnie z tego.

– Tak myślisz?

– Oczywiście – odparł Colm.

– Powiedziała mi, że zaczęła miesiączkować. Piętnaście lat. Dość późno. Ale jeśli to wszystko ma podłoże hormonalne, to może teraz trochę jej ulży. Martwi mnie, że ciągle wydaje się taka nieszczęśliwa.

Moim zdaniem to okropne dziecko, a na widok jej przyjaciółki Phoedry ciarki mi chodzą po krzyżu.

– Tak bym chciała jakoś jej pomóc.

I to ty sprawiłaś, że jest taka okropna, przez tę swoją cnotliwość...

– Zaniesiesz jeszcze kilka krzeseł do ogrodu, kochanie?

... i swoją świętoszkowość.

– Jasne.

Colm zabrał się do roboty, wystawił krzesła do ogrodu, a potem zajął się barkiem, żeby znalazło się też coś dla rodziców młodocianych gości. Przyjdą sami co zawsze, rodzicielski gang. Colm i Janet spotykali się z nimi na przyjęciach urodzinowych i wywiadówkach. Dogadywał się z tymi ludźmi lepiej, niż się spodziewał. Na początku bał się tych spotkań, gdyż uważał posiadanie dzieci w tym samym wieku za niewystarczającą podstawę towarzyskiego porozumienia, ale za każdym razem całkiem dobrze się bawił. Lubił obserwować subtelną rywalizację rodziców i otwarcie wojowniczą rywalizację dzieci. Kiedy ludzie nie mają wspólnych zainteresowań, do których mogliby się uciec w rozmowie, odsłaniają swoje prawdziwe oblicze.

Brakowało toniku, musiał więc iść do monopolowego – dzin z tonikiem zawsze

cieszył się dużym wzięciem na spotkaniach rodzicielskiego gangu. Jak to się dzieje, że zawsze brakuje toniku, a nigdy dżinu? Można by przypuszczać, że na mocniejszą część tej kombinacji powinien być większy popyt.

Ustawił wszystko najładniej jak potrafił, a potem wybrał się do monopolowego, który był częścią pobliskiego pubu. Wstąpił tam na piwko i wszystko przemyśli.

Pa, kochanie.

W sobotnie południe pub świecił pustkami. Kilku staruszków, którym do ogrzania starych kości musiała wystarczyć szklaneczka smithwicks. Musieli wynieść się z domów, żeby nie plątać się żonom pod nogami. Przerwali rozmowy i pokiwali do niego, kiedy wszedł do środka. Zamówił piwo i usiadł w kącie.

Jego życie nie może dalej tak wyglądać. Jest teraz cudzołożnikiem w pełnym

znaczeniu tego słowa. Ma romans, no, na razie zaliczył tylko jeden skok w bok, ale to prawie romans. Zresztą nie w tym rzecz. Nie zamierzał odejść od rodziny dla Sally. Ona nie miała znaczenia. To on był zdesperowany.

Niezbyt miłe.

A John i June? Byłoby strasznie żyć bez nich, widywać ich tylko od czasu do czasu, w weekendy. Zabierać ich do Burger Kinga. Co to za życie, jeśli nie będą rano wskakiwać do jego łóżka? Może powinien przedyskutować sprawę z Janet, zobaczyć, co ona powie.

Zamówił drugie piwo, a potem jeszcze jedno, i wkrótce zaczęło mu się wydawać, że przesadza. Ma romans. Co z tego? Mnóstwo ludzi ma romanse i żyje szczęśliwie w swoich zakłamanych małżeństwach. Dlaczego on miałby postępować inaczej? Jego małżeństwo i tak

jest farsą. Jak można być niewiernym komuś, z kim się od lat nie spało? To nielogiczne. Jednak mimo że tak bardzo się od siebie oddalili, mimo zupełnego braku porozumienia między nimi, coś łączyło go z Janet. Coś więcej niż tylko nudne przywiązanie. Podziwiał ją.

Podziw to żadna podstawa dla bliskości. Podziwiam Nelsona Mandelę. Podziwiam Ghandiego. Ikony. Nie można się przytulić do ikony. Nie można przerzucić w nocy nogi przez ikonę. Ikony można tylko czcić.

Po trzecim piwie szczęśliwie miał umysł na tyle zamglony, by dojść do wniosku, że to wszystko i tak jest bez znaczenia. Spojrzał na zegar nad barem. Za dwadzieścia druga Cholera Janet pomyśli, że zniknął. Kupił dwie butle toniku i poprosił barmana o dużą torbę z lodem. Ruszył do domu ciężkim truchtem, trzy duże piwa kołysały mu się przy tym w

przepełnionym pęcherzu, jego tłuste ciało podrygiwało rytmicznie, a w torbie grzechotał lód.

Wszedł do kuchni, gdzie zastał Janet, teraz już w stanie spoczynku. Szum kuchennych robotów umilkł na dobre. Wszędzie piętrzyły się stosy ciasteczek, słodczy i najróżniejszych pyszności. Kuchnia wyglądała jak kulinarny raj dla dzieci, w którym Janet pełniła funkcję genialnego stwórcy. Spojrzała na Colma z wyrzutem, a następnie, kiedy zbliżył się na tyle, by mogła poczuć jego oddech, z odrazą.

– Wstąpiłem do pubu na piwo. Musiałem coś przemyśleć. – Spróbował nadać głosowi złowieszczy ton, nutę groźby.

– Jest za pięć druga – oznajmiła Janet z roztargnieniem, bez emocji. Jej umysł szczerlnie wypełniały wycinanki z ciasta i

cukrowe ślimaki.

– Więc jestem pięć minut za wcześnie – odparł Colm i mrugnął do niej. Zaniósł lód i tonik do barku, a potem wyszedł do ogrodu.

Mała June, w kupionej przez matkę odświętnej jedwabnej sukience, siedziała smętnie na krześle, z głową opartą na rękach. Kiedy usłyszała Colma pobrzękującego butelkami, zerwała się na równe nogi i podbiegła do niego.

– Tatusz wrócił, tatusz wrócił – pisnęła, okrążyła go trzy razy i pobiegła znowu skakać w dmuchanym zamku.

– June, przestań! – zawołała Janet przez okno. – Zaraz będziesz musiała przywitać swoich gości. Powiedziałam ci, jak to się robi.

– Prezenty, tak. Hurra, prezenty!

– Przestań – powiedziała Janet. – Bo pomyślą, że zaprosiłaś ich tylko po to,

żeby dostać prezenty.

- No, bo tak jest, no nie? – odparła June.
- Niektórych nawet lubię, ale większość zaprosiłam, żeby dostać prezenty.
- Nie mów tak, to bardzo brzydko.
- Ale to prawda.

Goście zaczęli się schodzić. Legiony siedmiolatek. Mniej więcej połowa miała na sobie odświętne sukienki, reszta była w sportowych ubraniach. Te ostatnie, sportowe, ruszyły prosto do dmuchanego zamku, damy w sukienkach skupiły się wokół stolika z lemoniadą. June rządziła się wśród swoich małych przyjaciółek jak szara gęś i najwyraźniej bardzo jej się to podobało. Była dość drobna, ale wyrastała na małego tyrana.

Wszystkie kobiety w tej rodzinie lubią się rządzić.

Każda z dziewczynek miała ze sobą

prezent i jednego z rodziców, najczęściej mamusię. Z rzadka tatusia. Przedstawiali się po kolei. Cześć, jestem Ron Cusack, ojciec Lindy. Jestem Jennifer, mama Connie. Jestem Sadie. Od Susie.

Janet witała się nimi i zdawała się znać imiona wszystkich dzieci. Może jako nauczycielka szybciej je zapamiętywała. „Jaką Susie ma śliczną sukienkę. Connie ma takie piękne kokardy. Bardzo mi się podoba kapelusik Jenny”. Colm był pod tym względem beznadziejny. Przytłaczała go już sama liczba dzieci, nie potrafił ich rozróżnić. Wszystkie wyglądały tak samo. Z wyjątkiem jego najdroższych skarbów.. Tatusiowie podchodzili do Colma, . szczęśliwi, że w domu znalazł się mężczyzna, a on dla pocieszenia nalewał im duże porcje dżinu.

– Widzę, że coś się tu buduje. Rynek nieruchomości to niesamowita rzecz,

prawda? – powiedział Ron, którego zapewne siłą trzeba było odciągać od zaplanowanego na weekend golfa. Dla poprawienia sobie nastroju włożył sportową koszulkę. Ceny nieruchomości wypierały ostatnio pogodę jako temat na przełamanie pierwszych lodów w czasie przyjęć. Ron był łysiejącym mężczyzną o bardzo różowej skórze. Wyglądał, jakby przesadzał z higieną osobistą.

– Domyślam się, że zgarnęliście niezłą sumkę za ten kawałek ogrodu.

– Bardzo im zależało na tych terenach – odparł Colm. Widział wyraźnie, że Ron świetnie pasuje do tego przyjęcia.

Ron mnie lubi.

– Mój dom więcej zyskuje co miesiąc na wartości, niż ja zarabiam – powiedział Ron.

– Jestem w podobnej sytuacji. – Colm pozwolił sobie na ironię.

– Dobrze mieć trochę ziemi, którą odpowiednim momencie można korzystnie sprzedać – Ron urwał na moment. – Więc ile?

Najwyraźniej nie uważał, że to zbyt wścibskie pytanie. Colm był innego zdania.

– Nie pamiętam dokładnie.

Naprawdę nie pamiętał. Nie miał pamięci do cyfr. To Janet zajmowała się sprzedażą i to ona zainwestowała później otrzymane pieniądze. Wydała je na naprawę dachu i rynien oraz malowanie, a pozostałą część ulokowała w funduszu powierniczym, na pokrycie wydatków związanych z kształceniem dzieci.

Janet pełniła funkcję ministra finansów. Colm nie pamiętał kwoty, pamiętał tylko, że była absurdalnie wysoka. Dwadzieścia tysięcy? A może trzydzieści?

– Niech zgadnę – powiedział Ron. –

Pięćdziesiąt patyków?

Colm odpowiedział mu pustym spojrzeniem. Tak, może pięćdziesiąt. A może sześćdziesiąt? Ron wziął jego wahanie za unik i pewnie poczułby się urażony, gdyby posiadał gen urazy.

– Ludzie zbili fortuny na paragrafie dwudziestym trzecim ustawy o mieszkalnictwie. Hańba. – Ron potrząsnął głową. Colm patrzył na niego, zafascynowany. Ustawy i akty prawne nie mieściły w granicach jego pojmowania. – Paragraf dwudziesty trzeci. Ustalili maksymalną powierzchnię mieszkań w taki sposób, by wykorzystać lukę w przepisach podatkowych, więc wszystkie mieszkania w centrum miasta są za małe dla rodzin, i kiedy te rodziny o jednym dochodzie sprzedają je, żeby zamieszkać w większych mieszkaniach albo domach, całe osiedla skazane są na degenerację.

Stają się slumsami.

– Bardzo interesujące – mruknął Colm.

Ron uznał to za zachętę do dalszej dyskusji.

– Ten proces już się zaczął. Pełno tam czarnych i ludzi z Europy Wschodniej. Korporacja wynajmuje teraz te mieszkania od prywatnego sektora, żeby poradzić sobie z imigrantami. Wszystko poupada. Widać to czarno na białym. Dosłownie. Graffiti na korytarzach.

– To rasistowskie podejście – powiedział Colm uprzej – mie.

– Rasistowskie? Nie, nie jestem rasistą. Po prostu wolę moją własną rasę. To naturalne. Każdy woli swoją własną rasę.

– No, niekoniecznie – odparł Colm. – Jest jeszcze pociąg do tego, co inne, egzotyczne.

– Pociąg, tak – powiedział Ron. Podwinął rękawy koszulki, wyraźnie

zapalając się do tematu. – Ale w przypadku prokreacji sprawa wygląda inaczej. Pociąg to jedno, a mariaż to drugie. Weźmy taki przykład. Jeśli ożeniłeś się z chudą gąską, he, he, to oczywiście od czasu do czasu wpadnie ci w oko jakaś bardziej zaokrąglona gąska. – Ron spojrział w stronę Janet, która krzątała się po ogrodzie w nietypowej dla siebie, bardzo kobiecej sukience, która podkreślała jej zaokrągloną figurę.

Metafora ornitologiczna dla zobrazowania antropologicznej teorii.

– Ludzie, którzy lubią przygody, wolą egzogamię. Tylko burżuje dążą do mariaży z podobnymi sobie – zaproponował Colm.

– Egzo... co? – spytał Ron. Znał się na ustawach podatkowych, ale nie radził sobie ze słowami greckiego pochodzenia.

– Egzogamia. Poszukiwanie partnera poza własnym plemieniem. Bardzo istotna

z punktu widzenia genetyki. Endogamia wiąże się z paroma ewolucyjnymi problemami.

– Endo... co?

Bałwan. Bałwan. Ten facet to bałwan.

– Nie jestem rasistą – zapewnił go Ron.

– Nie ma nic złego w innych rasach, tyle tylko, że nie chciałbym się ożenić z kobietą innej rasy. Sikhowie – to dopiero rasiści. Nie mieszają się z nikim. I czy można mieć im to za złe?

Colm marzył, by ktoś ocalił go przed koszmarem, jakim okazał się tatuś Lindy Cusack, ale wszyscy inni tatusiowie stali razem, pogrążeni w ożywionej rozmowie, prawdopodobnie o piłce nożnej, a mamusie pozostawiły ich samym sobie. Postanowił, że sam się ocali.

Opuścił swój bar na chwilę i wyszedł do ogrodu, gdzie Janet rozdawała dzieciom ciasteczka i molestowała dorosłych

słonymi paluszkami. Przebrała się w ostatniej chwili, kiedy tylko skończyła produkcję słodyczy. June kazała włożyć mamusi różową sukienkę.

– Chcę, żeby moja mamusia ładnie wyglądała w sukience i rozpuściła włosy.

June miała już dość granatowych sweterków i długich brązowych spódnic swojej matki. Tego szkolnego uniformu. June chciała mieć ładną matkę, ładną i ubraną na różowo, który był jej ulubionym kolorem.

Wszyscy ubieramy się po to, żeby sprawić przyjemność komuś innemu.

Janet gawędziła swobodnie z innymi matkami. Wyglądała naprawdę ślicznie w tej sukience, z rozpuszczonymi włosami. Podekscytowanie spowodowane przyjęciem wywołało rumieńce i wyraz ożywienia na jej twarzy. Była piękną kobietą.

Zaokrąglona gąska, he, he.

Dzieci pochłoneły ciasteczka, wypily lemoniadę, po czym poszły skakać w dmuchanym zamku, żeby to wszystko wymieszać.

Mały John, samotny w tym dziewczęcym towarzystwie, oddawał się najbardziej niepokojącej ze swych ulubionych rozrywek. Wykopał niedawno długą wąską dziurę pod płotem ogrodu i leżał w niej na wznak, czasem całymi godzinami. Janet wyciągnęła z niego w końcu, o co mu chodzi. Leżał w dziurze, ponieważ chciał zobaczyć, jak to jest, kiedy się jest martwym. Teraz próbowała wywabić go z dziury za pomocą ciasteczek ryżowych, w obawie, że przestraszy dzieci, jeśli im wyjaśni, co tam robi. Albo, co bardziej prawdopodobne, przestraszy dorosłych.

Przez całe popołudnie utrzymała się

piękna pogoda, dzieci mogły więc wyładować w ogrodzie nadmiar energii. Ich wyjściowe sukienki ozdobiły różne kombinacje napojów i czekolady. Dwie dziewczynki wdały się w kłótnię o ciasteczko w kształcie motyla; obie płakały i darły się wniebogłosy. Żadna z nich nie chciała przyjąć drugiego motyla przyniesionego z kuchni. Każda upierała się, że nadgryzione ciastko należy właśnie do niej. Sprawa utknęła w martwym punkcie. Nadgryziony motylek, kwestia życia i śmierci. Jedna z dziewczynek tak się przejęła, że zmoczyła majtki. Podarło się kilka sukienek. Tulipany Janet zostały wdeptane w ziemię. Jedna dziewczynka, wyjątkowo złośliwa, podstępnie spychała inne z dmuchanego zamku. Kiedy dzieci poszły się poskarżyć, jej mama, która przyszła już trochę wstawiona, a po paru drinkach Colma była narąbana na sztywno,

oznajmiła, że jej dziecina nie zrobiła nic złego, i wyszła chwiejnie, wlokąc za sobą płaczącą rozpaczliwie małą. Współuzależnienie. Kliniczny przypadek.

Colm spojrział ze smutkiem na matkę wciągając dziecko w swój nałóg. Przynajmniej tego nie robił. Nigdy nie pozwolił, by jego dzieci widziały go pijanego. Poza tym alkohol nie działał na niego w ten sposób. Nie wywoływał u niego hysterii ani zaburzeń osobowości, po prostu go znieczulał. Colm nigdy nie wdawał się w pijackie kłótnie, tylko zapadał w pijackie drzemki.

Cieęższa patologia została mi oszczędzona.

Colm zabawiał rodziców, napełniając ich szklanki w bardzo szybkim tempie. Wszystkie dzieci dostały nagrody po bardzo długiej grze w „podaj dalej”. O szóstej wszyscy byli gotowi do wyjścia,

maleństwa zmęczone i złe, mamusie i tatusiowie spojeni gigantycznymi drinkami Colma. W ciągu pięciu minut dom opustoszał. Oszołomione dzieci szły do domu, krzycząc:

„Wygrałam! Wygrałam nagrodę!” Zaraz potem wrzaski umilkły i zapanowała cisza.

– Tak to teraz wygląda. Każdy musi dostać nagrodę – powiedział Colm do Janet, która pracowicie zapakowała wszystkie maskotki w ozdobny papier.

– Tak jest lepiej. Nikt nie wraca do domu rozczarowany.

– Kiepskie przygotowanie do życia – odparł Colm.

Janet spojrzała na niego, jakby chciała coś powiedzieć, ale zmieniła zdanie.

– Moja matka – powiedział Colm – zawsze wkładała do niektórych paczek kawałki węgla. Dziecko rozrywało papier, żeby zobaczyć swoją nagrodę i po chwili

całe było umazane miałem węglowym. Pamiętam jednego chłopca, który nie był w stanie pogodzić się z faktem, że został tak okrutnie potraktowany przez los, i twierdził, że uwielbia węgiel. Włożył nawet kawałek do buzi.

– To nie było miłe – zauważyła Janet.

– Nie, miłe nie, ale za to śmieszne.

Colm poszedł do ogrodu wywabić Johna z jego grobu. Chłopiec leżał na plecach, z rękami skrzyżowanymi na piersiach, i patrzył w niebo.

– Tatusiu, chciałbyś wiedzieć, jak to jest, kiedy człowiek umrze?

– Nie, John, dzięki.

Wziął syna na ręce i zaniósł do domu. Janet przygotowała dla nich pożywny obiad. Smakował wspaniale po wszystkich tych świństwach, które skubali przez cały dzień. Janet spięła włosy, zdjęła różową sukienkę i wróciła do swojej szkolnej

estetyki.

– Superurodziny – westchnęła June, po czym skuliła się w fotelu i zapadła w głęboki, zasłużony sen.

Do kuchni weszła Cordelia i naląła sobie zupy do miseczki.

– Jak było w mieście, kochanie? – spytała Janet.

– Świetnie – mruknęła Cordelia do swojej miseczki.

– Idę trochę popracować – powiedział Colm i ruszył do gabinetu. Rozległ się cichy brzęk, kiedy sięgnął po drodze po butelkę dżinu.

Zaginienie

Janet zbudziła Colma delikatnie koło dziewiątej rano i podała mu filiżankę herbaty. Colm miał potwornego kaca. Kac po azynie z tonikiem, najbardziej jadowity gatunek kaca.

– Colm, wstawaj. Cordelia zginęła.

Colm spróbował ogarnąć problem i powiedzieć coś sensownego.

– Ghnnnmg! – zdołał wydusić.

Herbata. Tego mu teraz trzeba. Wziął kubek i pociągnął długi łyk.

– Ghnnnmg? – powiedział znowu, tym razem z intonacją pytającą.

– Wydaje mi się, że nie spała w domu. Jej łóżko jest nieposłane, ale zupełnie zimne.

– Ghnnnmg godzina?

– Dziewiąta.

– Może wstała wcześniej i poszła sprzątać park czy coś w tym stylu – wymruczał Colm, trąc powieki i drapiąc się po głowie. Zdenerwowanie w głosie Janet trochę go rozbudziło.

– Nie sądzę. Mam złe przeczucia. Zachowywała się ostatnio tak dziwnie.

– Nie martw się, Janet. To strasznie rozsądna dziewczyna. Pewnie poszła pobiegać czy coś. Nastolatki często wstają wcześniej rano, żeby robić różne dziwne rzeczy. Zaczekaj jeszcze godzinę, a potem zadzwoń do Phoedry. Może jest u niej.

Janet zgodziła się niechętnie.

– Kiedy ja byłem w jej wieku – powiedział Colm – sypiałem ze sznurkiem przywiązanym do kostki u nogi. Drugi koniec sznurka wisiał za oknem, żeby David mógł mnie rano obudzić. Zawsze wstawaliśmy wcześniej, żeby pobiegać albo iść na ryby. Cordelia jest na pewno z

Phoedrą w jakimś zupełnie nieprzewidzianym miejscu, na przykład na porannej mszy. Dostanę jeszcze herbaty?

Janet westchnęła i poszła po herbatę. Zawsze starała się zaspokajać jego potrzeby. Przynajmniej niektóre. Herbata, koszule, czyste majtki.

Jestem cudzołożnikiem.

Wspomnienie cudzołożnego aktu wróciło do niego nagle, jak potężna fala. Wczorajsze spotkanie z rodzicielskim gangiem wyparło je na pewien czas. Wróciła Janet z herbatą.

Zdradzam kobietę, która pierze moje majtki. Przestań dramatyzować. Wrzuca je do pralki. A jednak...

– Aaaa.

– Zadzwoiłam do Phoedry. Kate powiedziała mi, że Phoedra pojechała do kuzynki na cały dzień. Dała mi jej numer, zaraz tam zadzwonię. Tak się martwię,

Colm. A wcześniej odebrałam dziwny telefon. Podniosłam słuchawkę i powiedziałam: „halo”, a kilka sekund później ten ktoś się rozłączył.

– To pewnie pomyłka – stwierdził Colm.

Twarz Janet poszarzała trochę, a na jej czole i górnej wardze wystąpiły kropelki potu. Colmowi zrobiło się jej żal.

– Cordelia wydaje się taka nieszczęśliwa. Serce mi się kraje, kiedy na nią patrzę. W tej dziewczynie nie ma cienia radości. A ma dopiero piętnaście lat. Powinna cieszyć się życiem.

Ale ty też wydajesz się nieszczęśliwa.

– Robiłam dla niej, co mogłam. Staralam się być dobrąmatką i wynagrodzić jej fakt, że ojciec zupełnie się nią nie interesuje. Wszyscy mówili, że to zrujnuje mi karierę, widoki na przyszłość. Że wpadnę w pułapkę ubóstwa. Aleja

byłam zdecydowana i udało mi się stworzyć dla nas dom, bez żadnej pomocy ze strony mojej rodziny. Od nich słyszałam tylko: „a nie mówiłem” przy każdej okazji. Oczywiście jak tylko stanęłam na nogi, każdy uważał, że to jego zasługa. Aleja dokonałam tego sama. Moja pierwsza praca, w tej przyklasztornej szkole, dostałam ją, bo było im mnie żal. Zakonnice mi współczuły. A ja musiałam znosić ich litość i być wdzięczną za to, że dały mi pracę. Okropnie się z tym czułam. Nikt mnie tak naprawdę nie rozumiał, oczywiście do chwili, kiedy spotkałam ciebie. A ty byłeś taki dobry dla Cordelii. Wiem, że teraz jest bardzo trudna, ale kiedyś tak dobrze się dogadywaliście. Gdzie popełniliśmy błąd? Oddałaby wszystko, żeby znowu usłyszeć jej śmiech.

To nie jest odpowiedni moment na rozmowę o kryzysie małżeńskim.

Colm był teraz w pełni przytomny i pełny herbaty. Tanina rozjaśniła mu umysł, usiadł i postanowił przejąć dowodzenie. Widoczna rozpacz Janet w połączeniu z wywołanymi cudzołóstwem wyrzutami sumienia sprawiły, że poczuł się wyjątkowo dorośle.

Jestem mężczyzną. Potrafię się zachowywać jak mężczyzna.

– Nie obwiniaj się o to, że popełniłaś jakiś błąd. Dzieciaki robią różne głupstwa.

Wziął kawałek papieru z numerem kuzynki i podszedł do telefonu w sypialni.

– Robię to tylko po to, żebyś się uspokoiła – powiedział i poklepał dłoń Janet z pewną dozą uczucia.

Phoedra istotnie była u kuzynki. Stanowczo twierdziła, że nie ma pojęcia o planach Cordelii na ten dzień. Mówiła jednak w tak dziwny, zawzięty, sposób, że Colmowi wydało się to podejrzane.

Phoedra była takim beztalenciem, że nie potrafiła nawet porządnie kłamać, jak na osobę w jej wieku przystało. Colm zakończył rozmowę i odłożył słuchawkę.

– Chyba masz rację. Myślę, że rzeczywiście coś tu jest nie tak. Phoedra zachowywała się bardzo dziwnie.

– I co my teraz zrobimy?

– Sądzę, że trzeba zadzwonić na policję i zgłosić zaginięcie.

Na dole John i June, którzy wyczuli atmosferę paniki, bawili się cicho przy kuchennym stole. June zajęła się dość przerażającym zestawem różowych zabawek, które otrzymała poprzedniego dnia w ramach prezentów urodzinowych. Poinformowała wszystkich uprzednio, że w tym roku życzy sobie dostać wyłącznie akcesoria dla Barbie. Otrzymała między innymi komplet puszek z różowym spaghetti dla Barbie i upierała się, by

podawano je do każdego posiłku.

John rysował wojenne obrazki, z mnóstwem patykowatych ludzi, rozrywanych przez bomby. Na wszystkich kartkach było pełno czerwonej krwi, żółtych wybuchów i szarego dymu. Mimo wysiłków Janet, John i June doskonale mieścili się w męsko-damskich stereotypach.

– Patrz – mówił John – to ciało tutaj (wskazał rozczłonkowaną postać po lewej stronie kartki) oderwało mu głowę, która jest teraz tu (wskazał głowę zwisającą z gałęzi drzewa po prawej), a tu, zobacz (wskazał brązową plamę w kształcie pęta kiełbasy), zgadnij co to jest?

– E, nie wiem.

– To jego ręka.

– Och. Bardzo w stylu Blake’a.

– Jeszcze nigdzie nie spadła. Po prostu leci w powietrzu. Co znaczy „w stylu

Blake'a”?

– To znaczy mniej więcej w twoim stylu, John.

– I ta ręka wleci przez okno do kuchni i spadnie na talerz i matka będzie chciała ją usmażyć, bo pomyśli, że to kiełbasa.

– Jaka matka?

– Ta w tym domu – odparł John, wskazując domek na wzgórzu, narysowany pośrodku.

– Nie widać jej od zewnątrz, ale narysowałem też dom od środka. – Wyjął inną kartkę i rzeczywiście, była tam matka, blondynka, taka jak Janet, i dwoje dzieci, ciemnowłosych jak John i June, oraz patelnia ze smażącą się na niej kiełbasianą ręką.

Colm nie wiedział, czy powinien być zachwycony, czy przerażony.

– A to jest brodawka na twarzy June – dodał John, pokazując małą czarną kropkę

na okrągłym policzku dziewczynki z obrazka.

– Ale June nie ma brodawki na twarzy.

– Tak naprawdę to nie ma, ale to jest równoległa rzeczywistość.

– Myślę, że Cordelia uciekła – odezwała się June.

– Skąd ci to przyszło do głowy? – spytał Colm.

– Myślę, że uciekła do Londynu promem.

– Czy ty coś wiesz? – indagował Colm.

– Szukać szczęścia, jak Dick Whittington i jego kot. Dick Whittington miał tylko dwanaście lat. Cordelia ma piętnaście. To już jest wystarczająco duża.

Do kuchni weszła Janet, blada jak ściana.

– Zadzwoiłam na policję. Będą tu za kwadrans. Sprawdziłam jeszcze raz jej pokój, nie ma kilku ubrań i jej książeczki

bankowej. Ale to nic nie znaczy. Często nosi ze sobą tę książeczkę. – Janet usiadła na krześle, zgarbiona, jakby przetrącono jej kręgosłup. – Ostatnio tyle się słyszy o zaginięciu młodych dziewczyn. Większości nigdy nie odnaleziono. Na świecie jest pełno handlarzy kobietami. Tak łatwo byłoby ją zwabić i wsadzić do bagażnika samochodu. Nie mogę o tym nawet myśleć.

Zadzwoił telefon i zerwała się, żeby odebrać. Po drugiej stronie panowała cisza. Colm podbiegł do Janet. Jej twarz była biała jak kreda.

– Cordelia? Cordelia? To ty? – krzyczała Janet, kurczowo zaciskając dłoń na słuchawce. Cisza. – Cordelia, odezwij się. – Cisza. A potem połączenie zostało przerwane. Na widok przerażenia Janet Colm poczuł, jak podnoszą mu się włoski na karku.

– O Boże, nie. Co to za telefony? Ktoś jama i nie pozwala jej się odezwać.

– June uważa, że Cordelia pojechała do Londynu. Myślę, że ona coś wie.

– Wiesz coś? Cordelia coś ci powiedziała? – spytała Janet.

– Nie – June spojrzała na rodziców spokojnie i poważnie. – Ale widziałam, jak oglądała mapę Londynu w swoim pokoju. I spytałam ją o Dicka Whittingtona. Więc myślę, że tam pojechała.

– Junie, czy powiedziała ci coś jeszcze? – Janet usiłowała zachować spokój.

– Nie.

– Przypomnij sobie.

– Noo...

– No co? – dopytywała Janet, przekonana teraz, że mała coś wie.

June popatrzyła na ojca. A potem niepewnie spuściła wzrok.

– Powiedziała, że nie lubi tatusia i że

albo on musi stąd zniknąć, albo ona. .

O, Jezu. To okropne, powiedzieć coś takiego małej June.

Janet spojrzała na Colma nieprzeniknionym wzrokiem. •

Gdybyś nie podsyciała w niej tego krytycyzmu, nie miałaby o mnie tak złego zdania. Może. Nie trzeba być zbyt krytycznym, żeby mieć o mnie złe zdanie. Sam mam o sobie bardzo złe zdanie.

Policja

Muszę powiedzieć, proszę pani, że większość zaginięć nastolatków to nie porwania, a w dziewięciu przypadkach na dziesięć dziecko jest u przyjaciół albo ukrywa się gdzieś w okolicy. Jednak czasem okazuje się, że sprawa jest poważna, więc badamy wszystkie zgłoszenia. Czy w domu były jakieś problemy z córką? Kłótnie czy coś w tym rodzaju? Nieporozumienia?

– Eee, nie – odparła Janet.

– Pan jest jej ojczymem, panie Cantwell. Jak wam się układa?

– Świetnie – zapewniła Janet.

W świecie Janet wszystko jest „świetnie”.

– Nie najlepiej – powiedział Colm.

Inspektor O’Grady przynosił przez

chwilę wzrok z męża na żonę i z powrotem, czekając na wyjaśnienia. Colm patrzył na niego spokojnie. W towarzystwie policjantów zawsze czuł się nieswojo. Czuł się przy nich winny. Na jego postawę wpłynęły lata studenckie, kiedy często nosił przy sobie niewielkie ilości trawki na własny użytek. Przez to zawsze czuł się jak przestępca.

– Z naszych doświadczeń wynika, że często się zdarzastwierdził O’Grady – że dzieci nie akceptują przybranego rodzica. Nastolatki zawsze mają problemy z rodzicami, a kiedy jedno z nich jest przybrane, skupia na sobie całą niechęć. To bardzo częsta sytuacja. Bardzo częsta.

– Och.

– Mamy ostatnio wiele takich przypadków, coraz więcej, bo rośnie liczba rozwodów i tak dalej.

Brzmi to tak, jakby mówił o jakimś

wirusie.

Inspektor Cavan mówił z akcentem, który przywodził na myśl zawodowego komika, ale zimny błysk w jego oczach nadawał mu wygląd rzezimieszka. Drugi policjant nic nie powiedział, ale robił notatki.

– Dziecko łatwo może się zwrócić przeciwko swojemu ojczymowi, nawet jeśli niczym nie zawinił.

Ale wiemy, że w tym przypadku jest inaczej.

– Mówi pani, że jej biologiczny ojciec pojawił się niedawno po raz pierwszy? Kiedy to było? – spytał O’Grady bardziej neutralnym tonem.

– Trzy miesiące temu – odparła Janet.

– Czy mogła pojechać do niego? Zna pani jego adres?

– Wydaje mi się, że mieszka u swoich rodziców. Dam panu adres. Ale wątpię,

żeby córka tam była.

– Czy mógł ją uprowadzić?

– To mało prawdopodobne. Możliwe, ale mało prawdopodobne – powiedziała Janet. – Ma problem z narkotykami, niestety.

– Zgadzam się – dodał Colm. – Prawdę mówiąc, chyba nie byłby w stanie ukraść batonika ze sklepu, nie mówiąc o uprowadzeniu tak opornego dziecka.

O’Grady spojrział na Colma surowo, jakby chciał powiedzieć, że jeśli nawet kradzież batonika ze sklepu może się wydawać czymś banalnym, jest jednak wykroczeniem przeciw prawu. Pierwszy krok na drodze do zbrodni. Dzisiaj batonik ukradziony ze sklepu, jutro napad na stację benzynową. Colm poczuł, że nie zrobił na policjantach dobrego wrażenia.

– Ma chłopaka? Nastolatkom często się wydaje, że przeżywają wielką miłość.

Przerabiają w szkole *Romea i Julię* i całkiem im odbija. Tak bywa.

– Nie – powiedziała Janet. – Wydaje mi się, że chłopcy jeszcze jej nie interesują.

Milczący policjant zapisał to w notatniku.

– Ma przyjaciółkę, Phoedre, która prawdopodobnie wie, co się stało, ale nie chce nic powiedzieć ani mnie, ani mężowi. Rozmawiałam z jej matką, ale Phoedra upiera się, że nic nie wie. Ma jeszcze dwie bliskie przyjaciółki ze szkoły, Carmel i Veronicę. Ale możliwe, że Cordelia zachowała swoje plany dla siebie, jest bardzo samodzielna i skryta.

– Mogła uciec, żeby zostać bojownikiem o ekologię – odezwał się Colm.

– Słucham? – powiedział O’Grady.

– Przesadnie interesuje się ekologią. Mogłaby zrobić coś takiego, jeśli, eee... – Colm urwał niepewnie.

– Wielu młodych ludzi interesuje się ochroną środowiska – oznajmił O’Grady.

Dlaczego to zabrzmiało jak nagana?

– Dzisiaj odebraliśmy też kilka dziwnych telefonów – powiedziała Janet. – Ten ktoś słucha mojego głosu przez kilka sekund, a potem odkłada słuchawkę. Boję się, że ktoś porwał Cordelię i nie pozwala jej się odezwać. Odchodzę już od zmysłów.

Ul Jak na zamówienie, zadzwonił telefon. Janet spojrzała na policjantów, na Colma, a potem rzuciła się pędem do przedpokoju i chwyciła słuchawkę.

– Halo? Halo, Cordelia? – krzyknęła do słuchawki. Policjanci ruszyli za nią do holu. W słuchawce przez chwilę panowała cisza, później połączenie zostało przerwane. Janet rzuciła słuchawkę i wybuchnęła płaczem. Colm odruchowo objął ją ramieniem i zaraz poczuł się

nieswojo. Czułe odruchy od dawna nie figurowały na liście ich małżeńskich zachowań. Janet łkała wtulona w jego ramię.

– Ktoś ją porwał.

– Ćśśś – uspokajał ją Colm.

Obaj policjanci odwrócili się i weszli z powrotem do pokoju, zachowując profesjonalny spokój wobec tego wybuchu emocji.

Telefon znowu zadzwonił. Colm i Janet patrzyli na niego bez ruchu. Colm był teraz tak napięty, że ramiona zupełnie mu zeszywniały. Janet cofnęła się gwałtownie. Colm podszedł do telefonu i ostrożnie podniósł słuchawkę.

– Halo – powiedział niepewnie.

Cisza. I czyjś oddech.

– Colm, najdroższy, kocham cię – rozległ się niski głos Sally Carter.

Jezu!

– To było cudowne spotkanie, od tego czasu ciągle za tobą tęsknię.

Colm zasłonił słuchawkę dłonią i posłał Janet uspokajający uśmiech. Powiedział bezgłośnie „w porządku” i wrócił do rozmowy z Sally.

– Sally, dzwoniłaś wcześniej? – spytał tak spokojnie, jak tylko potrafił.

– Tak, ale dwa razy odebrała twoja żona, więc po prostu się rozłączyłam. Wydaje się naprawdę dziwna. Zupełna histeryczka. Wrzeszczała do telefonu: „Odezwij się! Odezwij się!” Nie dziwię się, że nie układa wam się w małżeństwie.

– Wszystko w porządku – powiedział Colm do Janet. – Mamy winowajcę. Idź do policjantów i powiedz im, że te głuche telefony nie mają związku z Cordelia.

Janet potrząsnęła głową i wróciła do salonu.

– Tak bardzo chciałabym znowu cię

zobaczyć. Kiedy możemy się spotkać? Chcę cię znowu dotknąć – oddech Sally przyspieszył, zaczęła dyszeć. – Chciałabym cię zjeść.

Jezu!

– Eee, Sally, mamy tu mały kryzys. Moja pasierbica zaginęła. Nie dzwoń do mnie. Skontaktuję się z tobą, jak tylko ją odnajdziemy.

– Och, biedactwo. Zaginęła. Okropne. Może mogłabym coś zrobić?

– Nie. Zadzwoń do ciebie później. Pa.

– Odłożył słuchawkę mimo protestów Sally.

– Pomogę wam jej szukać. Mogłabym...
Z powrotem do pokoju.

Policjanci i Janet spojrzeli na niego, kiedy wszedł.

– To Sally. Dziewczyna Davida, chce o nim porozmawiać. Powiedziałem, że to nieodpowiedni moment. To ona dzwoniła

wcześniej, więc nie musimy się już przejmować tymi głuchymi telefonami. Dzwoni z budki telefonicznej, aparat nie przyjmował monet – skłamał Colm gładko.

– Och, David zawsze ma pełno dziewczyn. – Janet natychmiast uwierzyła. – David to przyjaciel Colma, jeszcze ze szkoły – dodała, zwracając się do policjantów.

– Ach, tak.

Policjanci spojrzeli podejrzliwie na Colma. Poczucie winy wywołane cudzołóstwem przesiąkało wszystkie aspekty jego życia.

Cordelia powiedziała, że albo ja, albo ona.

Milczący policjant dopisał coś do swoich notatek, gadający porozmawiał z Johnem i June, i w końcu obaj się wynieśli. Pierwszym punktem dochodzenia miał być prawdziwy ojciec

Cordelii.

– Wątpię, żeby się czegoś od niego dowiedzieli. Ona go po prostu nigdy nie interesowała – westchnęła Janet.

Colm ostrożnie objął ją ramieniem. Wydawała się taka drobna, taka krucha. Poczł się trochę dorośle.

Po południu do portu zawinęła rodzina Janet. Maria, ta która lubiła się rządzić, przybyła wraz z dwójką swoich wzorowych dzieci, Enyą i Cathalem. Enya miała prezent urodzinowy dla June. Nie przyszła na przyjęcie, bo w soboty miała lekcję gry na skrzypcach i nie chciała jej opuścić, jako że pracowała na złoty medal. June bardzo jej współczuła, kiedy się o tym dowiedziała. Życie bez przyjęć urodzinowych. Okropność.

Alice, trzecia siostra, ta cicha, przyszła trochę później. Razem z ich bratem Fintanem. Colm pomagał robić dla

wszystkich herbatę. Zastanawiał się, czemu miało służyć to picie herbaty. Czy nie powinni raczej przeczesywać zarośli i grzebać w kanałach? Była to odpowiedź Janet na każdy kryzys – usiąść i napić się herbaty. Ilekroć pojawiała się jej rodzinna flotylla, Janet zadawała retoryczne pytanie: „Zaparzyć herbaty?” Nagła śmierć jej matki, po grypie, która rozwinęła się w zapalenie płuc, wywołała herbaciana orgię, ciągnącą się prawie przez dwa tygodnie.

Maria miała wiele do powiedzenia, głównie na temat braku odpowiedzialności Janet i rozpuszczenia Cordelii, której na wszystko pozwalano.

– Wszystkie twoje dzieci są rozpuszczone jak dziadowski bicz, Jan. Od kołyski. Zawsze ci powtarzałam, że nie powinnaś brać dziecka na ręce, jak tylko zacznie płakać. Tylko tak można je czegoś nauczyć. Kiedy Cordelia wróci, musisz

pokazać jej, co to znaczy dyscyplina.

– Rozmawialiśmy już o tym i wiesz, że ja zupełnie inaczej pojmuję rodzicielskie obowiązki. Nie chcę się teraz kłócić.

Kłótnia jednak wybuchła, podsycona ogólnym zdenerwowaniem i lękiem Janet. Zazwyczaj pozwalała siostrze wygłaszać opinie, tego dnia jednak była wyjątkowo uparta. Dzieci Marii były nieskazitelnie czysto ubrane i zachowywały się bez zarzutu.

W przeciwieństwie do naszej młodocianej przestępczyni i dwóch małych androidów.

– Przepraszam, mamusiu, czy mogłabym dostać szklanek mleka?

Johna i June trzeba było przekupywać, żeby wypili mleko zamiast soku z pomarańczy. Pieniądze przechodziły z rąk do rąk.

Alice, najmłodsza z sióstr, słodka, cicha

i smutna, nic nie mówiła, tylko kręciła głową, słuchając gwałtownej wymiany zdań na temat metod wychowawczych. Fintan mówił o innych sprawach, o swojej pracy, swoim nowym samochodzie i swoich fenomenalnych wyczynach na korcie tenisowym. Pił herbatę, rozkoszując się nią przesadnie, jakby miał w ręce butelkę piwa. Oblizywał wargi po każdym łyku. Udało mu się zignorować przyczynę tego rodzinnego spotkania przy herbacie.

Colm poszedł do domu Phoedry. Mieszkała kilka ulic dalej, w Rathgar. Czuł, że Phoedra wie znacznie więcej, niż chciała powiedzieć. Była pora kolacji, powinna więc już wrócić od kuzynki. Colm zadzwonił do drzwi. Otworzyła matka Phoedry, Kate Cooper, twarda kobieta po czterdziestce, w eleganckim kostiumie i z uśmiechem na twarzy. Colm

wziął głęboki oddech. Dom pachniał zachęcająco papierosowym dymem. Colm słyszał historię małżeństwa Kate Cooper i wiedział, że jej mąż, ojciec Phoedry, miał zakaz zbliżania się do jej domu. Dobrze im się powodziło, jej mąż był prawnikiem. Wobec żony stosował prawo pięści. Kate prowadziła kilka sklepów z konfekcją. Colm znał te wszystkie plotki od Janet, która słyszała je od Cordelii. Nie mógł uwierzyć, że Kate Cooper padła ofiarą przemocy domowej.

Sam widzisz, że myślisz stereotypami. Maltretowane żony powinny chodzić w znoszonych ubraniach, mieć podbite oczy i zamieszkiwać komunalne osiedla dla bezrobotnych. Nie powinny prowadzić ślicznych sklepów przy Grafion Street ani mieć domów w Rathgar.

Kate Cooper zaciągnęła się głęboko papierosem.

Tak trudno współczuć bogatym.

– Proszę wejść – powiedziała. – Phoedra jest na górze, w swoim pokoju. Ciągłe się upiera, że nic nie wie. Znowu ją o to pytałam, ale tylko zatrzasnęła mi drzwi przed nosem.

Colm wszedł po schodach na piętro i zapukał do drzwi pokoju Phoedry, na których widniały napisy Wstęp wzbroniony, Zakaz palenia oraz trupia czaszka i skrzyżowane piszczele. Ze środka dobywała się głośna muzyka. Cienkie głosiki najnowszego girlsbandu. Phoedra z rozmachem otworzyła drzwi, zapewne spodziewając się matki, i drgnęła lekko, kiedy zobaczyła Co Ima.

– Mówiłam już, że nic nie wiem. Przestańcie mnie wreszcie nachodzić.

Była naprawdę niewydarzonym dzieckiem. Sprawiała wrażenie kanciastej, jakby cała składała się tylko z łokci i

kolan. Ciężko znerwicowana pannica. Zero stylu. Zero luzu. Cordelia potrafiła być jak wrzód na dupie, ale z pewnością miała w sobie więcej życia.

– Proszę wejść, nie zostawiam otwartych drzwi, bo boję się zatrucia dymem papierosowym.

Jeszcze jedna.

Colm niepewnie wszedł do pokoju. Był pomalowany na jaskrawoczerwony kolor, a na ścianie za Phoedrą widniało słowo SCUM, [*Scum* (ang) – męty, szumowiny; SCUM (*society for cutting up men*) – „Stowarzyszenie na rzecz Eliminacji Mężczyzn”.] wypisane wielkimi czarnymi literami.

– Co znaczy SCUM? – spytał Colm.

– Nic – odparła Phoedra.

– Chodzi o ograniczenie praw mężczyzn, prawda?

Phoedra spojrzała na niego niepewnie.

– To Valerie Solanis, tak?

- Nie wiem. To tylko fajne słowo.
- Gdzie jest Cordelia? Wiemy, że wiesz, gdzie ona jest.
- Nic nie wiem.
- Wiesz.
- Naprawdę nie wiem, gdzie ona jest. Ale nie dziwię się, że uciekła.
- Dlaczego? – zapytał Colm.
- Sam pan wie – powiedziała Phoedra odważnie.
- O co ci chodzi?
- O nic.

Kate Cooper odprowadziła Colma do drzwi, odkaszlnęła z zakłopotaniem.

– W przyszłym tygodniu mam sezonową wyprzedaż. Stroje wieczorowe najwyższej jakości i nie tylko. Może jakaś wzmianka w *Mary Jane*... Byłabym bardzo wdzięczna.

Colm nie miał pojęcia, że Kate Cooper

wie, kto pisze *Mary Jane na parkiecie*.

Może wszyscy wiedzą, że to ja piszę te cholerne felietony. Właściciele sklepów. Wszyscy, którzy coś sprzedają.

– Oczywiście, jeśli nie da rady, to trudno – powiedziała. – Przepraszam, to chyba nieodpowiedni moment, ale nie umiem przestać myśleć o interesie.

Wracając z Rathgar, Colm zapalił papierosa i z zadowoleniem głęboko zaciągał się dymem. Dni były teraz dłuższe, powietrze coraz cieplejsze. Jego reakcja na kryzys wydała mu się interesująca. Był zdumiewająco spokojny. Czuł, że trzeba myśleć pozytywnie. Trzeba liczyć na szczęśliwe rozwiązanie całej sprawy, przynajmniej dopóki nic nie wskazuje na to, że mogłaby zakończyć się inaczej. Janet natomiast łatwo wpadała w panikę i wszystko widziała w ciemnych

barwach. Biedna Janet. Gotowa znieść każdy ból. Urodziła się, by cierpieć. Oczekiwała cierpienia.

Lubiła to?

Opadł na ławkę kilka przecznic od domu. Meble uliczne. Mogłoby ich być tu więcej. Bardzo lubił tę ławkę. Często siedziało na niej dwóch staruszków, z których jeden gadał, a drugi słuchał, czekając, aż przyjdzie pora, by iść do pubu na wieczorne piwko. Albo dwie staruszki, które przysiadaly tu, by odsapnąć. Opierały o ławkę swoje wózki na zakupy i plotkowały z zapałem. Colm był sam. Odpalił papierosa od niedopałka poprzedniego. Nie spieszyło mu się do powrotu na rodzinną herbatkę. Jako jedynak nigdy nie rozumiał, na jakich zasadach funkcjonują rodzeństwa. Nie rozumiał, dlaczego muszą utrzymywać ze sobą tak bliskie kontakty. Okres Bożego

Narodzenia, kiedy krewni Janet zaczęli się nawzajem odwiedzać, był dla niego koszmarem.

Ze słów Junie, które potwierdziła Phoedra, wynikało, że dla Cordelii jego osoba stała się poważnym problemem. Wiedział, że ją irytuje, ale zaskoczyła go siła jej uczuć. Zaskoczył go też fakt, że tak bardzo go to zraniło. Nie przypuszczał, że uczucia Cordelii będą miały dla niego takie znaczenie, w końcu to tylko dorastająca dziewczyna. Ale zraniło go to do żywego. Po raz pierwszy od bardzo dawna czuł się naprawdę nieszczęśliwy.

Na początku Cordelia za nim przepadała. Pamiętał jej promienną buzię i żółtą sukieneczkę, kiedy niosła kwiaty na jego ślubie z Janet. Kroczyła przed matką kościelną nawą z dziecięcym wdziękiem i godnością. Była taka dumna z tego, że jej mama wychodzi za mąż, nikogo innego z

jej klasy nie spotkało takie wyróżnienie. Niektórzy rodzice żyli w separacji, to się zdarzało. Rozwody były na porządku dziennym. Ale nie śluby. Jej dziecięcy umysł zdawał się nie pojmować, że inne matki zdążyły wyjść za mąż wcześniej. Jak większość sześciolatek nie interesowała się przeszłością, nie wybiegała też daleko w przyszłość. Liczyło się tylko to, co tu i teraz. Pytana o Colma uśmiechała się radośnie i mówiła, że go kocha. Przez całą ceremonię i jakiś czas później powtarzała ciągle, że był to najlepszy dzień w jej życiu.

Próbował przypomnieć sobie, kiedy wszystko zaczęło się psuć, ale nie potrafił. Pamiętał początki, kiedy Cordelia za nim przepadała, ale cofając się w czasie, rok po roku, zaczął nabierać przekonania, że zawsze była wobec niego wroga. Nie potrafił określić momentu, kiedy coś się

zmieniło. Miał ochotę wstąpić do pubu na jednego, zanim wróci do domu. Jedno piwo. Tylko jedno.

Czy kiedykolwiek skończyło się na jednym piwie? Kogo ty chcesz oszukać?

Przy krawężniku zatrzymał się srebrny samochód, który wydał mu się znajomy. Z roztargnieniem spojrzął na kierowcę i zobaczył, że to Sally. Wewnątrz tej potężnej maszyny sprawiała wrażenie bardzo drobnej. Prawie się ucieszył na jej widok. Ucieszył się, bo była to kobieta, na którą mógł patrzeć ze szczerym, nieskomplikowanym optymizmem, ponieważ za dobrze jej nie znał. Zwłókł się z ławki i wsiadł do samochodu.

Sally zawiozła go do małego baru przy jednym z cichych, sennych placyków w Rathgar.

. – To mały lokal, przychodzą tu tylko miejscowi. Nikt nas tu nie rozpozna.

Dobre miejsce na zakazane rendez-vous. Obserwował Sally, która podeszła do baru, i zauważył, że kilka osób odwróciło za nią głowy. Wjaskrawoniebieskim kostiumie, z długimi jasnymi włosami, bardzo rzucała się w oczy. Nawet teraz, kiedy miała romans, jej pragnienie, by zostać zauważoną, wzięło górę nad chęcią zachowania dyskrecji.

Czy ona nie słyszała o brązie? W tym sezonie brąz jest bardzo modny, we wszystkich odcieniach, od kawy z mlekiem po czekoladę. Dobra barwa kryjąca dla cudzołóżnic.

Z tej odległości Sally wyglądała jak młoda dziewczyna. Ruszała się szybko, energicznie, mimo swoich lat, swoich dzieci, swoich problemów. Dopiero z bliska widać było jej prawdziwy wiek. Wróciła do stolika z drinkami.

– Co się tak patrzysz?

– Myślałem właśnie, że z daleka wyglądasz najwyżej na dwadzieścia dwa lata, ale na szczęście z bliska widać, że masz już dwadzieścia pięć – odparł z galanterią.

– Chcesz powiedzieć, że wyglądam staro? – spytała obronnym tonem. – Codziennie wklepuję w twarz pół słoika kremu na zmarszczki. Jest bardzo drogi, ale wydaje mi się, że działa.

Usiadła obok niego na kanapie i pociągnęła łyżeczkę drinka. Trzymała szklaneczkę, odginając lekko mały palec o różowo pomalowanym paznokciu. W tym drobnym geście zawierała się cała Sally, jej postawa wobec życia, afektacja, fizyczna kruchość. Mały różowy paluszek był kwintesencją jej zuchwałej kobiecości.

Dobrze im się rozmawiało. Na szczęście Sally darowała sobie tym razem dramatyczne miłosne deklaracje, których

Colm w obecnej sytuacji mógłby nie wytrzymać. Pytała tylko o Cordelię i Janet, i słuchała uważnie jego opowieści, jego „dawno, dawno temu... „ Po godzinie i dwóch drinkach Colm jak zwykle osiągnął odpowiedni poziom alkoholowej beztroski i już miał zamiar zamówić następną kolejkę, kiedy Sally objęła dowodzenie. Zaciągnęła go do samochodu i uparła się, że go podwiezie.

– Rodzina cię teraz potrzebuje. Niedługo znowu się zobaczymy.

Pocałowała go w policzek i wysadziła na rogu Candlewick Avenue, koło wysepki na skrzyżowaniu. Colm był jej wdzięczny za to, że nim pokierowała. Pomachał do niej, kiedy odjeżdżała. Srebrny samochód zawrócił z piskiem opon i nieco przesadnym rykiem silnika.

Kobiety zawsze mną kierują. Ja jestem tylko pasażerem. To moje przeznaczenie.

Narzucił płaszcz na ramiona i ruszył ulicą w stronę budynku, który nazywał domem.

Dzień drugi

Janet prawie nie spała tej nocy, przewracała się z boku na bok i płakała cicho. Colm nadal uważał, że nie ma powodu do paniki. Cordelia była samodzielną i pomysłową dziewczyną.

– Colm, tyle młodych dziewcząt teraz ginie, wciągają je do samochodów i koniec. Wywożą je gdzieś, a potem gwałcą i torturują dla rozrywki jakichś obleśnych staruchów. Nie słyszałeś o tych strasznych filmach pornograficznych?

Noc wyraźnie wzmocniła siłę wyobraźni Janet. W ciemnościach wszystkie najgorsze warianty ukazały się jej oczom w jaskrawych barwach upiornego technicoloru. Jej umysł produkował całe serie koszmarnych scen. Colm widział to wszystko wypisane na jej twarzy.

– Janet, to chyba nieco przedwcześnie.
Wzięła ze sobą ubrania i pieniądze.

– Może chciała gdzieś pojechać i została uprowadzona.

– Nikt jej nie uprowadził. Po prostu uciekła z domu. Znajdzie się, dokądkolwiek pojechała, i wróci do nas.

– Ale dlaczego to zrobiła? Dlaczego?

– Dzieciaki często uciekają. To część procesu dorastania. Sam kilka razy uciekałem z domu. Zazwyczaj do babci, bo miała w spizarni więcej ciastek niż moja matka.

– Tak, ale ile miałeś wtedy lat?

– Koło sześciu.

– Widzisz. To zupełnie co innego.

– Myślisz, że June ma rację? Myślisz, że Cordelia uciekła z mojego powodu?

Sam wiem, że to prawda.

– Myślę, że została porwana. Ile razy jeszcze mam to powtórzyć?

Rano zadzwoniła do szkoły i powiedziała, że jest chora. Nie chciała niepokoić kolegów z pracy prawdziwym powodem swojej nieobecności. John i June także zostali w domu. Janet nie miała do nich cierpliwości, pod wpływem stresu wizerunek mamusi doskonałej zaczął się kruszyć. Maluchy wyczuwały napięcie i siedziały cicho. Colm miał być po południu na przyjęciu z okazji wypuszczenia na rynek nowego magazynu poświęconego sztuce, a później na wernisazu. Obiecał pewnej pyskatej dziewczynie od PR, że pojawi się na przyjęciu, więc kiedy zadzwonił do niej, by to odwołać, była bardzo nieprzyjemna. Historia rodzinnego kryzysu zupełnie jej nie wzruszyła. Uznała to za spisek mający na celu wyeliminowanie jej magazynu z prasowych wzmianek.

Długo dla nich nie popracuje. Chyba że

nauczy się lepiej lizać po dupie kogo trzeba.

O'Grady zadzwonił po południu, donosząc, że Phoedra załamała się podczas przesłuchania...

Wyrywanie paznokci?

... i wyznała, że wie wszystko. Cordelia istotnie uciekła do Londynu. W wyniku dalszych działań detektywistycznych okazało się, że rano wsiadła na prom w Dun Laoghire, przybyła do Londynu pociągiem w porze lunchu, a po południu miała już pracę w Pizza Hut na Shaftsbury Avenue. Weszła do restauracji w momencie, kiedy panował duży ruch, a brakowało personelu, powiedziała, że ma osiemnaście lat i chwilę później kroїła pepperoni odziana w biały fartuszek. Oznajmiła współpracownikom, że jest bezdomna i szef kuchni, Włoch,

homoseksualista, zaoferował jej kanapę w Paddington, tak więc istotnie spadła na cztery łapy.

Zostawcie ją tam.

Janet nie posiadała się z radości. Londyńska policja zgarnęła Cordelię z restauracji i mimo protestów wsadziła do samolotu. Policjanci postraszyli ją poprawczakiem i tak dalej, bo jako nieletnia złamała prawo, podróżując bez zgody rodziców. Janet i Colm doszli do wniosku, że będzie lepiej, jeśli Janet pojedzie po nią sama, żeby mogły pogadać. Colm pomachał więc Janet, która ruszyła na lotnisko, a sam zabrał Johna i June do Rathmines na obiad. Miał ochotę na rybę z frytkami w Burdocks, ale w końcu postanowił, że dla odmiany weźmie ich do Pizza Hut. Będą miały o czym rozmawiać z przyrodnią siostrą.

Sugerowane tematy rozmów: jak kroi

się pepperoni, żeby było takie okrągłe? Dlaczego ananas tak dobrze smakuje na pizzy, skoro zazwyczaj je się go z deserem? Jak to możliwe, że sałatka coleslaw jest taka dobra, skoro jej główny składnik, kapusta, jest ohydna?

Po posiłku Colm załadował maluchy do taksówki i pojechał do Glenageary, do domu swoich rodziców. Robił to rzadko, a kiedy już miał taki zamiar, nigdy nie zapowiadał wcześniej wizyty, żeby matka nie zdążyła się podirytować. Nigdy też nie jeździł tam bez dzieci, które spełniały rolę żywej tarczy.

Rodzice Colma mieszkali w małym szeregowym domu, który zajmowali od dnia swojego ślubu. Colm dorastał w tym domu, spał w pokoju od frontu, gdzie co rano budziły go odgłosy z ulicy. Nigdy nie pytał rodziców, dlaczego nie mieli więcej dzieci, ale babcia kilka razy napomknęła

ponuro o infekcji poporodowej i wysokiej gorączce. Nikt nigdy nie powiedział mu tego wprost, ale Colm zrozumiał, że matka nie mogła mieć więcej dzieci. Całe życie opłakiwała swoje nigdy nienarodzone potomstwo. Zamiast skoncentrować się na dziecku, które przyszło na świat, wpatrywała się w pustą przestrzeń zaludnioną duchami dzieci, które nie doczekały się poczęcia.

Colm rozczarował rodziców. Nie spełnił oczekiwań. Mimo ekskluzywnej szkoły, do której uczęszczał, dzięki babci, wraz chłopcami z wyższych sfer, nie został prawnikiem, architektem ani ginekologiem – matka marzyła zwłaszcza o tym ostatnim. Zamiast tego nabrał zwyczajów typowych dla zepsutych bogaczy, w tym awersji do ciężkiej pracy. Kiedy powiedział rodzicom, że wybiera się do college’u tylko po to, by studiować

literaturę angielską, bo chce zostać pisarzem, matka zadała mu pamiętne pytanie: „A cóż ty masz takiego do powiedzenia, co warto byłoby napisać w książce?” Kiedy wyjechał do college’u, nie przestawała przy każdej okazji wytykać: „Czytanie książek to żadna praca, prawda? To tylko rozrywka. Takie życie to jedne wielkie wakacje”. Nie mogli go jednak powstrzymać, bo babcia zostawiła mu pieniądze, żeby studiował, co zechce. Kiedy dostał pierwszą pracę jako dziennikarz, matka była pewna, że kłamie, bo jego nazwisko nigdy nie pojawiało się w gazecie.

Kiedy pewnego dnia przyszedł powiedzieć, że zaręczył się z Janet, matka wygłosiła pamiętną uwagę na temat zawodu jego przyszłej żony: „A więc znalazłeś sobie kogoś, kto będzie dla ciebie pracował”. Kiedy powiedział

rodzicom o Cordelii, matka wygłosiła inną pamiętą uwagę: „Cóż, tacy jak ty nie mogą być zbyt wybredni”. Colm sam nie wiedział, czy było to bardziej obraźliwe dla niego, czy dla Janet.

Odwiedzał swoich rodziców rzadko, Janet natomiast od dawna w ogóle tam nie chodziła. Matka Colma zawsze potrafiła wtrącić jakąś złośliwą uwagę przy herbacie i kanapkach, strzyknąć jadem przy ciasteczkach, więc Janet nieraz wracała z Glenageary we łzach.

Pani Cantwell była jednak dobra dla Johna i June, ojciec też nie był zły, raczej dość nieokreślony, więc Colm od czasu do czasu zdobywał się na odwiedziny. Poza tym June na swój dziwny sposób przepadała za babcią. Podobała jej się sama idea posiadania babci, gdyż babcie często występowały w jej ulubionych książkach i w ogóle pasowały do jej wizji

świata. „Każda dziewczynka powinna mieć przynajmniej jedną babcie”, mawiała.

Nawet wredną.

Colm zapukał do frontowych drzwi i czekał. Wiedział dokładnie, co się za nimi dzieje. Matka powiedziała do ojca: „Idź otworzyć”, ojciec mruknął coś zza gazety i ani myślał wstać, matka podniosła się z krzesła i ruszyła do drzwi, szurając (jej pantofle zawsze szurały po kuchennym linoleum) i zdejmując po drodze fartuszek. Potem rozległy się jej kroki przytłumione przez chodnik w przedpokoju.

– Kto tam? – spytała.

– To ja, twoja wnuczka, która przeszła cały las, żeby spotkać się z babcią. Hej ho, hej ho, dostaniemy coś słodkiego?

– To nie Halloween – upomniał ją Colm.

– Zachowuj się.

– Bo co? – odpaliła June.

Matka otworzyła drzwi, a zaraz potem

ramiona, żeby uścisnąć maluchy. Na Colma ledwo spojrziała. Wszyscy weszli do salonu. W pierwszej chwili Colm nie zauważył ojca. Tak często widywał go siedzącego w fotelu w kącie, że zaczął go traktować niemal jak element wyposażenia. Na ścianach były te same tapety, a na podłodze ten sam dywan co wtedy, kiedy Colm był małym chłopcem. Wszystko w tym pokoju było szare albo brązowe. Ojciec, ze swoją poszarzałą twarzą, siwymi włosami i brązowym swetrem całkowicie wtapiał się w tło. Colm czuł, że przyjdzie tu pewnego dnia i okaże się, że ojciec został bez śladu wchłonięty przez tapetę.

– Witaj, synu – powiedział Cantwell senior z roztargnieniem, obojętnie.

– Witaj, tato – odparł Colm.

– Dawno cię nie widzieliśmy.

Zawsze to mówi.

Matka zabrała Johna i June do kuchni, żeby mogli zbadać zawartość puszek z ciastkami. Mimo że przychodzili tu tak rzadko, ona zawsze miała zapas czekoladowych batoników. Dzieci wróciły do pokoju z pełnymi garściami słodyczy i puszkami coli. Zadowolone rozsiadły się w kącie i zaczęły ucztować. Pani Cantwell podała Colmowi filiżankę herbaty. W tym domu nigdy nie dostawał alkoholu. Rodzice dość wcześnie zorientowali się, że ma do tego słabość – zupełnie jak jego dziadek – i zgodnie z ogólną zasadą nieproponowania mu niczego, na co mógłby mieć ochotę, nigdy nie otwierali barku, kiedy był u nich z wizytą. Czyli wtedy, kiedy najbardziej przydałaby mu się duża whisky.

– Jak twoja praca?

Zawsze o to pyta.

– Świetnie.

Przyznał się rodzicom, że pisze *Mary Jane na parkiecie*. Matka nie kryła dezaprobaty. „Kompletne bzdury. Ta gazeta to szmata”. Od czasu do czasu napomykał więc mgliście o gigantycznych projektach literackich, nad którymi pracował z wielkim wysiłkiem w mrocznym pokoiku, usiłując w ten sposób zaskarbić sobie trochę uznania.

Żałosne, co?

– June powiedziała mi właśnie, że Cordelia uciekła z domu.

Co za bachor. Mówiłem, żeby o tym nie wspominała. Zostałem zdradzony przez własne dziecko.

– Na pewno ciężko jej żyć z piętnem nieślubnego dziecka. Ludzie nie rozumieją, jakie to trudne. Kobiety, które decydują się w takiej sytuacji zatrzymać dzieci, są bardzo samolubne. Powinny oddawać je do adopcji. Dać im szansę na

normalne dzieciństwo.

– Mamo, już to przerabialiśmy. To bardzo obraźliwe.

– Och, mnóstwo ludzi obraża prawda. Nie mogę przez całe życie mówić tylko miłych rzeczy.

Chyba ci to nie grozi.

Colm pożałował, że tu przyszedł. Zawsze zaczynał żałować swojej głupoty, która go tu sprowadziła, już w ciągu pierwszego kwadransa. John i June siedzieli w kącie nad wielką nową układanką zakupioną przez babcię. Byli tu pierwszy raz od trzech miesięcy.

– W sobotę June miała urodziny, prawda? Kupiłam jej puzzle.

Nie robiła żadnych wyrzutów, ale w jej głosie brzmiała nuta urazy.

Nie była taka zła. Nie całkiem zła. Dzieci, pochłonięte swoim zadaniem, pracowały nad układanką, pochylając

głowy nad stołem i pokazując sobie palcami brakujące elementy. Obraz rodzinnej harmonii.

– Sprzątałam niedawno na strychu, Colm, i znalazłam kilka pudeł z twoimi rzeczami. Są w twoim pokoju. Możesz je przejrzeć i zabrać to, co chcesz zatrzymać. Resztę zaniosę do kościoła.

Pokój Colma na piętrze wyglądał dokładnie tak samo jak wtedy, kiedy go opuścił. Dwa pojedyncze łóżka, jedno jego, drugie dla gości. Dziwaczna tapeta w papugi, pożółkła teraz i zniszczona. Stara mahoniowa szafa w jednym kącie. Ciężkie, ale przymałe biurko w drugim. Biurko, przy którym po raz pierwszy powziął ambitny, acz nie do końca zrealizowany zamiar, by zostać pisarzem. Usiadł przy nim, ale nogi nie mieściły mu się pod blatem. Szuflada wpijała się w kolana. Od dawna tu nie siedział i fakt, że przestał

pasować do swojego biurka, dziwnie go przygnębił. Położył się na łóżku i spojrzał w sufit, na znajome plamy i pęknięcia. Kiedyś, patrząc w ten sufit, systematycznie się onanizował.

Ten pokój był jego wszechświatem. Rodzice woleli tę mniejszą sypialnię, wychodzącą na tyły, gdzie było ciszej. Colm siadywał przy oknie i obserwował ruch uliczny. Z tego okna rozciągał się wspaniały widok na całą ulicę. Miał oko na wszystko, co się na niej działo. Krył się w tym pokoju, niejasno wstydząc się swoich rodziców, ich złego smaku i małości, jak to wtedy postrzegał.

W tym pokoju snuł z Davidem wspaniałe plany. Marzyli o pięknych kobietach, które padną im do stóp. Życie zdawało się wówczas oferować tyle możliwości. Colm miał wielkie ambicje. Gdyby jako siedemnastolatek mógł

zobaczyć siebie takiego, jakim był teraz, skrzywiłby się tylko, prychnął i mruknął: „Frajer”. Tym słowem on i David określali beznadziejne przypadki. Powtarzali je często, ćwicząc nateżenie pogardy w głosie. Frajer. Frajer. Tylko jedno mu się w życiu udało. Dzieci.

A teraz mam zamiar to zniszczyć przez swoją zdradę.

Pobieżnie przejrzał zawartość trzech pudeł leżących na łóżku dla gości. Stary kij do krykieta. Kilka szkolnych podręczników. Proca. Dziurawa piłka. Nagle zauważył coś, czego nigdy wcześniej nie widział. Beżowa książeczka z kokardką na okładce. *Pierwszy rok*, tak się nazywała. Był to dzienniczek z pierwszego roku jego życia, w którym odnotowano takie kamienie milowe jak pierwszy uśmiech i pierwszy ząbek. W środku było wklejonych kilka fotografii

Colma w wieku niemowlęcym, z dumnie uśmiechniętymi rodzicami. Jedna ze stron nosiła tytuł *Refleksje w dniu narodzin naszego dziecka*. Rozpoznał trochę dziecinny charakter pisma matki i bazgroły ojca. *Ten mały chłopiec to najcenniejszy dar od Boga – pisała matka – / zrobię wszystko, by wychować go na dobrego, mądrego człowieka. To najpiękniejszy obowiązek, jaki kiedykolwiek spoczął na moich barkach. I ojciec: Ciekawe, czy ten chłopiec zrozumie kiedykolwiek, jak wiele dla nas znaczy? Ciekawe, czy będzie nas kochał tak, jak my go kochamy?*

Wzruszająca prostota. Colm wstał i podszedł do okna. Przez chwilę patrzył na ulicę, potem widok zaczął się zamazywać i Colm uświadomił sobie nagle, że po twarzy płyną mu łzy.

Jestem takim nieudacznikiem. Takim frajerem. Niczego w życiu nie osiągnąłem.

Matka weszła na górę bezszelestnie jak duch. Otworzyła drzwi jego pokoju. Colm wytarł nos w czystą chusteczkę, którą znalazł w kieszeni marynarki.

– Zobacz, co tam wykopałem – powiedział, pokazując jej beżową książeczkę.

– Ach, to. Zdumiewające, jak ludzie potrafią się rozczulać nad małymi dziećmi.

– Taaa – odparł Colm z ulgą. Matka była taka oschła, obojętna. Niezły sposób na życie.

Zaczynamy pełni pasji, której dzień po dniu niepostrzeżenie ubywa, aż w końcu stajemy się wszyscy jak mój ojciec i powoli wchłania nas tapeta. Albo jak moja matka, uosobienie goryczy. Albo jak Janet, która idzie w jej ślady. Oby mnie to nie spotkało. Obym zdołał jeszcze ocalić swoje pasje.

– Chcesz coś zatrzymać? – spytała,

wskazując głową pudła.

Przez chwilę myślał o tym, by wrzucić beżową książeczkę z powrotem do pudła. Pozbyć się jej. Tak byłoby łatwiej.

– Chyba wezmę tę książkę. Dzieciom może się spodobać.

Norma

Cordelia wydawała się ciut szczęśliwsza po powrocie ze swojej eskapady. Dobrze jej to zrobiło, ta próba. Jak pisklęciu, które pierwszy raz, na krótko, wyrwało się w świat. Gniazdo nie wydaje się już więzieniem, uciążliwą niewolą. W głębi ducha cieszył ją fakt, że naraziła wszystkich na tyle kłopotów. Inspektor O'Grady zrobił jej wykład na temat skromnych zasobów policyjnych i tych wszystkich funkcjonariuszy, których zaangażowano do poszukiwania nieletniej uciekinierki, zamiast rzucić w pościg za zbirami napadającymi na bezbronne staruszki. Cordelii sprawiło to pewną przyjemność. Janet zapytała ją o jej problemy, ale dziewczyna odpowiedziała bardzo wymijająco. Zgodziła się na

pozostanie w domu do czasu ukończenia szkoły. Zapytana o niechęć do Colma oznajmiła, że spróbuje jakoś z nim wytrzymać.

– Co dokładnie powiedziała?

– Że spróbuje jakoś z tobą wytrzymać.

Fantastycznie.

– A co ty jej powiedziałaś?

– Powiedziałam, że musi się postarać.

Musi zrozumieć, że ludzie są różni i nauczyć się radzić sobie z tym. W życiu będzie spotykać różnych ludzi i nie zawsze będzie mogła od nich uciec.

Cudownie.

Colm starał się unikać Cordelii, kiedy tylko było to możliwe. Spotykając się w domu, uśmiechali się do siebie sztywno. W zasadzie było prawie tak jak wcześniej, nigdy za sobą nie przepadali. Ale to nie była już niewinna awersja. Została wypowiedziana na głos, ujęta w słowa.

Wzajemna niechęć stała teraz między nimi jak szklana ściana.

– Podaj mi pilota, Cordelio.

– Proszę bardzo, Colm.

Rodzina Cantwellów wróciła do monotonii codziennego życia, planów lekcji, drugich śniadań i incydentalnych kryzysów w postaci rozbitego kolana. W sobotę Janet zrobiła zakupy, lodówka i zamrażarka pękały w szwach, odwieczna machina rodzinnego żywienia działała bez zarzutu przez cały tydzień. W czwartek Colm wyniósł śmieci przed dom. Atmosfera trochę się poprawiła. Cordelia skupiła się na szkole i swoich projektach. Colm starał się być dla niej miły, ale jego wysiłki spotykały się tylko z lodowatą uprzejmością.

Janet została zaproszona na spotkanie w sprawie stanowiska dyrektora szkoły i nie

bardzo radziła sobie z napięciem. Tylko raz była na takim spotkaniu, piętnaście lat temu, kiedy starała się o swoją obecną pracę, i teraz ogarniało ją przerażenie.

– Zaczynam czuć, że zupełnie się do tego nie nadaję. Nie umiałabym odpowiedzieć na pytanie, dlaczego powinni dać mi to stanowisko. Wydaje mi się, że inni są ode mnie lepsi. Chyba nie mam zdolności przywódczych.

– Janet, masz mnóstwo zdolności. To tylko trema.

– Nie umiem rywalizować. Wydaje mi się, że nie jestem dość dobra.

– Za dużo się nasłuchiwałaś o wątpliwej cnotie skromności – stwierdził Colm.

Za dużo się nasłuchiwałaś o wszystkich cnotach.

– Może i tak, ale w moim wieku trudno się zmienić.

– Więc udawaj – poradził jej. – Nie

musisz być pewna siebie, wystarczy, że będziesz się tak zachowywać.

Colm bardzo starał się pomóc, ale Janet jak zepsuta płyta w kółko powtarzała, że się nie nadaje na to stanowisko, więc w końcu stracił cierpliwość. Codziennie przychodził jej do głowy nowy powód, dla którego nie powinna dostać tej pracy, albo niezauważona wcześniej zaleta któregoś z kontrkandydatów.

– Nie dostanę tej pracy, bo w komisji będzie katecheta, ojciec Cooney. Nie lubi mnie, ponieważ uważałam, że lekcje religii powinny być mniej formalne, a uczniowie mogliby siedzieć w kółku.

Krótką przerwą. Żadnego komentarza ze strony Colma.

– Mówiłam ci, że Mark Jameson, ten matematyk, ma duże szanse? Zrobił niedawno dyplom z psychologii i pedagogiki. To najlepszy kandydat.

Colm nie wytrzymał.

– Ale on jest stuknięty. Nie umie sklecić jednego zdania, które nie zawierałoby słowa „całka” albo „logarytm”. To socjopata. Byłabyś dużo lepsza od niego.

– Chcesz powiedzieć, że jestem lepsza od socjopatów?

– Wiesz, o co mi chodzi.

– A Holly Brookfield, ona też się zgłosiła, była dyrektorem szkoły w Anglii przez dwa lata, zanim postanowiła wrócić do kraju.

– Jest za stara. Nie dadzą tego stanowiska komuś, kto za pięć lat pójdzie na emeryturę.

– Holly Brookfield nie ma jeszcze sześćdziesięciu lat!

– A wygląda na siedemdziesiąt. Czeka ją raczej złoty zegarek na pożegnanie, a nie awans.

– No i Miriam, nauczycielka historii.

Jest bardzo popularna. Wszyscy ją lubią.

– Janet, ona słyszy głosy. Sama mi mówiłaś, że kiedyś widziałaś, jak siedziała w pokoju nauczycielskim i gadała do kubka herbaty, rozmawiając z siostrą, która zmarła pięć lat wcześniej.

– Och, to była wyjątkowa sytuacja. Na ogół jest bardzo zrównoważona.

– Już dobrze, dobrze. Przekonałaś mnie, że wszyscy mają szanse, tylko nie ty.

– Wiem – westchnęła Janet.

– Zaczyna mnie to wkurzać – oznajmił Colm.

– Wiem – powiedziała. – Lepiej zajmę się obiadem.

Święta Janet od Błogosławionych Obiadów.

– Mam nadzieję, że nie dostaniesz tego awansu, mamusiu – powiedziała June – Bo wtedy nie miałabyś już dla nas tyle czasu. Moja przyjaciółka, Connie, jej mama

dostała awans i teraz Connie prawie jej nie widuje.

– Nie, skarbie, mama Connie nie dostała awansu, tylko rozwód.

– No właśnie, coś w tym rodzaju. Ale Connie cały czas jest teraz z opiekunką i boi się, że ta opiekunka morduje dzieci jak ta Angielka, która była nianią w Ameryce.

– Jaka Angielka w Ameryce?

– Widziałam w wiadomościach.

– Nie wolno ci oglądać wiadomości.

– No tak, ale zapomniałam o tym. John włączył telewizor, a ja zapomniałam.

– Nie – odezwał się John. – To ona włączyła telewizor.

– Junie – zagadnął Colm – skoro mama nie powinna dostać awansu, bo wtedy nie będzie mogła skupić się na was, potworki, rozumiem, że ty też rzucisz pracę, jak już dorośniesz i będziesz miała dzieci?

– Nie. Po szkole pojedę na wakacje. Na

kilka lat. Potem może wyjdę za męża, za kogoś bogatego. Nie będę wcale pracować, więc nie będę musiała rzucić pracy.

– Nie, Junie, jestem pewna, że wyjdiesz za męża z miłości – powiedziała Janet.

– Tak jak ty za tatusia? Nie wyszłaś za niego dla pieniędzy, bo on ich nigdy nie ma. Ty masz wszystkie pieniądze, w swoim portfelu.

– To prawda. Wyszłam za tatusia z miłości – potwierdziła Janet, nie patrząc na Colma.

Szkoda, że tego nie pamiętam. A musiała być taka chwila, jedna cudowna chwila, kiedy nasze małżeństwo miało sens. Musiało tak być.

– Kogo bardziej kochasz? Nas czy tatusia? – spytała June.

– Kocham was tak samo – odparła Janet i odwróciła się do swoich garnków i

patelni zalegających kuchenny zlew.

– June, jeśli mama dostanie awans, będziesz mogła częściej chodzić do kina i co wieczór będziemy jeść w Eddie Rockets – kusił Colm.

– To mam nadzieję, że go dostanie.

Moja córka, materialistka w każdym calu. Wyznawczyni utylitaryzmu. Psychicznie w pełni przygotowana na spotkanie z XXI stuleciem.

Do kuchni weszła Cordelia, pobrząkując dzwoneczkami.

– A co ty o tym sądzisz, Cordelio? – spytał Colm, nie ustając w swoich wysiłkach, by być dla niej miłym – Uważasz, że kobiety, które mają dzieci, powinny pracować?

– Tak. Powinny pracować. Pomyśl o mamie Phoedry. Gdyby potrzebowała pieniędzy od swojego męża, musiałaby znosić jego bicie. Kobiety nie powinny

rezygnować z niezależności.

– Nie mogę w to uwierzyć – powiedział David. – Po prostu nie mogę w to uwierzyć.

– Ale w co? W co?

– Sylvia powiedziała mi, że uniknę procesu, jeśli dam tej dziewczynie trzydzieści tysięcy.

– Phi!

– Trzydzieści tysięcy. Wiesz, jak długo muszę pracować moje kelnerki, żeby zarobić trzydzieści tysięcy?

– Wygląda na to, że wystarczą dwie godziny w twoim towarzystwie.

– Sylvia uważa, że jeśli dojdzie do procesu, na pewno przegram. Sprawa jest oczywista. Jedyna dobra wiadomość jest taka, że Gemma Blake, ta mała dziwka, pracowała u mnie dopiero od dwóch tygodni, więc utrata zarobków jest

nieznaczną, podobnie jak zniweczenie jej życiowych planów. Ale najwyraźniej nie mam żadnych szans.

– Och.

– Nie doznała żadnej fizycznej krzywdy. Nawet jeśli, jak twierdzi, było to dla niej traumatyczne przeżycie – w co bardzo wątpię – trzydzieści tysięcy to kupa forsy za coś, co zdarza jej się pewnie w każdy sobotni wieczór. No i fakt, że nie odpisałem na listy jej prawnika, w których domagała się przeprosin. Podobno przysporzyło jej to cierpienie psychiczne. Cierpienia psychiczne? Co to jest, może ty mi powiesz? Wycenili to na pięć tysięcy. A klauzula, że nie otworzy gęby i nie piśnie słówka, *in perpetuum*, będzie kosztować kolejne pięć. Sylvia mówi, że to bardzo istotne.

David był bliski łez. Colm jeszcze nigdy nie widział go w takim stanie.

– To tylko trzydzieści tysięcy. Przecież nawet tego nie odczujesz.

– Nie chodzi o pieniądze. Tak bardzo rozczarowałem się do tej dziewczyny. Jestem naprawdę rozgoryczony. Poza tym...

– Poza tym?

– Powiedziałem o wszystkim Catherine. Dostała szału i rzuciła mnie, *in perpetuum*. Moje życie legło w gruzach.

Znowu.

– A co u ciebie?

Colm nie opowiedział Davidowi smutnej historii o ucieczce Cordelii. Miał już dość tego tematu i jakoś wstydził się całej sprawy. Na szczęście David nie był specjalnie dociekliwy.

– Doskonale – odparł. – Świetnie wyglądasz, Davidzie, jakoś inaczej. Coś się zmieniło?

– Podoba ci się ta fryzura? Sylvia

uważa, że jest mi w niej bardziej do twarzy.

Coś mi się zdaje, że Sylvia staje się bardzo istotna.

Pina colada

Kiedyś uważałam – powiedziała Sally Carter – że kolor moich włosów to bardzo ważna sprawa. Zdjęła klamrę z nieporządnego koka i potrząsnęła złotą grzywą, z widocznymi już teraz ciemniejszymi odrostami. Kryzys małżeński zaczynał się negatywnie odbijać na jej wyglądzie. Wydawała się trochę zaniedbana. Jej paznokcie nie były już tak wypielegnowane. Poniosła też pierwsze porażki w walce z tłuszczem.

– W domu jest teraz nie do wytrzymania.

Ditto.

– To straszne, mieszkać pod jednym dachem z kimś, kto nie ma dla ciebie krzty szacunku.

Ditto.

– A on chodzi po domu, udając, że wszystko jest w porządku. Wyobraź sobie, wczoraj uszczypnął mnie w pośladek. Odruchowo, automatycznie. Ten człowiek nie ma sumienia. Świnia. Bydlak. Karaluch.

– O Boże.

– Szczur. Wieprz. Gad.

Zdumiewający zasób słów z zakresu zoologii.

– Gnida.

Siedzieli w barze małego hoteliku w Rathgar, który Colm zaczął nazywać Kawiarenką Cudzołożników, przy tym samym stoliku co zawsze, wśród innych podejrzanych typów. Handlarzy narkotyków, szefów i sekretarek, biskupów i aktorek oraz wielu innych członków kongregacji niewiernych.

– Lubisz pina coladę? – spytała Sally.

Charakterystyczny bezdech i

determinacja w wyrażaniu swoich myśli sprawiały, że mówiła bardzo głośno. Colm zastanawiał się od pewnego czasu, czy Sally nie jest przypadkiem trochę głucha.

– Mów troszkę ciszej. Nigdy nie próbowałem. Lubię piwo.

– Uwielbiam tę piosenkę. Jest po prostu boska. To idzie jakoś tak: „Czy lubisz pina coladę i spacerować w deszczu, czy lubisz kochać się nocą na nadmorskich wydmach”. Fantastyczna piosenka. Wiesz, chodzi w niej o to, że ich małżeństwo staje się trochę nudne i zaczynają mówić o swoich fantazjach, i wtedy okazuje się, że fantazjują o sobie nawzajem. Czy to nie wspaniałe? To taka piękna, piękna piosenka. Teraz nie piszą już tylu piosenek ze szczęśliwym zakończeniem.

– Szczęśliwe zakończenia występują tylko w głupich romantycznych piosenkach. Przeznaczeniem człowieka

myślącego jest tragedia. Albo przynajmniej niejednoznaczność. My mieliśmy już swoje szczęśliwe zakończenia, ty i ja.

– Ale może dostaniemy jeszcze jedną szansę?

– Nie, nie ma już dla nas nadziei. Za głęboko w tym tkwimy. Nie zdołamy uciec.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Hm.

– Zawsze mówisz takie mądre rzeczy. W każdym razie możemy mieć nasze szczęśliwe zakończenie tego wieczoru. Lubisz pina coladę?

– Nie wiem.

– To chodź, napijemy się. Znam jedno miejsce, gdzie robią doskonałą pina coladę.

Sally wyciągnęła Colma z baru, wsadziła do samochodu i ruszyła w noc.

Ciepło, miarowy szum silnika i delikatne kołysanie najlepszego niemieckiego zawieszenia natychmiast go uśpiły.

Kiedy się ocknął, jechali szeroką drogą wzdłuż białego ogrodzenia.

– Jesteśmy na wsi? – spytał.

– Niezupełnie – odparła, zatrzymując się ze zgrzytem opon na żwirze. – Jesteśmy w domu. W Longbrook.

– Ale myślałem, że jedziemy na koktajl?

– Bo tak jest. To ja przyrządzam wspaniałe koktajle. Zanim wyszłam za mąż, pracowałam jako barmanka.

Wydawało mi się, że jako pielęgniarka.

– Dorabiałam sobie, kiedy byłam na praktyce w szpitalu. Nie da się wyżyć z tego, co dostaje pielęgniarka na praktyce. Z normalnej pielęgniarzkiej pensji zresztą też nie. Wszystko wydawałam na fryzjera. Uważałam, że pielęgniarka powinna dobrze wyglądać. Rozweselałam

mężczyzn. Zawsze chciałam być jak Florence Nightingale i podnosić na duchu rannych żołnierzy, tyle tylko, że akurat nie było wojny.

– To dość szczęśliwie dla nas.

– A boja wiem... Wojna musi wspaniale kształtować charaktery. Zresztą nieważne. Chodźmy do środka. James z dziećmi i opiekunką polecieł dzisiaj rano do Paryża, do Disneylandu, więc mamy dom dla siebie. On zabiera gdzieś dzieci w każdą sobotę.

Dom był biały. Cztery potężne klasyczne kolumny podtrzymywały dach nad werandą, kilkanaście nieco mniejszych kolumniek wspierało dwa balkony na pierwszym piętrze. Wzdłuż podstawy domu i pod dachem ciągnęły się rzędy filigranowych gipsowych ornamentów, a wszystkie okna zdobiły koronkowe, bieliźniane dekoracje, jak w Southfork.

Colm otworzył usta ze zdumienia i przerażenia.

Co za koszmar.

– Mieszkasz w wielkim torcie weselnym – wykrztusił w końcu.

– Tak to chyba wygląda – zachichotała Sally. – Kiedy kupiliśmy ten dom, bardzo mi się podobał. Ale doznałam tu tyle bólu, że teraz go nienawidzę. Jest jak więzienie.

Wyskoczyła z samochodu i szybko ruszyła w stronę wejścia. Colm sunął za nią chwiejnie, jak tramp. Zdumiewała go prędkość, jaką była w stanie rozwinąć na tych swoich obcasach. Pod drzwiami powitały ich światła alarmu, które poraziły jego zaspane oczy. Dom był oślepiająco biały.

– Wchodź. – Sally otworzyła frontowe drzwi. – Przypomina mi to czasy, kiedy zapraszałam przyjaciół, bo rodziców nie było w domu. – Poprowadziła go

korytarzem do wielkiego pokoju z barem pod jedną ścianą. Bar był doskonale zaopatrzony, pełen szkła i zakurzonych butelek wina. Znajdowała się tam też mała lodówka, z której Sally wyjęła puszkę piwa dla Colma, „na rozruch”, a potem poszła sprawdzić wiadomości na automatycznej sekretarce i „przebrać się w coś wygodniejszego”.

W pokoju było mnóstwo czarnych krzeseł i stołków barowych, i wielkie kanapy z czarnej skóry. W jednym kącie stał nowoczesny zestaw hi-fi. Colm podszedł, żeby go zbadać. W kieszeni odtwarzacza CD leżało kilka płyt, wszystkie z muzyką z wczesnych lat osiemdziesiątych. Duran Duran. Culture Club. Frankie Goes to Hollywood. Sade. Brian Ferry. Colm wybrał Frankie Goes to Hollywood i po chwili całe wnętrze zaczęło wibrować w rytmie *InXanadu*

didKubła Khan a statelupleasure dome erect. Jakość dźwięku była znakomita, nawet taki ignorant jak Colm potrafił to zauważyć. Muzyka zdawała się wydobywać ze wszystkich mebli.

Sally wróciła w stroju, który wyglądał na jeszcze mniej wygodny niż to, co poprzednio miała na sobie, i w pantoflach na dziesięciocentymetrowych obcasach.

– Kiedyś urządzaliśmy tu przyjęcia, ale od lat już tego nie robimy. Teraz ty lko ja wchodzę czasami do tego pokoju, no i oczywiście sprzątaczką. Ale kiedy zamknę oczy, wracają do mnie chwile, kiedy zdawało mi się, że jestem szczęśliwa, a ten pokój był pełen ludzi, którzy świetnie się bawili.

Colm wskazał palcem odtwarzacz CD.

– W osiemdziesiątym dziewiątym, na moje urodziny, James wyrzucił wszystkie moje stare płyty analogowe i zastąpił je

kompaktami. Byłam taka niezadowolona. Prawie zaczęłam płakać. Ale uśmiechnęłam się i podziękowałam mu, oczywiście. Nie chciałam zranić jego uczuć. Zadał sobie tyle trudu, żeby przegrać te płyty. On czy też raczej jego asystent. Ale minęło dziesięć lat, a ciągle płaczę za moim winylem. Brakuje mi tych trzasków.

Intuicja podpowiadała Colmowi, że powinien stąd wyjść. Sally nie można było ufać. Wiedział, że będzie miał kłopoty przez to, że tu przyszedł. Będzie musiał za to zapłacić.

– Nie powinno mnie tu być. Myślę, że to błąd, Sal.

– Uwielbiam, kiedy nazywasz mnie Sal.

– Sally krzątała się za barem, wyciągając shaker i potrzebne składniki.

Colm siedział, wciąż myśląc o tym, że powinien wyjść. Ale był tak

przyzwyczajony do roli pasażera, że wstanie z krzesła i spacer tym długim podjazdem wydały mu się ponad jego siły. Próbował się odprężyć, ale nie mógł pozbyć się wrażenia, że został pojmany przez Sally, która wykorzystwała jego inercję.

– To wcale nie jest błąd. Mam prawo przyjmować tu przyjaciół. To także mój dom. James przywiózł tu Anitę w ubiegłym tygodniu. Znalazłam jej kolczyk na podłodze w przedpokoju.

Ach, tak. Więc to tylko taki wyszukany sposób, by odplacić mężowi pięknym za nadobne.

Potrząsała shakerem, podrygując przy tym tanecznie i nucąc piosenkę o pina coladzie. Colm usiadł w wielkim wygodnym fotelu. Żakiet zsunął się z jej ramion. Uśmiechała się do Colma i wyglądała naprawdę świetnie.

– Tak się cieszę, że cię poznałam, Colm. Sprawiliś, że zaczęłam myśleć o swoim życiu, i naprawdę wiele się dowiedziałam. Wiesz, nigdy dotąd nie szukałam wyzwania, nie zadawałam sobie trudnych pytań.

Mamy ze sobą wiele wspólnego.

– Na przykład jakich?

– No wiesz, na przykład, czy kocham swoje dzieci? Zajmuję się nimi przez cały czas, z pomocą niani, oczywiście, ale nigdy nie zadałam sobie pytania, czy je kocham. A teraz, kiedy zadałam sobie to pytanie, dochodzę do wniosku, że nie. Za bardzo przypominają Jamesa. W domu zawsze grałam drugie skrzypce, więc nie miałam na nie wielkiego wpływu i teraz oboje są tacy sami jak James. Wyglądają jak on. Pewnie ma lepsze geny niż ja i silniejszą osobowość. Oboje mają jego górną wargę, taką wystającą. Tak czy inaczej, kiedy teraz o nich myślę, wydaje

mi się, że ich nie lubię.

– To okropne, Sally.

– Okropne, ale prawdziwe. Tak się cieszę, że cię poznałam, bo dopiero przy tobie naprawdę zaczęłam myśleć. Piszesz w swoich tekstach takie inteligentne rzeczy o ludzkiej naturze. Nazywasz wszystko po imieniu.

Wlała pianisty różowy płyn do dwóch wysokich szklanek, które przybrała starannie wisienkami i kolorowymi parasolkami.

– Ludzie oczekują, że kobieta będzie kochać dzieci instynktownie. Nikogo nie dziwi, kiedy mężczyzna w ogóle się nie interesuje swoimi dziećmi. Ale niektóre kobiety po prostu nie mają instynktu macierzyńskiego. Ja nie mam. Tylko udawałam, że jest inaczej. Odczułam taką ulgę, kiedy wszyscy pojechali dziś rano na lotnisko. Naprawdę się ucieszyłam, kiedy

w końcu zeszli mi z oczu.

– Sally, jesteś po prostu zła na męża. Tak naprawdę kochasz swoje dzieci i tęsknisz za nimi.

– Nie. Ta dawna Sal udawałaby, że tak jest, ale ta nowa nie ma zamiaru udawać, że czuje coś, czego nie czuje.

Sally obeszła bar i podała Colmowi koktajl na małej tacy z serwetką, jak profesjonalistka.

– Od dzisiaj nie będę niczego udawać. Może wtedy coś w moim życiu zmieni się na lepsze. Przestanę być miłą dla mojej siostry Anity. Nie odpowiedziałam na wiadomości, które mi zostawiła. Pieprzy się z moim mężem, ale dzwoni, żebym poszła z nią na zakupy. Po prostu nie mam zamiaru więcej z nią rozmawiać. Koniec.

Sally wyrzuciła z siebie to wszystko dość gwałtownie i z furią wbiła śnieżnobiałe ząbki w wisienkę.

– Kiedy poznałam Jamesa, był brzydki i gamoniowaty, ale bogaty. Myślałam, że ma szczęście, bo znalazł kogoś takiego jak ja, i że będzie wdzięczny. Wtedy uchodziłam za bardzo ładną dziewczynę. Sądziłam, że nigdy mnie nie zdradzi, bo mawiał: „Nigdy bym nie pomyślał, że taka dziewczyna jak ty kiedykolwiek na mnie spojrzy”. Wtedy ja byłam górą. Ale kiedy pojawiają się dzieci, wszystko się zmienia. Wtedy facet ma cię w garści.

– I vice versa.

– Co?

– Wtedy kobieta ma też w garści mężczyznę.

– Nie wydaje mi się. Kiedyś byłam dla niego boginią. Teraz jestem tylko kobietą, która była na tyle głupia, by zostać matką jego dzieci. Mówi się, że mężczyzna przestaje szanować kobietę, kiedy idzie z nią do łóżka. To nieprawda. Traci

szacunek dla kobiety, kiedy ją zapłodni. Seks wcale nie znaczy już tak wiele. Kiedyś było inaczej, w XIX wieku albo w latach pięćdziesiątych. Ale teraz wszyscy się pieprzą. Oblizwała wargi. – I co powiesz? – spytała, podnosząc swoją szklanke. – Lubisz pina coladę?

– Jest bardzo dobra – odparł Colm.

Koktajl był zimny i bardzo mocny. Colm odpreżył się trochę i przestał się czymkolwiek przejmować.

Siedzę w tym po uszy. I co z tego?

Sally uruchomiła swoje czary i wkrótce tanecznym krokiem zawiodła go do łóżka. Zawahał się na progu małżeńskiej sypialni, zakłopotany faktem, że ma zająć miejsce innego mężczyzny. W głowie cały czas brzmiało mu słowo „rogacz”. Zawsze mu się podobało. Na krótką chwilę opadły go wyrzuty sumienia, kiedy pomyślał o Janet i dzieciach, a potem, pod dotykiem Sally,

poczuł się dziwnie lekko i w końcu znowu przestał odczuwać ból.

Później zapadli w krótką drzemkę. Colm czuł się wspaniale. Jak po joggingu, z tą różnicą że to, co robił, sprawiło mu przyjemność. Sally także wydawała się zadowolona. Weszła do sypialni z dwoma kubkami parującej kawy.

– Już świta. Wstaje nowy dzień – powiedziała. – Zawsze się zastanawiałam, dlaczego mówi się, że dzień wstaje, a noc zapada. Mam wrażenie, że świt to czas rozstań kochanków, którzy muszą wstawać, a zmierzch to chwila, kiedy znowu mogą zapaść się w siebie.

Lepiej, żebym się stąd wyniósł. Lepiej, żebym już wrócił do domu.

– Czy ja jestem bardzo płytki, Colm? – spytała Sally poważnie, patrząc mu prosto w oczy.

Och, nie. Zebrało jej się na poważne pytania.

– Wszyscy jesteśmy płytkcy, poza naprawdę wielkimi ludźmi, jak Ghandi albo Nelson Mandela. Ale ty nie jesteś bardzo płytka, bo gdybyś była, nigdy nie przyszedłoby ci do głowy takie pytanie.

– Czasami myślę, że nie zasługuję na szczęście. I dlatego nie jestem szczęśliwa.

Colm wstał z łóżka i przeciągnął się swobodnie. Przez chwilę nie pamiętał, że jest nagi, potem przypomniał sobie o tym nagle i zaczął się spieszenie ubierać, bezskutecznie usiłując wciągnąć brzuch, i myśląc już o taksówce, którą pojedzie do domu na Candlewick Avenue i do normalnego życia.

– Jesteś moją miłością? – spytała Sally.

– Jestem twoim przyjacielem – odparł.

Awans

Nazywam się Colm i jestem cudzołożnikiem. Colm uczęszczał w wyobraźni na spotkania grupy wsparcia dla Anonimowych Cudzołożników. Gdzie wszyscy spowiadali się ze swoich romansów, opisywali swoją rozwiązłość, ubierali czyny w słowa. Mroczne pomieszczenia, przypominające salki parafialne, pełne grzesznych ludzi. Winowajców. Mężczyźni z rozpiętymi kołnierzykami, siedzący samotnie, zmartwiali, z zapalonymi papierosami w rękach.

Colm siedział przy swoim biurku, usiłując zabrać się do pracy nad nowym tekstem. Powieki miał ciężkie, oczy same mu się zamykały. Był tak znudzony pisaniem tych felietonów. Naprawdę miał

już tego dość. Czuł się jak starzec. Na samą myśl o napisaniu kolejnego tekstu robiło mu się słabo. Nawet palce na klawiaturze komputera odmawiały mu posłuszeństwa. Były ciężkie jak ołów. Jakby nagle przybrały na wadze. Nie ćwiczyły. Jadły za dużo pączków.

Za oknem wyraźnie było już widać wiosnę. Drzewa zaczęły zielenieć, pojawiały się pierwsze, wczesne kwiaty. Budowa za ogrodem została niemal zakończona, w okna wprawiono szyby, na dachach położono dachówki. W gałęziach drzew świergotały ptaki. Wariatka z sąsiedniego domu nago, w wielkim skupieniu, wyrywała chwasty z jednego ze swoich klombów. Colm był zbyt znużony, by dostrzec osobliwość tego widoku. Westchnął ciężko, z głębi swojego jestestwa. A kiedy całe powietrze już z niego uszło, miał wrażenie, że jego ciało

zmieniło się w pustą skorupę. Czuł, że aby znowu wciągnąć do płuc powietrze, potrzebowałby znacznie więcej energii, niż mu zostało. Chciał coś zrobić. Chciał się wypowiedzieć.

Powiedzieć Janet?

Było to oczywiste rozwiązanie, ale Colmowi brakowało odwagi. Spojrzałyby tylko na niego z bólem i lekką pogardą, i czuł, że to spojrzenie zraniłoby go bardziej, niż chciał dać się zranić.

Jestem szarą myszą. Myszmenem.

Może powinien omówić to z Davidem? Ale David, choć Colm bardzo go lubił, nie byłby w stanie tego zrozumieć. Był tak rozwiązły uczuciowo, tak chwiejny w miłości, że nie rozumiałby istoty problemu. Nie rozumiałby, dlaczego Colm tak źle się czuje, zdradzając żonę. Dla Davida wszystko było czarne albo białe, podczas gdy Colm funkcjonował

wśród różnych odcieni moralnej szarości.

Może więc pogadać z Brianem? Brian niejedno już w życiu widział i miał w sobie coś z księdza. O to właśnie chodzi. Tu jest pies pogrzebany. Moralność Colma została ukształtowana przez ogólną dostępność spowiedzi. Stąd brała się ta potrzeba mówienia o własnych występkach i to optymistyczne przekonanie, że spowiedź przyniesie ulgę. Że zapewni postmodernistyczne rozgrzeszenie.

A może po prostu powinienem pójść do pubu.

Straszne. W tym właśnie tkwi kolejny problem. Zamiast wziąć byka za rogi, woli iść do pubu. To w tym miejscu zawsze popełniał błąd, bo po dwóch piwach świat wydawał mu się bardziej do zniesienia. Wszystko stawało się takie absurdalne.

Ale potem przyszedł mu do głowy

pewien pomysł. Otworzył katalog w komputerze, gdzie zapisywał swoje felietony, i zaczął pracować. Przynajmniej wyciągnie jakąś korzyść z pisania tych cholernych bzdur.

Wasza oddana felietonistka znalazła się ostatnio w dość trudnej i dwuznacznej sytuacji, o czym musi Tobie, Drogi Czytelniku, i Tylko tobie, opowiedzieć. Mam romans z żonatym mężczyzną. Na razie mieliśmy tylko dwie schadzki, jedną w botelu, a drugą u mnie w domu. Jego małżeństwo się sypie (zero akcji!), ale on ma dwójkę dzieci (dowód na to, że w przeszłości akcje miały miejsce!). Jak powiadają, świat jest pełen żonatych mężczyzn, co jest szczególnie widoczne dla osób w moim wieku, które często muszą szukać drogi odwrotu. Spotkanie się z żonatym mężczyzną to nie sielanka,

Drogi Czytelniku, w związku z czym wasza oddana felietonistka jest bardzo przygnębiona.

Musimy być oczywiście bardzo dyskretni, więc sama poszłam na lunch wydany z okazji wypuszczenia na rynek magazynu „Cool!”, który jest najnowszą propozycją dla wszystkich poniżej piątego, przepraszam, trzydziestego piątego roku życia. Powieściopisarz Howard Haines powiedział mi tam, że ma zamiar wybudować fermę w Connemara i hodować tam ryby. Najlepsze gatunki, żadnej hołoty. Moim zdaniem całą sprawę trochę czuć... rybą...

Poczuł się trochę lepiej. Nie całkiem dobrze, nie, ale ciut lepiej. To małe wyznanie przyniosło mu niejaką ulgę. Miał wrażenie, że zaczął sobie radzić z życiem. Opisał szczegółowo dachówki i łazienkę

domu pokazowego, który zwiedził, bo dostał łapówkę; wystawę niepokojąco atrakcyjnych martwych natur, na którą zawędrował przez pomyłkę; i jeszcze jedną fikcyjną imprezę, w której uczestniczyło mnóstwo gwiazd pierwszej wielkości, o której dowiedział się dzięki faksowi od Luke'a Mayesa. Następnie wydrukował swoje tysiąc słów. Tak trudno było pisać te felietony, a zarazem tak łatwo, że aż nudno.

Potem sporządził listę możliwości.

Opcje:

1) *Przestać spotykać się z Sally i wrócić do pustego, koszmarnego życia.*

2) *Nadal spotykać się z Sally i zostać w domu, nic nikomu nie mówiąc, prowadząc podwójne życie pełne kłamstw.*

3) *Nadal spotykać się z Sally, powiedzieć o tym Janet i zobaczyć, czy to*

coś da.

4) Wyprowadzić się z domu, wynająć mieszkanie: zreorganizować całe swoje życie, nadać mu inny kierunek, z Sally lub bez, w zależności od tego, jak się poczuje, kiedy oczyści atmosferę.

Postanowił, że na razie nic nie robi. Mistrzowska bezczynność. Jego specjalność.

Zszedł na dół. Tego dnia nie było warzyw do obierania, bo dzieci miały po szkole pójść do cioci Marie, Colm jednak, siłą przyzwyczajenia, zawsze schodził do kuchni o czwartej po południu. Usiadł przy stole z kubkiem kawy i zapalił papierosa. Dzisiaj Janet miała spotkanie w sprawie awansu. Wychodząc rano z domu, wyglądała tak, jakby cały jej strój właśnie wrócił z pralni chemicznej. Miała świeżo podcięte włosy i trochę więcej szminki na

wargach, które lekko drżały.

Siedział i czekał na nią, szczerze ciekaw, jak sobie poradziła, jak zdołała przejść tę próbę. Usłyszał zgrzyt klucza w drzwiach, potem ciche klap, klap, klap (gumowe podeszwy) w przedpokoju, znajomy stuk kładzonej na podłodze torebki, a zaraz potem szelest zakietu przerzucanego przez garderobę, tuż obok wieszaka, który tkwił na kołku, nieużywany od wieków. Stała w drzwiach kuchni, z twarzą nieprzeniknioną jak zwykle.

A potem zrobiła coś bardzo dziwnego i nieprzewidzianego. Wyciągnęła przed siebie zakurzoną butelkę białego wina i postawiła ją na stole. Podeszła do szuflady i przyniosła korkociąg, wyjęła dwa kieliszki z szafki i do obu nalała wina.

– Tego mi teraz trzeba – mruknęła i upiła trochę.

Colm wziął swój kieliszek i pociągnął długi, głośny łyk. Traktował wszystkie napoje jak piwo. Wino było absolutnie wyśmienite.

– I co?-spytał.

– Sama nie wiem. Chyba w porządku. Nie rozłożyłam się ani nic z tych rzeczy, ale może było trochę zbyt łatwo. Nie zadali mi żadnych trudnych pytań. Nie mogę pozbyć się wrażenia, że nie traktowali mnie poważnie.

– Kiedy będziesz coś wiedziała?

– Przewodniczący komisji zadzwoni do nas wszystkich dzisiaj wieczorem. – Upiła kolejny łyk, tym razem z większym zapalem. – Więc wracając kupiłam wino, bo pomyślałam, że pomoże mi przetrwać ten czas.

Colm spojrzał na nią. Może to dobry moment, żeby się przyznać. Była zaprzątnięta czymś innym, więc może nie

nada jego cudzołóstwu zbyt wielkiego znaczenia. A może to właśnie bardzo nieodpowiedni moment? Może w samym środku tej historii z awansem byłoby nie w porządku denerwować ją swoimi grzeszkami. Może lepiej poczekać. Jeśli dostała to stanowisko, to w euforii może nawet nie zwróci uwagi na jego wyznanie.

Kochanie, dostałam tę pracę.

Świetnie, a ja mam romans.

Tak się cieszę, mój drogi. Mam nadzieję, że jest udany. Dostałam tę pracę!

– Miło jest trochę odpocząć od dzieci, prawda? – Uśmiechnęła się z roztargnieniem. – Są wspaniałe, ale na dłuższą metę takie męczące. Nie zrozum mnie źle, uwielbiam je wszystkie, ale miło jest trochę się od tego oderwać.

Niesłychanie egoistyczna uwaga, jak na Janet.

– Tak, są bardzo absorbujące.

Colm uświadomił sobie, że po raz pierwszy od bardzo długiego czasu siedzieli razem i rozmawiali. Zazwyczaj Janet krzątała się po kuchni i coś robiła. Przygotowywała posiłki, prasowała, zmywała, sklejała połamane przedmioty. Od wieków nie widział, żeby po prostu siedziała.

– Ładna fryzura. Bardzo twarzowa – powiedział.

Janet tylko się skrzywiła. Nigdy nie lubiła komplementów. Nawet na samym początku sztywniała, kiedy wspominał o jej urodzie, a kiedyś potrafił godzinami się nad tym rozwodzić.

– Też powinieneś już pójść do fryzjera, kochanie. Masz za długą grzywkę. A teraz, kiedy zacząłeś siwieć, lepiej wyglądasz krótko ostrzyżony.

Colm sam zauważył, że jego ciemne włosy zaczęły siwieć. Płowa głowa Janet

też lekko poszarzała. Nie było to bardzo widoczne, ale zauważalne, kiedy podeszło się bliżej. Siwienie jest zaraźliwe. Oboje podnieśli do ust kieliszki z winem. Wiek średni oplatał ich powoli, jak winorośl.

Zadzwoił telefon. Oboje podskoczyli, rozlewając wino i tworząc dwie małe kałuże na stole.

– Ty odbierz – powiedział.

Janet ruszyła do przedpokoju, spieszenie i ze strachem. Podniosła słuchawkę.

– Tak, tu Janet Cantwell. – Przerwa. – Dziękuję. Dziękuję za telefon – powiedziała i rozłączyła się.

Nie zabrzmiało to najlepiej.

Wróciła do kuchni z twarzą zalaną łzami, wstrząsana łkaniem. Colm wstał i objął ją ramieniem, chcąc pocieszyć. Zaskoczyło go, że aż tak się przejęła. Nie sądził, że tak bardzo jej na tym zależało.

– Dostałam to stanowisko – wykrztusiła.

– Więc skąd te łzy, Janet? Dlaczego płaczesz?

– Dlatego... dlatego że radzę sobie ze wszystkim poza sukcesem. Nie zauważyłeś? Funkcjonuję normalnie tylko wtedy, kiedy nic się nie układa.

Otarła oczy i pociągnęła nosem.

Oto Janet po traumatycznym przeżyciu, jakim jest awans. To nie jest odpowiedni moment. Na pewno nie.

Janet wzięła ściereczkę do naczyń i starła wino ze stołu, zostawiając na nim rozmazane wilgotne ślady. Wylała resztę swojego wina do zlewu, mruknęła pod nosem: „Zanosi się na deszcz” i pobiegła do ogródka uratować pranie przed zmoczeniem.

Colm dopił wino i ponownie napełnił kieliszek. Nektar. Obserwował ją przez okno, spieszenie zdejmującą pranie ze sznura. Po chwili na ziemię spadły

pierwsze krople deszczu. Wróciła do domu uśmiechnięta, z koszem pełnym prania pod pachą. Los gospodyni domowej przylgnął do niej wraz ze wszystkimi wilgotnymi prześcieradłami.

Łamigłówwka

Deirdre zmieniała kolor włosów. Miały teraz dziwny ciemno-fioletowy odcień. Bardzo nienaturalny. Odpowiedni, być może, dla śliwek, ale upiorny na ludzkiej głowie. Spojrzała chłodno na Colma, który podszedł do jej biurka z brązową kopertą w ręce.

– A, Colm. Dziękuję. Mam do ciebie sprawę. Usiądź.

Colm usłuchał rozkazu i przysiadł na małym, niewygodnym i bardzo niskim krześle stojącym po drugiej stronie biurka. Zadarł głowę, żeby spojrzeć na Deirdre.

– Colm? Myślę o tym, żeby zmniejszyć twoją rubrykę.

Colm poczuł, jak sam się zmniejsza na swoim krzeselku.

– Teraz to już trochepas.se. Wszystkie

gazety prowadzą plotkarskie rubryki, a szczerze mówiąc, Mary Jane wydaje się trochę zmęczona.

Wykończona.

– Pomyślałam, że moglibyśmy nadal je zamieszczać, bo koncepcja jest z założenia dobra, ale ograniczyć je do jednej trzeciej, jednej czwartej kolumny, na górze. Osiemdziesiąt słów czy coś koło tego.

Pięć zdań.

– Coś w rodzaju podsumowania. Wszystkie gazety zaczęły drukować plotkarskie teksty, nie mówię, że robią to lepiej od ciebie, ale z pewnością nasza strona już nas tak nie wyróżnia. Mówię „nasza”, bo uważam, że należy do nas wszystkich, Colm, i wszyscy żałujemy, że trzeba ją skrócić. Plotka się skończyła, Colm. Wkraczamy w erę postanegdotyczną. Ludzie już tak naprawdę nie rozmawiają. Teraz wszystko

jest w Internecie.

Nienawidzę pisania tych cholernych felietonów, ale teraz, kiedy grozi im usunięcie z gazety, nagle stały się dla mnie bardzo ważne. Mary Jane... to istotna część mojego życia.

– A w tej chwili bardzo potrzebujemy miejsca. Dodatek poświęcony nieruchomościom z części weekendowej dostał dodatkową stronę, moim kosztem. Ale nie przejmuj się, Colm, jest mnóstwo innych rzeczy, które możesz robić. Potrzebuję kogoś, kto pisałby o restauracjach, to coś w sam raz dla ciebie. Connie nie może się tym już zajmować, bo odkąd zaszła w ciążę, je tylko banany i paluszki rybne. No, przydałby się też ktoś do układania krzyżówek. Robiłeś to kiedyś? Ktoś sprawny werbalnie, z dobrym wyczuciem języka, krótko mówiąc, ktoś taki jak ty. Byłbyś w tym świetny.

Zostanę wysłany na zieloną trawkę, żeby układać łamigłówki.

– Colm, nic nie mówisz. Nie masz chyba nic przeciw temu? I tak nigdy nie lubiłeś *Mary Jam na parkiecie*, zawsze powtarzałeś, że to takie nudne.

Colm siedział, patrząc na śliwkową głowę Deirdre. Emocje opadły. Nie będzie walczył o te felietony. Ale nieprzyjemnie być wylewanym z pracy, a właśnie to się w tej chwili działo, bez względu na ilość lukru, która miała mu osłodzić ten fakt. Deirdre uśmiechnęła się do niego złośliwie. Zawsze rozmawiał z nią uprzejmie, ale ta kobieta nie była idiotką i czuła, że jej nie lubi. Sądziła, że Colm nie przyjmie krzyżówek, że nie zniesie takiego upokorzenia. Doszedł do wniosku, że będzie lepiej, jeśli nic nie powie. Położył swój tekst na biurku, po krótkiej walce z przyciąganiem ziemskim zdołał wstać z

niziutkiego krzeselka, odwrócił się i wyszedł z biura. Zszedł po skrzypiących schodach, pozdrowił Dana i wyszedł w kipiące życiem piątkowe popołudnie.

Właśnie zostałem wylany. Teraz jestem bezrobotny.

Był to dla niego szok. Po prostu nigdy nie przyszło mu do głowy, że coś takiego może się kiedyś wydarzyć.

Co za arogancja.

Żałował, że nie zauważył, co się święci. Żałował, że nie mógł się do tego psychicznie przygotować. Że nie zdążył się uzbroić.

Żałuję, że sam się nie zwolniłem. To moja specjalność.

Ruszył ulicąw stronę Davy Byrne's. David czekał tam na niego, gotów do rozpoczęcia ich wspólnego piątkowego wieczoru.

– Wyglądasz strasznie – powiedział.

- Wylali mnie z pracy – odparł Colm.
- Wylali? To śmieszne.
- Nowa redaktorka nie chce już moich felietonów.
- A nie możesz zamieszczać ich w innej gazecie?
- Nie, to by się nie udało. Postaw mi piwo, przyjacielu. Zaliczam się teraz do bezrobotnych.
- Nie bądź śmieszny. Ja cię zatrudnię.
- Jako kelnera? Często mam wrażenie, że wyglądam jak kelner albo szatniarz. Jak tylko wybiorę się gdzieś w garniturze, ludzie zawsze wręczają mi płaszcze.
- Niejako kierownika albo coś w tym rodzaju.
- David, jesteś prawdziwym przyjacielem, ale obawiam się, że by się nie udało. Jestem pismakiem. I niczym więcej. Wiem, że nie najlepszym, ale to jedyna rzecz, jaką umiem robić.

– Colm, jest dużo rzeczy, które mógłbyś robić, gdybyś chciał. Jesteś jednym z najbardziej inteligentnych ludzi, jakich znam.

– Jestem nieudacznikiem, Davidzie. Właśnie zostałem zwolniony. Jestem tym, co wypadło celtyckiemu tygrysowi spod ogona. Dobrze, że Janet właśnie została dyrektorką szkoły. Dostanie znaczną podwyżkę, a teraz będzie potrzebowała tych pieniędzy bardziej niż kiedykolwiek. Teraz, kiedy się okazało, że wyszła za kompletnego nieudacznika.

– Kiedy chodziliśmy do szkoły, z całą pewnością byłeś najbystrzejszy w klasie. Wszyscy tak uważali. Gdybyśmy mieli wybrać chłopaka, który ma największe szanse, by odnieść w życiu sukces, ty zająłbyś pierwsze miejsce. Zawsze byłeś najlepszy, Colm. Czułem się taki szczęśliwy, że jesteś moim

przyjacielem, bo przy tobie mogłem choć trochę świecić odbitym światłem.

Niezwykła mowa jak na Davida. Colm był bardzo zaskoczony. David nigdy dotąd niczego takiego mu nie powiedział. No i zazwyczaj nie był tak elokwentny. Czyżby ukończył kurs kreatywnego pisania? Colm ochłonął trochę ze zdumienia i natychmiast znowu zrobiło mu się żal samego siebie.

Gdzie popełniłem błąd? Dlaczego tak niewiele dokonałem w życiu?

– Nie przejmuj się, Colm. Musisz jakoś przeżyć te ciężkie chwile, a potem wszystko się ułoży. Nie cierpiełeś pisania tych tekstów. Często narzekałeś. Właściwie bez przerwy.

– Wiem, ale miałem z czego płacić rachunki.

– Jakim kosztem? Jakim kosztem płaciłeś te rachunki? Stać cię na więcej, Colm. Wiesz o tym. Czekał, postawię ci

jeszcze jedno.

Davis wziął pustą szklankę Colma, podszedł do baru i zażądał kolejnego piwa. Z opadającymi na czoło czarnymi lokami wyglądał zupełnie jak Byron. Colm patrzył na przyjaciela. Sukces.

Dobrze wykorzystany potencjał, oparty o bar, swobodny i elegancki w nowym kaszmirowym swetrze. Nawykły do wydawania rozkazów. Było mu z tym wszystkim do twarzy. Zwrócił na siebie uwagę barmana, szeleszcząc dyskretnie dwudziestofuntowym banknotem. A Colm nie wykorzystał swojego potencjału. Świeżo wylany z roboty, w spodniach, które nosił od trzech lat i jeszcze starszej bieliźnie. Zabawne, jak czas zmienił ich obu. Colm miał inne poglądy niż David, właściwie na wszystko. David szybko został biznesmenem i zaczął popierać prawicę. Colm lewicował i na studiach

zabawiał się trochę polityką, na tyK na ile pozwalała mu jego niezdecydowana natura. Ale ich przyjaźń przetrwała wszystko i teraz wydawało się, że David jest mu najbliższym człowiekiem na ziemi. Bliższym niż Janet, bliższym niż Sally. David był bratem, którego Colm nigdy nie miał, którego kochał i który kochał jego, mimo wszystkich dzielących ich różnic. David wrócił do stolika ze szklankami. Nauczył się tak zręcznie maskować utykanie, że powierzchnia piwa prawie wcale nie drżała.

– Za przyszłość, która przyniesie ci jeszcze wiele dobrego, Colm. Zobaczysz.

Colm pomyślał o Janet, o tym, jak ma zakomunikować jej tę wiadomość. Będzie taka rozczarowana. Teraz ich sytuacja finansowa nic się nie poprawi, mimo jej awansu. Mogłoby się wydawać, że zarobki Colma stanowią bardzo nikły wkład w

rodzinny budżet, ale ich utratę odczują boleśnie. Poczuł, że pali go twarz. Przez chwilę nie wiedział, co się z nim dzieje. Potem zrozumiał, że to wstyd. Twarz paliła go ze wstydu.

– Spójrz na to, co się stało, jak na szansę rozwoju. Jeśli naprawdę chcesz dalej pisać jako Mary Jane... Jestem pewny, że inne gazety zechcą to drukować. Ta kobieta zlikwidowała twoją kolumnę z czystej złośliwości. Te felietony cieszyły się dużą popularnością. Możesz pisać je dla innej gazety, żaden problem, i pewnie za większe pieniądze. Albo możesz zacząć pisać coś innego.

David był urodzonym przedsiębiorcą, problemy oznaczały dla niego po prostu zachętę do szukania rozwiązań.

– Przeszkody są to, by je pokonywać i osiągać coraz więcej. Sięgać wciąż wyżej...

David stawał się zdumiewająco poetyczny. Kiedyś wyrażał się w innym stylu. To pewnie ta nowa dziewczyna, Sylvia. David zawsze przejmował pewne cechy swoich dziewczyn. Kiedy umawiał się z pewną Francuzką, wykrzykiwał ciągle: „*Mon Dieu!*” i „*Zw/ alorsT*, jak jakaś postać z komiksu.

Colrr. wypił drugie piwo, a potem trzecie, i zaczął wyobrażać sobie inne felietony. Lepsze felietony. Polityczne. Socjologiczne. Podpisane jego własnym nazwiskiem. Stanie się poważnym obserwatorem i wniesie znaczący wkład w debatę na jakiś ważny temat. Żaden problem. Po czwartym piwie postanowił założyć własną gazetę, finansowaną przez Davida, i niepodzielnie nią rządzić. Pełną najróżniejszych kolumn. Davida stać na utrzymanie gazety tak długo, aż zdobędzie swoich czytelników. Żaden

problem. W okolicach piątego piwa Colm był w lepszej formie niż kiedykolwiek w całym swoim życiu i poszedł z Davidem na stek z frytkami, a potem do jednego z nocnych klubów Davida, gdzie wypił jeszcze trochę i zaplanował kolejne kolumny. Wysokie kolumny. Ozdobne kolumny. Korynckie kolumny, pełne kiści winogron i palmowych liści, sięgające jasnego, bezchmurnego nieba.

Naglówek

Colm miał wrażenie, że jego czaszka została rozłupana na pół, a jej zawieszona zawartość wyciekła lepkim strumieniem na poduszki i pościel. Jęknął i chwycił się za głowę. John i June wtargnęli do sypialni, śmiejąc się, tańcząc i śpiewając. Wydał jeszcze kilka jęków i schował głowę pod kołdrę. John podszedł do łóżka.

– Co ci jest, tatusiu? – zapytał.

– Jestem po prostu zmęczony, skarbie, późno wróciłem do domu.

– Właśnie, bo ty zawsze jesteś zmęczony w soboty, a to takie nudne dla nas, bo nie mamy szkoły, a mama nie zabiera nas już na zakupy, bo jesteśmy niegrzeczni.

To trochę Colma ruszyło. Usiadł z trudem na łóżku i opuścił nogi. Nie miał na

sobie piżamy, tylko majtki i podkoszulek. Najwyraźniej w tym stanie wtoczył się poprzedniego wieczoru do łóżka. Spodnie leżały na środku pokoju, doskonała karykatura dolnej części jego ciała, z paskiem, który nadawał całości właściwy kształt. Koszula zwisała z karnisza, z jednym rękawem zadartym do góry, jakby chciała zatrzymać taksówkę, co było ostatnią rzeczą, jaką Colm pamiętał z poprzedniego wieczoru.

Skąd ona się tam wzięła?

– Wiesz, że mamusia została dyrektorką? – spytała June.

Nagle wszystko do niego wróciło. Wczorajsza rozmowa z Deirdre. Bezrobocie. Wczołgał się z powrotem do łóżka i naciągnął na siebie kołdrę.

– Idźcie stąd, dzieci, bawcie się gdzie indziej.

– Jesteś nudny, tato – odparła June.

Przyjemna rozmowa.

Colm znowu zasnął. Tak było bezpieczniej. Koszmary senne były lepsze niż jego życie.

Obudził się kilka godzin później. John i June spali obok, wtuleni w jego plecy, jak oddychający ludzki tobołek. Czuł się teraz ciut lepiej. Wygramolił się z łóżka i poszedł do łazienki, żeby się wysikać. Potem spojrział w lustro. Wyglądał okropnie. Szara, zmięta skóra; worki, nie, wory pod oczami. Wyglądał na pięćdziesiąt lat. Obmył twarz zimną wodą, a potem wszedł pod prysznic. Nie był w stanie utrzymać się na nogach, uszła z niego cała energia, usiadł więc na dnie kabiny, oparł się plecami o kafelki i bez przekonania zaczął myć owłosioną klatkę piersiową żelem do kąpieli. Siedział tak mniej więcej dziesięć minut, aż poczuł się

nieco czyściejszy. Potem wstał z trudem i ociekając wodą, wyszedł spod prysznic. Nadludzkim wysiłkiem zgromadził swoje przybory i zaczął się golić drżącymi rękami. Miał nadzieję, że się przy tym nie zatnie.

Jak mam powiedzieć Janet, że straciłem pracę? Będzie taka zawiedziona. Będzie mną pogardzać.

To większe wyzwanie, niż powiedzieć jej o Sally. W porównaniu z tym romans to małe piwo. Potrzebował czasu, żeby pomyśleć. Ubrał się, zostawił śpiące dzieci w łóżku i zszedł na dół. Janet była w kuchni, nuciała pod nosem nadawaną właśnie w radiu piosenkę i wyładowywała zakupy z toreb. Uwielbiała robić zakupy, uwielbiała długie rzędy półek w supermarketach, pełne niezbędnych w domu produktów.

Nie zauważyła go, więc mógł przez

chwilę swobodnie ją obserwować. Jej twarz wyrażała spokój i satysfakcję. Zadowolenie. Janet miała niezwykłą zdolność odczuwania satysfakcji. Rzadko wydawała się szczęśliwa, ale było w niej jakieś nieuchwytnie zadowolenie. Taki wyraz mają twarze członków sekt religijnych. Wyraz zadowolonych z siebie zbawionych.

Ja pójdę do nieba, a ty nie.

– Idę na spacer. Dzieci śpią na górze.

Otworzył drzwi i wyszedł na ulicę. Robiło się coraz cieplej. Powietrze wibrowało energią. Colma paliło potworne pragnienie. Wszedł do kiosku i kupił sobie puszkę coli. Wiedział, co musi zrobić. Musi przyjąć propozycję Deirdre i zająć się krzyżówkami i restauracjami. Będzie opiewał ravioli. Krytykował szparagi. Nie ma wyboru. Dostanie mniej pieniędzy, ale lepiej dostawać mniej pieniędzy, niż nie

dostawać ich wcale. Po prostu nie może zostać zupełnie bez pracy. Nie może nic nie zarabiać. Wizja Janet ze zboląłą miną męczennicy wsuwającej mu dziesięciofuntowe banknoty do kieszeni marynarki, żeby mógł kupić sobie fajki – nie, tego już za wiele. Fajki. Nie miał fajek, więc zawrócił i znów wszedł do kiosku.

Nie rozumiał, jak mógł przeoczyć to za pierwszym razem. Na pierwszej stronie wieczornej gazety widniał wydrukowany wielkimi literami nagłówek CARTER ZAGINAŁ, a pod nim zdjęcie Jamesa Cartera. Colm wziął gazetę i szybko przeczytał artykuł.

Zaginięcie Jamesa Cartera, magnata finansowego, zgłosiła wczoraj jego zaniepokojona żona Sally. W czwartek Carter wyszedł z domu ze słowami: „Idę

na spacer” i zniknął. Pewne źródła podają, że przestępczy gang zaplanował porwanie kilku biznesmenów w celu wymuszenia okupu, dotychczas jednak nikt nie skontaktował się w tym celu z rodziną Cartera. Mieszka on wraz z żoną i dwójką dzieci w swojej rezydencji na Howth Hill, w Longbrook.

Znany z wyjątkowej hojności Carter ma niewielu wrogów, policja nie odrzuca jednak na razie żadnej możliwości. Zrozpaczona pani Carter błaga męża, by wrócił do domu, jeśli tylko jest w stanie.

Pod tekstem zamieszczono niewielkie zdjęcie Sally, bardzo ładne i upozowane.

Teraz jesteś sławna, Sally. Teraz jesteś sławna.

Był to dość nieoczekiwany zwrot w akcji. Colm wiedział, że oznacza on kłopoty, zwłaszcza dla niego. Wiedział, że

cokolwiek się stało, on siedzi w tym po uszy. I będzie musiał za to zapłacić.

Tylko tego mi teraz trzeba.

Dowlókł się do najbliższej ławki z gazetą, colą i papierosami, i usiadł. Zadzwoić do Sally? Zaczekać, aż ona zadzwoni do niego? Powiedzieć Janet o romansie? Puścić farbę czy nie? Nic nie robić, tak będzie bezpieczniej. Otworzył ciało wieczornej gazety, żeby spojrzeć na jej organ krzyżówkowy i gastronomiczny. Nie ma wyboru. Będzie musiał się tym zająć. Do przeżycia wystarczy mu bardzo niewiele forsy, ale całkiem bez forsy nie zdoła przeżyć.

Na ulicy pojawiła się dziewczyna z Galway. Szła w jego stronę. W ciąży, teraz już widocznej, wydawała się uderzająco młoda. Minęła Colma, uśmiechając się do niego nieśmiało. Jej luźna sukienka powiewała na wietrze, w wiosennym

powietrzu przez chwilę trwał jeszcze ulotny ślad, jaki zostawiła po sobie jej młodość.

Janet pięknie wyglądała w ciąży. Była wtedy taka nieśmiała, taka delikatna, ale promieniała szczęściem. Jej szczodra natura z radością przyjęła rolę karmicielki. Janet przestrzegała diety, starała się dużo odpoczywać. Była bardziej zależna od niego, bardziej potrzebowała jego opieki. Czasami przytulała się do niego w środku nocy, jakby chciała, by dodał jej otuchy. Stała się taka zmysłowa, potrzebowała kontaktu fizycznego. Kochali się wtedy bardzo często. Ale pod koniec drugiej ciąży Janet zaczęła chorować i później już nigdy nie byli ze sobą naprawdę szczęśliwi.

Musiła mnie wtedy kochać.

Colm spojrział na zdjęcie Sally na pierwszej stronie. Starannie

wymodelowane włosy opadające wokół twarzy z wystudiowaną swobodą; lekko wydęte wargi. Często przybierała tę minę, kiedy sądziła, że ktoś ją obserwuje. Biedna, próżna mała Sally. Byłaby zadowolona z tego zdjęcia. Ukazywało ją w bardzo korzystnym świetle. Colm zastanawiał się, czy James w końcu zdecydował się uciec z Anitą. Czy Sally będzie musiała przejść przez publiczne pranie brudów? Było mu jej żal, siebie samego zresztą też. Smutne, doznać w życiu tyle krzywdy.

Przejrzał gazetę i znalazł sobotni plotkarski felieton. Tak, bzdury w stylu tych, które sam pisywał. Deirdre miała trochę racji. To wszystko stawało się już trochę nudne. Colm przekonał samego siebie, że istotnie chce układać krzyżówki i opisywać restauracje. Szczerze mówiąc, będzie to dla niego pewna ulga, zaniechać

tego podstępnego procederu. Postanowił pójść do domu i przedyskutować zmianę planu z Janet.

Po drodze zahaczył o budkę telefoniczną i wykręcił numer komórki Sally. Po chwili usłyszał jej pełen napięcia głos.

– Naprawdę nie mogę teraz rozmawiać. Jest tu policja. To wszystko jest takie trudne.

Zaraz potem rozłączyła się. Colm nie był pewny, czy powiedziała „trudne” czy „brudne”.

Ciało

Colm powiedział Janet o zmianie zakresu swoich obowiązków dziennikarskich. Przyjęła to z zadowoleniem.

– Świetnie. Będiesz miał więcej czasu na własne rzeczy.

Janet nigdy specjalnie nie zachęcała go do pisania. „Własne rzeczy” – takim eufemizmem określała ambicje literackie Colma. Nigdy nie wtrącała się do jego pracy, nie mówiła mu, co ma robić. Przesadny dydaktyzm leżał w sprzeczności z jej zasadami.

Zamiast dać mi kopa w dupę, czego tak bardzo potrzebuję i na co z pewnością zasłużyłem.

– Będę dostawał mniej pieniędzy.

– Nic nie szkodzi. To bez znaczenia. Ja

dostałam podwyżkę, więc nie musimy się martwić o pieniądze. Właściwie bardzo się cieszę. Nie cierpiałeś pisać *Mary Jane na parkiecie*, ciągle powtarzałeś, że masz tego dość.

Naprawdę tak bardzo narzekałem?

– Janet, skoro już rozmawiamy, eee, muszę cię zapytać... Jesteś zadowolona z tego, jak się sprawy mają?

– Nie mogłabym być bardziej zadowolona. Wiem, że wczoraj dziwnie zareagowałam, ale naprawdę bardzo się cieszę z tego awansu. Z dziećmi wszystko w porządku. Z Cordelią też jest teraz lepiej. Wydaje się spokojniejsza. Wszystko jest w porządku.

– A my?

– My? – powtórzyła, jakby nie była pewna, co owo „my” miało oznaczać. Jakby nie była pewna, czy jakieś „my” w ogóle istnieje. – Och. Między nami też

chyba wszystko w porządku, prawda?

– Cóż, nie wiem, czy można to powiedzieć o naszym życiu intymnym – powiedział Colm najdelikatniej, jak potrafił.

– Ach, ta stara sprawa.

Nasze życie seksualne – „stara sprawa”.

– Cóż, sądziłam, że całkiem wywietrzało ci to już z głowy, od tak dawna o tym nie wspominałeś. Szczerze mówiąc, ja zupełnie o tym nie myślę.

„To”. Nasze życie seksualne – „to”.

Janet poruszyła nerwowo rękami i wsunęła kosmyk włosów za ucho. Odwróciła głowę, unikając jego wzroku. Naprawdę nie chciała o tym rozmawiać. Przybrała trochę urażony wyraz twarzy, jakby popełnił jakiś nietakt. Uniosła lekko nos, jakby poczuła nieprzyjemny zapach.

– Wiesz, co musiałbyś zrobić. Nic się pod tym względem nie zmieniło. Ale

wydawało mi się, że ty też przestałeś już o tym myśleć. Od wieków o tym nie wspominałeś. Prawdę mówiąc, mnie to już zupełnie nie interesuje.

Znowu „to”. No dalej, ty tchórze. Gadaj. Powiedz jej, że masz romans.

– Ja... eee... Janet, ja mam...

– Co?

– Mam ochotę na filiżankę herbaty. Zagotujesz wodę?

Janet z zadowoleniem odwróciła się w stronę czajnika, czując, że rozmowa dobiegła końca.

Minęło kilka dni, ale Colm nadal nie miał żadnej wiadomości od Sally. Pracował właśnie nad swoją pierwszą krzyżówką, słuchając jednocześnie radia, kiedy spiker fałszywie zboliałym tonem przeczytał wiadomość o odnalezieniu ciała Jamesa Cartera, które zostało wyrzucone

na brzeg przy Portmarnock Strand. „Wstrząśnięty”, będąc na swój sposób doskonałym słowem, nie oddawało w pełni uczuć Colma w tej chwili.

Dziewiętnaście poziomo. Zaskoczony, poruszony, bardzo przejęty – wstrząśnięty. Colm nie przypuszczał, że układanie krzyżówki sprawi mu taką przyjemność. Spędził całe popołudnie, przerzucając kartki słownika, szukając słów i ich różnych znaczeń, i ułożył całkiem sympatyczną krzyżówkę, o lokalnym kolorycie, z odniesieniami do bieżących spraw sądowych, ekologicznych toreb na zakupy i temu podobnych rzeczy. Naprawdę nieźle wyszło, pomyślał z dumą. Miał zaplanowany posiłek we włoskiej restauracji, i teraz, kiedy minął pierwszy szok związany z faktem, że bez pytania odebrano mu poprzednie zajęcie, był zadowolony z nowego układu. Kwoty

wpływające na jego konto skurczą się trochę, ale zarobi dość na swoje potrzeby. W ciągu najbliższych tygodni niewiele czeka go roboty. Współpracujący z nim dotychczas specje od PR byli niepokieszeni. Po całych latach podlizywania się Colmowi będą musieli zacząć podlizywać się komuś innemu. Luke Mays prawie płakał.

Wynurzenie się Jamesa Cartera z wody przy Portmarnock Strand było nieprzyjemnym zwrotem akcji. Samobójstwo? Colm uważał Cartera za dość nerwowego gościa, o czym świadczyło jego zachowanie tamtej nocy, kiedy Colm pojechał za nim i Anitą do Blackrock. Najwyraźniej lubił alkohol i prochy, a z opowieści Sally wynikało, że miał dość dziwne potrzeby emocjonalne. Jego pragnienie popularności nie mieściło się w normie i z pewnością wynikało z

niskiej samooceny. Może nie wytrzymał napięcia? Może romans z Anitą kosztował go zbyt wiele nerwów. A może to był wypadek? Colm chciał, żeby Sally w końcu zadzwoniła i zrobiła dla niego miejsce w tej układance.

Nie zadzwoniła.

Po kilku godzinach wykrecił numer jej komórki, ale zgłosiła się poczta głosowa. Postanowił nie zostawiać wiadomości. Zaczynał się denerwować.

Wieczorem został w domu, nie miał już powodu, by iść na trzy przyjęcia, które widniały w jego kalendarzu. Siedział przed telewizorem, odczuwając skutki swojej niezwyklej trzeźwości. Jego umysł, zazwyczaj zajęty snuciem alkoholowych wizji, pogrążył się w obserwacji codzienności. Janet cały wieczór się krzątała. Colm przypuszczał, że nie chce dać mu okazji do ponownego poruszenia

„tego” tematu. Odkurzyła dywan pod jego nogami, choć był zupełnie czysty. Wydawała się skrepowana i spięta, jakby czuła, że jest obserwowana. Colm zaproponował, że jej pomoże, ale odmówiła.

– Dziękuję, nie trzeba. Sama zrobię to szybciej.

Zadaniem specjalnym było tego wieczoru polerowanie włączników światła, ale kiedy Colm zaoferował pomoc, odkrzyknęła tylko z przedpokoju:

– Dzięki, już to zrobiłam.

Kiedy skończyła, usiadła przy stole ze stertą wypracowań do poprawienia. Sprząatanie było tylko preludium do prawdziwej pracy.

– Cieszę się, że kiedy zostanę w przyszłym roku dyrektorem, nie będę musiała zajmować się tym całym poprawianiem.

Święta Janet narzeka? Jakie to dziwne.
Co za ulga!

Cordelia wróciła z basenu i przez chwilę kręciła się po domu. Była zaskoczona, oczywiście, widząc Colma przed telewizorem. Spojrzała na niego ze zdumieniem i odrazą, jak na worek ze śmieciami zostawiony przez kogoś przypadkiem na fotelu. Uśmiechnął się do niej. Włożyła słuchawki walkmana do uszu i siedziała przez chwilę w pokoju, przeglądając magazyny, odwrócona do Colma plecami. Janet zadała jej kilka pytań na temat minionego dnia, których dziewczyna nie usłyszała, kiwając głową w takt swojego prywatnego zestawu stereo. W końcu poszła do siebie z kubkiem kakao, a Janet uniosła oczy do nieba i z irytacją potrząsnęła głową, po czym wróciła do nudy szkolnych wypracowań.

Po kilku kolejnych godzinach Colm

poczuł, że dłużej tego nie wytrzyma. Poszedł do pubu, kupił sobie piwo i zadzwonił z automatu do Sally. Tym razem odebrała. Rozmawiali przez chwilę. Wydawała się dziwnie niewzruszona. Opowiedziała mu o tym, jak rano przyszedł policjant i powiadomił ją, że ciało Jamesa zostało znalezione na plaży przez mężczyznę, który tam biegał. O tym, jak przekazała tę wiadomość dzieciom, i jak trudne to dla niej było. Jak zadzwoniła do swoich krewnych, w tym także do Anity. Anita zareagowała bardzo gwałtownie, oczywiście, ale Sally zupełnie się tym nie przejęła, nie poświęciła jej szczególnej uwagi. Powiedziała, że policjanci byli pełni współczucia, wszyscy byli pełni współczucia i bardzo, bardzo mili, ale ona jest dziwnie odrętwiała i właściwie sama nie wie, co czuje. Poza tą chwilą, kiedy musiała powiedzieć

dzieciom i zobaczyła ich reakcję. Wtedy czuła się bardzo źle. Pogrzeb odbędzie się nieco później, ponieważ patolog musi zbadać ciało. Wydaje się, że nie było to samobójstwo, James nie zostawił listu i nikt, kto go znał, nie odniósł wrażenia, że chciał ze sobą skończyć. Sally przerwała rozmowę nagle, obiecując, że zadzwoni za dzień lub dwa. Colm wrócił do swojego piwa.

W głosie Sally nie było już tego naiwnego bezdechu. Wydawał się teraz chłodniejszy, bardziej dorosły. Był w nim ból, prawdziwy ból. Ból osoby, która straciła coś bardzo, bardzo cennego. Krzepiący egocentryzm Sally zniknął. Ludzkie życie jest takie skomplikowane. Colm zaczął się zastanawiać, jak by się czuł, gdyby umarła Janet. Mimo tego, że ich małżeństwo okazało się porażką, byłby zdruzgotany. Wiedział o tym. Pił swoje

piwo, czując narastający w duszy niepokój.

Pogrzeb

Informacja o pogrzebie Jamesa Cartera ukazała się w gazecie i Colm postanowił, że pójdzie. Nie bardzo wiedział dlaczego, a zdrowy rozsądek podpowiadał mu, że powinien trzymać się od tego wszystkiego z daleka. Ale jednak chciał pójść. Pociągało go to. Nie potrafił się oprzeć pokusie.

Wskoczył do autobusu w stronę miasta, a potem przesiadł się w Northside. Cały czas padał deszcz. Z nieba lały się strumienie wody. Bardzo odpowiednia pogoda. Znalazł kościół, potężną budowlę na planie krzyża stojącą na środku wielkiego parkingu. Wszedł bocznym wejściem i skrył się w mało widocznym miejscu na tyłach. Od razu było widać, że to pogrzeb bogatego człowieka.

Świadczyły o tym damskie kapelusze, modne i eleganckie jak na ślubie, choć w obowiązkowych pogrzebowych kolorach, i gigantyczne wiązanki kwiatów, które wyglądały na bardzo drogie i wypełniały wnętrze kościoła ciężkim, mdłym zapachem.

Colm mruczał wraz z innymi słowa mszy, tak głęboko wyryte w jego pamięci, że nic nie zdołałoby ich wymazać. Przychodziły mu do głowy, kiedy trzeba, na zasadzie odruchu warunkowego. Po raz pierwszy od bardzo dawna był w kościele. Janet uparła się, żeby wzięli ślub kościelny, a potem ochrzcili dzieci, a Colm nie zgłaszał sprzeciwu, zadowolony, że ktoś inny wziął na siebie odpowiedzialność za życie duchowe rodziny. Mówił tylko „tak”, „chcemy” i „będziemy” we właściwych momentach. Janet nie chodziła regularnie na mszę, ale lubiła, żeby i w tej

sferze wszystko było jak należy.

Kiedy msza dobiegła końca i ksiądz, machając kadzidłem, ruszył przed trumną wzdłuż nawy, Colm przysunął się bliżej krawędzi swojej ławki, żeby Sally mogła go zobaczyć, kiedy będzie przechodziła obok. Zależało mu, by wiedziała, że przyszedł zaoferować jej wsparcie. Bogato zdobiona, błyszcząca trumna, z pewnością bardzo kosztowna, spoczywała na ramionach kilku milczących karawaniarzy, patrzących przed siebie z wystudiowaną powagą. Za trumną szła Sally, najważniejsza spośród żałobników, trzymając za ręce schludnie ubrane dzieci w lśniących czarnych lakierkach. Mały był rzeczywiście uderzająco podobny do ojca. Sally sprawiała wrażenie opanowanej i dzielnej, a jej złote włosy ładnie kontrastowały z czernią. Colm podchwycił jej spojrzenie, kiedy go mijała, i lekkie

drgnięcie powiek powiedziało mu, że go dostrzegła i jest wdzięczna za przybycie. Ucieszyło go to. Za nią szli inni żałobnicy. Para bardzo smutnych starszych ludzi, prawdopodobnie rodzice Jamesa. Kobieta, krucha i ładna mimo swojego wieku, miała starannie ułożoną fryzurę. Syn nie odziedziczył po niej urody, ale z pewnością szukał w życiu kobiet podobnych do matki. Za nimi szło kilku bardzo wysokich mężczyzn i kilka kobiet w średnim wieku. Zapewne rodzeństwo. Wyglądali na przedstawicieli jednego gatunku. Wybijały wzrost, jednakowe grube wargi. Potem inni ludzie, dalsi krewni, wśród których charakterystyczne grube wargi pojawiały się rzadziej. Było też kilkoro dzieci, z trudem naśladowujących powagę dorosłych. Widział, jak starają się stłumić ogarniającą je od czasu do czasu wesołość. Nagle przyszła mu na myśl

June. Ona należała do tych małych dziewczynek, które dobrze bawią się na pogrzebach.

Tłum wyszedł z kościoła na deszcz i Colm już miał zamiar wysunąć się za innymi, kiedy dostrzegł Anitę. Podtrzymał ją jakiś młody człowiek. Zginała się wół, jak w ataku niewyobraźalnego bólu, a jej twarz, ukryta pod ciemnymi okularami i woalką, była czerwona i poznaczona śladami łez i tuszu do rzęs. Włosy opadały jej na ramiona w długich, nieporządných strąkach. Mimo pomocy młodego człowieka szła chwiejnie, z trudem, jak syrena stąpająca po ostrzach tysiąca noży. Colm patrzył na nią zaskoczony. Ten ból był wstrząsający i dość ostentacyjny. Zbyt ostentacyjny. Colm rozejrzył się wokół, żeby sprawdzić, czy inni też to zauważyli. Wszystkie te czarne kapelusze, ciężka woń kwiatów i

kadziidła, nie wspominając już o ogromnej ilości witraży sprawiały, że czuł się tak, jakby oglądał włoską operę. Jakby brał w niej udział. Dramat rozgrywający się między dwoma siostrami był widoczny dla wszystkich.

Na zewnątrz ludzie poruszali się szybko pod czarnymi parasolami – i jednym różowym – i wsiadali do samochodów, by udać się na cmentarz. Colm też miał ochotę tam pojechać, miał ochotę zobaczyć to przedstawienie do końca, postanowił jednak tego nie robić. To nie byłoby właściwe. I mogłoby być krepujące dla Sally. Został pod zadaszonym wejściem do kościoła i patrzył na znikający tłum. Oczywiście nie miał parasola, czekał więc, aż najgorsza ulewa minie i będzie mógł pójść na przystanek. Zapalił papierosa, z przyjemnością zaciągnął się dymem. Papierosy zawsze lepiej smakują na

deszczu. Jakiś mężczyzna w sportowej kurtce wskoczył pod daszek i stanął obok niego. On też nie miał parasola i jego włosy ociekały deszczem.

– Mogę prosić o ogień? – spytał Colma.

Colm zapalił mu papierosa zapałką, starając się nie podpalić włosów, które opadały z czoła. Colm lubił zapałki. Lubiał ich prostotę. Nie cierpiał zapalniczek. Odnosił się do nich nieufnie. Mając przy sobie zapalniczkę, nie potrafił przestać myśleć o tym, że ma w kieszeni mały pojemnik z benzyną. Cały czas mu się wydawało, że zapalniczka może w każdej chwili eksplodować czy coś w tym rodzaju.

Krople deszczu spływały z włosów nieznajomego na papierosa, mimo to jednak udawało mu się go palić.

– Okropny wypadek – powiedział mężczyzna, potrząsając głową ze

współczuciem.

– Okropny – zgodził się Colm.

– Taka tragedia. Ni stąd, ni zowąd.

Okropne.

– Nigdy nie wiadomo, komu bije dzwon

– odparł Colm uprzejmie.

– Dobrze go pan znał? – spytał mężczyzna.

– Prawie wcale – odparł Colm. – A pan?

– Ja też nie. Tyle że czytałem o nim w gazetach. To i owo w różnych plotkarskich rubrykach.

Zapadła cisza, którą Colm z niejasnych dla siebie powodów postanowił przerwać.

– Przyjaźnię się z jego żoną – rzucił nagle.

– Ach, tak? Ładna kobieta. To musi być dla niej straszne, i dla tych małych dzieci – zaciągnął się głęboko wilgotnym papierosem, starając się, żeby nie zgasł.

– Jeśli ich pan nie zna, to dlaczego

przyszedł pan na pogrzeb? – spytał Colm.

– Jestem policjantem – odparł mężczyzna z westchnieniem. – Zawsze badamy przypadki nagłej śmierci, zwłaszcza kiedy chodzi o kogoś bogatego, jak Carter. – Ziewnął i wyrzucił niedopałek. – Kupa forsy. A tak przy okazji, nie wie pan, gdzie tu można zjeść śniadanie?

– Nie jestem stąd – powiedział Colm.

– Chyba przejdę się do wsi – mruknął facet, postawił kołnierz kurtki i wyskoczył w rzednący deszcz. Colm patrzył za nim, zapalając kolejnego papierosa. Nie wiedział, co by zrobił bez papierosów. Był jedynym człowiekiem, jakiego znał, który nie próbował rzucić palenia. Lubił palić, sprawiało mu to przyjemność, rozkoszował się każdym papierosem.

Poważny problem

Nie wierzę. – Colm pociągnął wielki łyk piwa ze szklanki i zapalił kolejnego papierosa, choć poprzedni ciągle tlił się na brzegu popielniczki.

– To straszne – powiedziała Sally.

– Straszne to w tym przypadku eufemizm.

– Jestem pewna, że mnie złapią. – Ona też wychyliła drinka z desperacją skazańca. Siedzieli w Barze Cudzołożników.

– Musisz się przyznać. Musisz im powiedzieć.

– Nigdy mi nie uwierzą, że tego nie chciałam. Nie mogę im powiedzieć. Słuchaj, mam naprawdę poważny problem. Co ja teraz zrobię?

Colm upił kolejny długi łyk piwa. Miał

wrażenie, że śni, ale obudzi się z tego snu lada moment i wtedy wszystko wróci do normy.

– Powiedz mi jeszcze raz, dlaczego nie zawołałaś o pomoc?

– Po prostu nie przyszło mi do głowy. Myślałam tylko o tym, że na pewno mnie oskarżą. Wiesz, ja nie mam silnego charakteru. Nie jestem odważna. Z natury jestem tchórzem. Kiedy dzieje się coś złego, mam ochotę uciec i schować się w mysiej norze.

– I ani przez chwilę nie pomyślałaś o tym, że on zginie?

– Ani przez chwilę, przysięgam. Nie jestem morderczynią. Jestem na to za słaba. Żeby być mordercą, trzeba mieć wytyczony cel i wytrwać w dążeniu do niego. Mówię ci, brakuje mi tych cech.

Colm opadł na oparcie sofy. Był kompletnie oszołomiony.

– Ja należę do ludzi, którym różne rzeczy po prostu się zdarzają. Nigdy nie biorę spraw we własne ręce. Nigdy nie przejmuję inicjatywy. To mój problem.

Ditto.

– Gdybym umiała wziąć sprawy we własne ręce, moje życie wyglądałoby dużo lepiej. Nie chciałam wyjść za Jamesa, po prostu tak wyszło. Skończyło się na tym, że zostałam jego żoną. Pewnie dlatego, że byłam taka młoda. Pamiętam, jak kilka tygodni przed naszym ślubem kupiłam sobie sukienkę. Nie spodobała mu się, powiedział, że nadaje się dla dziwki i bez pytania zapakował ją i odesłał do sklepu. Wtedy uważałam jego zachowanie za bardzo męskie i czarujące. Muszę przyznać, że bardzo mi się spodobało. Ale teraz nie jestem już taka pewna.

– Przepraszam, że ci przerywam, Sally, ale lepiej zostawmy już te wspomnienia.

Mamy w tej chwili bardzo poważny problem.

– Wiem, że mamy.

– To znaczy, chciałem powiedzieć, że ty masz bardzo poważny problem.

– Wiem, że mam.

Sytuacja przedstawiała się tak: Sally wyszła z Jamesem, żeby „porozmawiać”. Mimo mżawki pojechali na wzgórze Howth, wysiedli z samochodu i poszli na spacer. James przyznał się do wszystkiego, powiedział, że ma romans i chce rozwieść się z Sally, żeby ożenić się z jej siostrą.

– Mimo że już wcześniej o tym wiedziałam, przeżyłam szok, kiedy sam mi to powiedział. Byłam roztrzęsiona. Zaczęłam płakać. Nawet nie widziałam dokładnie, gdzie jesteśmy. W ataku wściekłości rzuciłam się na niego i uderzyłam go pięścią w twarz. Skaleczyłam się przy tym w rękę. Tak czy

inaczej, on zrobił krok do tyłu, pośliznął się na mokrej trawie i zaczął zsuwać ze zbocza. W tym miejscu nie jest specjalnie stromo ani nic, i nie wygląda na to, żeby można było stamtąd spaść. Ale chyba z powodu deszczu było ślisko. Stracił równowagę i upadł. Wydawało mi się, że całe wieki zsuwał się w dół, próbując się czegoś uchwycić. W pewnej chwili zatrzymał się i nawet złapał gałęzi krzewu, ale wysliznęła mu się z ręki i znowu zaczął się zsuwać. W końcu wpadł do wody. A najgorsze jest to, że przez cały ten czas myślałam tylko o tym, że będą mnie mogli o to oskarżyć. Ani przez sekundę nie zastanawiałam się nad tym, jak moje dzieci będą się czuły bez ojca. Bałam się tylko o siebie. Teraz widać wyraźnie, jaka jestem beznadziejna. Nie ma co do tego żadnych wątpliwości.

Sally nerwowo zaciskała palce, aż

bielały jej kostki. . – Więc zawróciłam, wsiadłam do samochodu i pojechałam do domu. Przygotowałam obiad dla dzieci i dla siebie. Potem zaczęłam się bać, że zostawiłam tam ślady stóp, więc wrzuciłam do piecyka buty, które miałam na sobie. Spaliłam je. To nie tak, że postanowiłam nie zawiadamić straży nadbrzeżnej, po prostu w ogóle nie przyszło mi to do głowy. Przestałam w ogóle myśleć o Jamesie w chwili, kiedy zniknął pod powierzchnią wody. Jak to się mówi, „co z oczu, to z serca”.

– Musisz się przyznać – powiedział Colm.

– Dlaczego? Co dobrego mogłoby z tego wyniknąć? To by tylko pogorszyło sytuację. Teraz moje dzieci muszą się uporać z tym, że ich ojciec nie żyje. Jeśli się przyznam, będą musiały się także uporać z faktem, że ich matka siedzi w

więzieniu, bo pozwoliła mu umrzeć, gdyż brakowało jej odwagi, by wezwać pomoc. To i tak jest najbardziej optymistyczna wersja. Pewnie zawsze podejrzewaliby, że go zabiłam. Wszędzie węszą podstęp, ci dwaj. Co by to dało, gdybym się przyznała?

Colm nie znał odpowiedzi.

– Pomyślałam sobie, że najpierw zajmę się pogrzebem, a potem zastanowię się, co dalej. Pomyślałam, że pogadam z tobą i zobaczę, co mi powiesz. Ty tak dobrze radzisz sobie z życiem.

Colm jęknął.

– Czy też powinnam raczej powiedzieć, że śmiercią.

Colm znowu jęknął.

– Policjanci zadawali mi mnóstwo pytań, ale uwierzyli we wszystko, co im powiedziałam. Tacy mili ludzie. Padał deszcz, więc było tam pusto i nikt nas nie

widział. Miałam na sobie starą kurtkę przeciwdeszczową z kapturem, więc nawet gdyby ktoś mnie zobaczył, i tak by mnie nie rozpoznał. Wyglądałam okropnie.

– Myślę, że powinnaś się przyznać – powtórzył Colm.

– Nie widzę powodu. To nic nikomu nie da. Wsadziliby mnie do pudła i moje dzieci zostałyby już w ogóle bez rodziców. Poza tym takie przyznanie się do winy to bardzo szlachetny uczynek, tylko silną osobę stać na coś takiego. Słaby człowiek nigdy by się nie przyznał. Wiele wycierpiałam z powodu mojej słabości. Chociaż raz mogłaby mi przynieść jakąś korzyść.

Colm wiedział, że radzi jej, by zrobiła coś, na co jego samego nie byłoby stać. No, ale on przede wszystkim nigdy nie znalazłby się w takiej sytuacji.

– Nic nie zrobię, tak będzie bezpieczniej

– powiedziała Sally. – Jeśli mnie dopadną, trudno, nie będę zaprzeczać. Ale na pewno im niczego nie ułatwię. Jestem to winna moim dzieciom. No, ale dość już o mnie i moich sprawach. Siedzę i narzekam, jakbym była jedyną osobą na ziemi, która ma jakieś problemy. Co u ciebie? Jak Cordelia?

Sally. Twoje problemy są naprawdę spektakularne.

Colm miał ochotę dać nogę. Uciec od Sally tak daleko, jak to tylko możliwe. Opowiadając mu o tym wszystkim, zrobiła z niego współnika. Lubił ją bardzo, ale nie aż tak, by zostać współnikiem w eliminacji jej małżonka. Potrzebował czasu, żeby się zastanowić. Przemyśleć wszystko. Wierzył, że Sally nie zrobiła tego rozmyślnie, ale może był naiwny? Może Sally nim manipuluje? Wydawała się taka prostoduszna, ale może pod maską

prostoduszności kryje się wyrachowany strateg? I może, może, próbuje go nabrać?

Próbuj, Sally, próbuj.

Zaciągnął się głęboko papierosowym dymem. Sally. Samolubna Sally. Siedziała obok, zdenerwowana i niespokojna. Ale Colm wiedział, że minie trochę czasu i jej strach osłabnie. Sally wróci do normalnego życia. Sumienie nie będzie jej gryzło. Potrafi szybko zostawić to wszystko za sobą.

– Wiesz, przedtem wydawało mi się, że moje życie było do niczego – powiedziała.
– Ale kiedy teraz o tym pomyślę, widzę, że było całkiem w porządku. Dopiero kiedy wpadniesz w prawdziwe kłopoty, zaczynasz sobie zdawać sprawę, że to, co działo się do tej pory, to małe piwo. Myślałam, że romans Jamesa to katastrofa, ale było to jednak lepsze niż fakt, że on nie żyje, a ja jestem za to odpowiedzialna. –

Sally westchnęła i pociągnęła długi łyk piwa, wyjątkowo nie zwracając uwagi na ilość przyswajanych kalorii. – Anicie całkiem odbiło. Zamknęła się w tym domu w Blackrock z kilkoma butelkami whisky i przestała chodzić do pracy. Wyszła tylko na pogrzeb. Ludzie zaczynają gadać. Mówią, że przejęła się bardziej, niż należałoby się spodziewać. Mówiłam, że przeszła załamanie nerwowe, żeby jakoś wytłumaczyć jej zachowanie, ale Alice, opiekunka, powiedziała mi, że słyszała, jak ktoś mówił, że Anita była bardzo bliską przyjaciółką Jamesa. Alice to miła dziewczyna, ale ma długi język, a to akurat nie jest pożądana cecha u opiekunki do dzieci. Opiekunka powinna być dyskretna. Dzieci płaczą po całych dniach, co naprawdę łamie mi serce. Czuję się taka nieszczęśliwa.

Sally dopiła swoje piwo i przesunęła

pustą szklanę w stronę Colma, milcząco prosząc o kolejnego drinka. Colm wstał i poszedł do baru. W wiszącym na ścianie lustrze dostrzegł odbicie człowieka, który wydał mu się znajomy, choć nie mógł sobie przypomnieć skąd. Zapewne ktoś z miasta, kogo widział na jakimś przyjęciu czy innej imprezie. Powieściopisarz albo scenarzysta. Albo poeta czy krytyk. Ale potem mężczyzna zapalił papierosa, osłaniając ogień stulonymi dłońmi, przy czym jego grzywka prawie zajęła się ogniem, i Colm nagle go rozpoznał. To był ten facet, ten wścibski policjant, którego spotkał pod kościołem po pogrzebie. Ten od śniadania. Siedział tam, rozwiązując krzyżówkę, skupiony na swoich sprawach. Obok niego stała szklanka piwa, ze znikającą powoli pianką. Miał na sobie żółty wełniany sweter i zdecydowanie wyglądał na kogoś, kto już zakończył

dzień pracy. To zbieg okoliczności, pomyślał Colm. On musi gdzieś tu mieszkać. Gdzieś w tej okolicy. Dublin to takie małe miasto. Takie rzeczy ciągle się zdarzają. Poznajesz kogoś w jednym miejscu, a zaraz potem natykasz się na niego gdzie indziej. Colm zastanawiał się przez chwilę, czy go nie pozdrowić, ale postanowił, że lepiej nie. Mężczyzna był bardzo zaabsorbowany swoją gazetą. Colm wrócił do Sally.

– Jest tu jeden facet, którego spotkałem na pogrzebie.

– Kto to?

– Policjant.

– Policjant?!-wykrzyknęła Sally.

– Spotkałem go pod kościołem, poprosił mnie o ogień. Mówił, że jest glina.

– Pokaż mi go.

– Tam. – Colm wskazał żółty sweter siedzący przy barze. Mężczyzna poruszył

ramionami, najwyraźniej bolały go plecy. Te stołki barowe. Zabójcze dla kręgosłupa.

– Pewnie gdzieś tu mieszka. Do tego baru przychodzą tylko miejscowi. Nikt inny nie zna tego miejsca – powiedział Colm.

– Nie bądź głupi – odparła Sally. – Mamy kłopoty. To musi być mój ogon.

– Co takiego?

– On mnie śledzi.

Oczywiście. Dlaczego nie przyszło mi to do głowy?

– To znaczy, że mam problem, i ty też. Na pewno o nas wiedzą. To znaczy, że mi nie wierzą. To znaczy, że mnie podejrzewają, a to znaczy, że mam bardzo poważny problem.

To znaczy, że ja mam poważny problem.

Duirt bean liom gur duirt bean lei *(Pewna kobieta powiedziała mi, że pewna kobieta powiedziała jej)*

Plusk, plusk, plusk, chlup, chlup. Ciało Jamesa Cartera powoli dryfuje z prądem. Twarz wykrzywiona bólem, bąbelki powietrza uciekają spomiędzy zsiniałych warg. Wokół unoszą się wodorosty. Mija go ławica małych rybek. W ciemnej wodzie lśnią macki ośmiornicy. Meduza krąży wokół rozgwiazdy, ich barwy połyskują w słabym podwodnym świetle. Carter pod pływa coraz bliżej, ale uwagę Colma przyciąga grupa rybek o blond loczkach. Pływają synchronicznie, śpiewając: „Pozbędę się ciebie, kochanie, i płakać za tobą nie będę”. Potem na chwilę wszystko znika. Potem skok do wody, uczucie zapadania się w zielone odmęty, a na dnie, zaplątany w wodorosty, leży wrak

łodzi. Z dziury w kadłubie wynurza się nagle czyjaś głowa. Zupełnie jak w *Szczękach*. Głowa należy do Jamesa Cartera. Ale rysy twarzy zacierają się w mętnej wodzie, a potem, kiedy znowu widać je wyraźnie, okazuje się, że to twarz Colma.

Obudził się gwałtownie, zlany potem. To tylko sen, ale jego realność i żywe disneyowskie barwy przeraziły Colma. Był późny poranek, sądząc po świetle słońca wpadającym przez okno. Tym razem nie bolała go głowa, bo poprzedniego wieczoru był zbyt przejęty opowieścią Sally, by się naprawdę upić. Policja na pewno przyjdzie go przesłuchać, to tylko kwestia czasu. Colm nie miał co do tego wątpliwości. Będą go pytać, a on nie może wsypać Sally. Musi ją przekonać, żeby sama się przyznała. To jedyne właściwe rozwiązanie.

Wytoczył się z łóżka i poszedł pod prysznic, żeby rozjaśnić umysł.

Jeżu, słodki Jeżu, coraz gorzej ze mną. Mam romans z zabójczynią męża. Zostanę uznany za jej współnika w zbrodni.

Colm zdecydował, że powie Janet. Nie ma wyboru. Wszystko i tak się wkrótce wyda. Wszystko wyjdzie na jaw. Prawdopodobnie zostanie wydrukowane wielkimi literami w nagłówkach wieczornych gazet. Musi zacząć mówić. Była środa, a w środy Janet często wracała do domu w porze lunchu, ponieważ dzieci miały zajęcia sportowe, teatrzyk, gimnastykę czy coś w tym rodzaju. Maluchów nie będzie w domu jeszcze przez jakiś czas, więc będą mogli porozmawiać w cztery oczy. Usiądzie naprzeciw niej i opowie jej o wszystkim, zanim ona zdąży zacząć mówić o czymś innym. Albo zanim zajmie się pracami

domowymi, albo sklejeniem połamanych rzeczy superklejem.

Colm zszedł do kuchni i zrobił sobie kubek kawy. Usiadł i czekał. Po godzinie, która zdawała się wiecznością, Janet wróciła do domu, nieco wcześniej niż zazwyczaj. Nie powiesiła płaszcza w przedpokoju i nie zostawiła tam swoich rzeczy, jak zwykle, tylko od razu z hukiem wpadła do kuchni. Jej twarz była zupełnie szara. Colm natychmiast zorientował się, że coś się stało. Janet rzuciła torbę na krzesło, cisnęła plik zeszytów na stół i odwróciła się do Colma, z włosami w nieładzie i nabiegłymi krwią oczami.

– Czy to prawda? Mów! – zażądała, starając się zapanować nad głosem.

Colm spojrzał na nią niepewnie. Patrzyła mu prosto w oczy.

– Widzę po twojej minie, że to prawda. Widzę, że jesteś winny.

Colm spuścił wzrok.

– Ty draniu – wyszeptała lodowato.

Ona wie. Ktoś jej powiedział.

– Ty nędzna kreaturo! Masz się natychmiast wynieść z tego domu.

Colm patrzył na nią w osłupieniu. Dziwna reakcja, ta burza. Spodziewał się raczej urażonej godności. Przypuszczał nawet, że rola zdradzanej żony będzie jej odpowiadała. Odgrywałaby ją z wdziękiem, przybierając swoją dobrze przećwiczoną pozę męczennicy, która w niewytłumaczalny sposób zawsze wydawała mu się pociągająca. Ta gwałtowna reakcja zupełnie do niej nie pasowała.

– Janet, usiądź, proszę. Porozmawiajmy o tym spokojnie, jak dorośli ludzie.

– Oczekujesz, że będę spokojna? Oczekujesz, że usiądę i będę z tobą rozmawiać? – wycharczała. Wyciągnęła

przed siebie ręce, mocno drżały. Wyglądała tak, jakby miała ochotę go uderzyć.

– Zrobię ci filizankę herbaty – powiedział i podszedł do czajnika, żeby napełnić go wodą.

– Herbaty? – huknęła Janet, tracąc panowanie nad sobą. – Herbaty? Myślisz, że mogłabym teraz pić herbatę? Wiesz, to siebie obwiniam o to, co się stało. Gdybym z tobą sypiała, nigdy by do tego nie doszło, ty draniu. Powinnam była się domyślić, że coś jest nie tak, kiedy przestałeś mnie nakłaniać, żebym z tobą spała. Powinnam była się domyślić.

Opadła na krzesło i zaczęła dygotać.

– W pierwszej chwili nie mogłam w to uwierzyć, wydawało mi się to takie do ciebie niepodobne, ale widzę teraz, że to prawda. A myślałam, że ona sobie to wszystko wymyśliła. Zaczynam

przypuszczać, że wcale cię nie znam, że nigdy cię nie znałam. Nic o tobie nie wiem.

Colm podszedł do niej i spróbował ją objąć. Podskoczyła, jakby dotknął ją rozgrzanym do czerwoności pogrzebaczem.

– Nie dotykaj mnie – powiedziała głucho.

Colm zaparzył więc dwie filiżanki herbaty, oszczędnie, z jednej torebki, którą wrzucił do zlewu. Widział, że to zauważyła i już miała zganić go za lenistwo i brudzenie w kuchni, ale się powstrzymała. Nalał mleka, wsypał cukier do herbaty i postawił filiżankę przed Janet. Odruchowo zaczęła pić.

– Kto ci powiedział? – spytał.

– Kate Cooper. Dowiedziałam się od Kate Cooper. Powiedziała mi o tym z wyraźnym zadowoleniem. Nie lubię jej.

Wiem, że miała ciężkie życie, ale to nie usprawiedliwia faktu, że cieszą ją nieszczęścia innych.

– A skąd ona się dowiedziała?

– Od Phoedry.

– Skąd Phoedra o tym wie?

– Cordelia jej powiedziała.

– A skąd dowiedziała się Cordelia?

– Jak to skąd? – Janet wstała i przyłożyła dłonie do zmarszczonego czoła. Obróciła się z roztargnieniem w kółko i znowu usiadła. – Muszę porozmawiać z Cordelia, ale ona wróci z wycieczki dopiero jutro. Wtedy ma cię już tu nie być. Do tego czasu zdecyduję, czy powiadomić policję.

Co ma do tego Cordelia?

– Policja już wie – powiedział Colm.

– Skąd?

– Cóż, podejrzewają coś. Śledzili ją, kiedy szła się ze mną spotkać.

– Co takiego? Śledzili Cordelię?

– Cordelię? A co Cordelia ma z tym wspólnego?

To wszystko zaczyna nagle tracić sens. Alarm! Alarm! Deficyt logiki.

– O czym ty mówisz? – spytał ostrożnie.

– A o czym ty mówisz?

Usiadł naprzeciw Janet ze swoją herbatą w ręce. Zaczął podejrzewać, że cokolwiek się stało, Janet nie wie o Sally. W pierwszej chwili odczuł ulgę, potem rozczarowanie, bo to oznaczało, że sam będzie jej musiał powiedzieć, a na końcu ogarnęła go panika, bo nie miał pojęcia, co w takim razie chodzi Janet po głowie.

– O czym ty mówisz? – powtórzył.

– O tym, że napastowałeś seksualnie Cordelię.

Colm parsknął śmiechem. Sam pomysł wydał mu się absurdalny. Ale wystarczyło jedno spojrzenie na Janet, by zrozumieć, że

to nie była dobra reakcja.

– Rzadko mam okazję zamienić z nią choćby dwa słowa. Znika, jak tylko wejść do pokoju.

– Nic dziwnego.

– Janet, co dokładnie powiedziała ci Kate Cooper?

– Powiedziała mi, że Phoedra powiedziała jej, że Cordelia uciekła z domu, bo się do niej dostawiasz. Że ciągle namawiasz ją, żeby kupiła sobie ecstasy, piła dzin i paliła papierosy, że ciągle mówisz przy niej o prezerwatywach i antykoncepcji. Że ocierasz się o nią, ilekroć mijacie się w przedpokoju. Cordelia opowiedziała o tym wszystkim Phoedrze, ale kazała jej obiecać, że nikomu nie powtórzy. Phoedra powiedziała o tym Kate w sekrecie krótko po tym, jak Cordelia wróciła z Londynu. Kate postanowiła omówić to z ojcem

Jackiem, jej spowiednikiem w Rathgar, a on poradził jej, żeby powiedziała o tym mnie, co też uczyniła z prawdziwą radością.

– To bzdury.

Janet zaczęła tracić grunt pod nogami. Colm wydawał się winny, kiedy wróciła do domu. Ale teraz już nie wydawał się winny. Żałowała, że nie miała okazji usłyszeć całej tej historii z ust Cordelii.

– To kompletne bzdury. Jedyne ziarnko prawdy, jakie tkwi w tym wszystkim, to fakt, że od czasu do czasu daję Cordelii jakieś pieniądze i mówię, żeby sobie kupiła tabletkę ecstazy. To tylko taki żart, oparty na absolutnej pewności, że Cordelia nigdy nie próbowałaby brać narkotyków. Częstouję ją papierosami, ale to też tylko żart. Robię to, bo jest zdecydowanie przeciwna paleniu i wiem, że nigdy nie przyjąłaby papierosa. A jeśli chodzi o

napastowanie seksualne, to zupełny nonsens.

Janet wypiła herbatę, kompletnie zdezorientowana. W pierwszej chwili nie uwierzyła Kate Cooper, przyjęła jej rewelacje bardzo chłodno. Kate zadzwoniła do szkoły i zaproponowała spotkanie w małej kawiarni, gdzie nad parującą cafe latte spokojnie opowiedziała całą historię. Janet była pewna, że to czyste wymysły, to wszystko wydawało się takie niepodobne do Colma. Ale później, rozmyślając o tym w czasie pozostałych lekcji, doszła do wniosku, że ani Phoedra, ani Cordelia nie mają aż tak bujnej wyobraźni, więc coś w tym musi być. Wracając do domu, znowu zaczęła uważać, że to bzdury, ale reakcja Colma przekonała ją, że musi być w tym trochę prawdy.

– Więc o czym ty mówiłeś, kiedy

przyszłam do domu? – spytała. – Dlaczego tak dziwnie zareagowałeś? Myślałeś, że o czym mówię?

– Aaa... Cóż, lepiej ci powiem... Janet. Ja... eee...

Colm zaczął płakać. Jego oczy wypełniły się łzami, które zaczęły powoli spływać po policzkach, a potem nagle te cienkie strumyczki zmieniły się w rwące potoki. Zaczęło mu cieknąć z nosa. Całą twarz miał mokrą od łez. Chwycił pudełko chusteczek higienicznych, żeby zatamować powódź.

, – Tak mi przykro, Janet, ale mam romans. – Łzy spływały mu po twarzy i kapwały na blat. Zgiął się wpół i ukrył twarz w dłoniach, lejąc łzy jak Niagara, nad sobą, nad Janet, nad umarłą miłością, która wisiała między nimi w powietrzu.

Janet patrzyła, jak próbuje opanować tę falę emocji.

– Jak długo to trwa? – spytała cicho.

– Od kilku miesięcy. – Otarł twarz chusteczką. – Och, Janet. Bardzo źle z nami, jeśli uwierzyłaś, że mógłbym zrobić coś takiego.

Janet powoli pokiwała głową.

– Nigdy nie skrzywdziłbym Cordelii – zapewnił. – Wiem, że ona mnie nie lubi, i muszę ci powiedzieć, że bardzo mnie to boli. Miałem nadzieję, że wyrośnie z tego, ale tak się nie stało, a teraz wydaje mi się, że jest gorzej, niż sądziłem. Kiedy poznałem ciebie, Cordelia przypominała małego elfa, zawsze była przy tobie i miała swoje miejsce w moim sercu. Nigdy przedtem nie znałem żadnego dziecka, nie tak naprawdę. I bardzo ją lubiłem. A teraz ona mnie nienawidzi.

– Kim jest ta kobieta?

– Nie znasz jej.

– Gdzie ją poznałeś?

– Napisała do mnie, do gazety, o moim felietonie.

– Jak się nazywa?

– Sally Carter.

Janet rozpoznała nazwisko.

– Czy to żona tego faceta, który niedawno utonął?

– Tak.

Patrzyła na niego chłodno, jakby się nad czymś zastanawiała.

– Czy to ona go załatwiła?

Colm milczał przez długą chwilę.

– Mam nadzieję, że nie, ale myślę, że to możliwe, a jeśli tak, to wszyscy mamy poważne kłopoty.

– Chcesz od nas odejść, żeby być z nią?

– Nie. Ale chcę coś zrobić, Janet, bo my, ty i ja, nie możemy dłużej żyć w tym pustym małżeństwie. Bo czuję się z tobą taki samotny.

Wstał, poszedł do przedpokoju i wrócił

do kuchni w płaszczu.

– Wychodzę, może będę mógł zatrzymać się na jakiś czas u Davida – powiedział. – Porozmawiaj z Cordelia. Albo to wszystko wymyśliła, albo uległa złudzeniu. Tak czy inaczej powinna pogadać z jakimś profesjonalistą, a nie z tą głupią Phoedrą, bo to pewnie tylko pogorszyło sytuację. Ona jeszcze podkreśliła Cordelię, założę się. Wyniosę się z domu na trochę, a potem zobaczymy.

Z jego oczu znowu zaczęły płynąć łzy. Janet patrzyła na niego, na jego czerwoną jak burak, rozemocjonowaną twarz, na jego tłuste, rozczochrane włosy. Odwrócił się i podszedł do drzwi. Przygarbiony i pokonany. Zero kręgosłupa. W jej oczach był taki beznadziejny, brakowało mu wszystkich cech, które ceniła w ludziach, a jednak patrzyła na niego i nie mogła go nie kochać.

Pokój

Colm, wyczerpany, wyszedł z domu i ruszył przed siebie ulicą. Postanowił najpierw wstąpić gdzieś na piwko, a potem telefonicznie namierzyć Davida w którymś z jego lokali. David na pewno pozwoli mu się u siebie zatrzymać na jakiś czas. Colm zupełnie opadł z sił. Ostatnio często czuł się tak, jakby wszystkie jego członki miały ciężar ołowiu. Jakby nie był w stanie ich udźwignąć. Mijał właśnie dom pod numerem 5, kiedy zauważył znajomą tabliczkę w jednym z okien od frontu. Wolny pokój. Nagły wzrost adrenaliny we krwi dodał mu energii. Wskoczył na schodki i wcisnął dzwonek Briana, drugi od góry w rzędzie ośmiu przycisków. Z wnętrza dobiegły go stłumione odgłosy, jak z brzucha wielkiego zwierzęcia, i po

chwili na progu pojawił się Brian.

– Chcę wynająć ten pokój – powiedział Colm.

Brian był wyraźnie zaskoczony. Uniósł brwi, wzruszył ramionami i ruchem ręki zaprosił Colma do środka.

– To niewielki pokoik – powiedział. – Ludzie uważają, że jest za mały i rzadko chcą mieszkać w nim dłużej. Tylko desperaci wynajmują ten pokój.

– Masz przed sobą desperata – odparł Colm.

Weszli po schodach na górę i zatrzymali się przed drzwiami pokoju. W domu Colma był w tym miejscu gabinet. Brian wybrał właściwy klucz spośród wielu wiszących na jego kółku, otworzył drzwi i puścił Colma przodem. Pokój miał identyczny kształt i wymiary jak gabinet Colma. Wydawał się dziwnie znajomy. W tym pokoju także stało biurko, mniej

więcej w tym samym miejscu, co biurko Colma w jego domu. Widok z okna także był bardzo podobny. Tyle tylko że z tego okna nie było widać wariatki ani placu budowy. Pod jedną ścianą stało żelazne łóżko, a w kącie dwupalnikowa kuchenka elektryczna. Zdumiewające, ile można upchnąć w tak małym pomieszczeniu. Pokój wydawał się w porządku. Ciasny i przytulny, jak macica. Mały, ale Colm nie potrzebował teraz więcej miejsca. Kiedy w dzieciństwie zdarzyło mu się wpaść w kłopoty, miał zwyczaj chować się w szafie, nie dlatego, żeby nikt nie mógł go znaleźć, raczej po to, by sprowadzić świat do właściwych proporcji.

– Nie ma tu łazienki, musiałbyś więc dzielić łazienkę w korytarzu z facetem spod piątki, ale on jest bardzo czysty i schludny. Zasada korzystania ze wspólnej łazienki jest taka, że swoje przybory

toaletowe przechowujesz w pokoju. Co miesiąc każdy musi włożyć trochę drobnych do skarbonki, na papier toaletowy, żarówki i tak dalej.

Mógłbym wprowadzić się do tego pokoju. To rozwiązałyby parę moich problemów. Byłoby tak, jakbym wprowadził się do wnętrza własnej głowy.

Colm osunął się na kolana i objął nogi Briana ramionami.

– Potrzebuję tego pokoju. Naprawdę go potrzebuję – i znowu zaczął płakać.

– Źle z tobą, bracie – mruknął Brian, zerwał napis Wolny pokój z okna i wsadził go Colmowi do ręki.

Colm podszedł do łóżka i położył się na starym materacu, który był pełen dołków i wybrzuszeń, jak trójwymiarowa mapa Monaghan County. Zwinął się w kłębek, przyłożył głowę do poduszki i natychmiast zapadł w głęboki sen, ściskając w dłoni

zmięty napis Wolny pokój. Brian zamknął za sobą drzwi i zszedł na dół do swojego pokoju, który był odpowiednikiem kuchni Cantwellów. Nie mógł wyjść ze zdumienia, że spośród wszystkich znanych mu osób właśnie Colm musiał szukać u niego schronienia. Liczba ludzi wypadających poza nawias społeczeństwa nigdy nie przestawała go zadziwiać.

Colm miał wrażenie, że przespał pół dnia, choć w rzeczywistości spał tylko półtorej godziny. Otworzył oczy i w pierwszej chwili nie miał pojęcia, gdzie się znajduje. Potem spojrzął na małe okienko i uznał, że jest w swoim gabinecie, a kiedy rozejrzał się dookoła, przypomniał sobie, że wylądował u Briana jako kompletny życiowy rozbitek. Zawsze czuł pewne pokrewieństwo z mieszkańcami tego domu, i miał rację. Przynależał tu, wraz z

samotnymi matkami, uchodźcami z Bośni i sprzedawcami gazet. Dziwne, ale miał wrażenie, jakby zawsze wiedział, że to miejsce będzie jego przeznaczeniem.

Postanowił, że zadzwoni do Davida i spróbuje go namówić, żeby towarzyszył mu podczas debiutanckiego wypadu do restauracji, którą miał opisać. Ale w pokoju nie było telefonu. Wyszedł na korytarz w nadziei, że znajdzie tam aparat, ale w ścianie była tylko dziura po automacie. Zszedł do kuchni, czy też raczej do nory Briana, i zapukał do drzwi. Pokój Briana wydawał się ogromny w porównaniu z jego pokoikiem.

– Woda się zagotowała, bracie. Napijesz się herbaty?

– Dzięki – odparł Colm i usiadł. Brian zaparzył herbatę i postawił przed nim kubek. W pokoju panował wzorowy porządek. Prowizoryczna ścianka z

listewek oddzielała część sypialno-salonową od kuchennej. Brian wykorzystał każdy centymetr kwadratowy tego pokoju. Colm uświadomił sobie, ile przestrzeni marnuje się w jego własnym domu. W jego dawnym domu.

– Jest tu automat telefoniczny? – spytał.

Brian uśmiechnął się lekko.

– Pozbyliśmy się go. Przyciągał wandalę. Proszę. – Brian podał mu komórkę. – Kiedy człowiek jest bezdomny, przede wszystkim musi kupić sobie komórkę.

Colm zdołał skontaktować się z Davidem i umówić się z nim na kolację we włoskiej restauracji.

– Chcesz pogadać o swoich kłopotach, bracie? – spytał Brian. – Nie chcę się wtrącać, ale jeśli to by ci pomogło, zamieniam się w słuch.

Umiera z ciekawości. Czeka na plotki.

– Nie teraz – odparł Colm. – Ale może za parę dni. Idę pogadać o swoich sprawach z moim przyjacielem Davidem. Przyjaźnimy się od czasu, kiedy mieliśmy po jedenaście lat.

– To dobrze – stwierdził Brian. – Wieloletnia przyjaźń to oznaka dobrego charakteru.

Colm nie mógł oprzeć się wrażeniu, że został potraktowany protekcjonalnie.

Na rym polega problem. Ludzie są bardzo fajni, dopóki nie poznasz ich lepiej. Później nawet naprawdę dobrzy ludzie okazują się okropni.

Colm poszedł na przystanek złapać autobus do miasta. Czuł się dziwnie, patrząc na ulicę, którą chodził od lat, z zupełnie innej perspektywy. Ale teraz miał bliżej do przystanku. Była to pewna zaleta całej sytuacji. Wyszedł za furtkę i ruszył w kierunku głównej drogi, kiedy na ulicy

pojawiła się Cordelia. Szła w jego stronę, ze spuszczoną głową i wzrokiem wbitym w chodnik, wlokąc za sobą kij do hokeja i torbę na sportowy strój. Colm miał zamiar po prostu przejść obok niej, ale zabrakło mu odwagi. Wrócił biegiem do ogródka domu dla rozbitków, swojego domu, i schował się za pojemnikami na śmieci. Kucając, nie był w stanie ukryć się za nimi całkowicie, położył się więc płasko na brzuchu wśród śmieci i odchodów pozostawionych przez okoliczne koty, i wyjrzał ostrożnie zza pojemnika, żeby obserwować Cordelię. Była naprawdę najsmutniejszym dzieckiem, jakie kiedykolwiek widział. Przeraziła go jej wrogość. Teraz, kiedy wiedział, co o nim opowiada, pojął głębiej jej uczuć. Nienawidziła go. Nienawidziła z ogromną siłą. To nie mdła niechęć wieku średniego ani znużona pogarda starości. Nienawiść

Cordelii kryła w sobie cała zdławioną energię okresu dojrzewania. Jak rzeka, na której postawiono tamę, groziła powodzią i zniszczeniem. Przerażało go to. I nie wiedział, co z tym zrobić. Fakt, że w jej historii nie było słowa prawdy, wcale niczego nie ułatwiał, dowodził tylko, że mała ma ze sobą poważne problemy. Musi go naprawdę nienawidzić, skoro to wszystko wymyśliła.

Cordelia oddaliła się w końcu, Colm wstał i otrzepał się z kurzu. Najpierw spał w ubraniu, a potem tarzał się w śmieciach, przedstawiał więc teraz niezwykły widok. Nie zabrał niczego z domu, ze swojego dawnego domu, nawet grzebienia. Musi wrócić tam jutro, kiedy nikogo nie będzie, i wziąć kilka niezbędnych rzeczy. Wyszedł na główną ulicę i wskoczył do autobusu.

Dotarł do włoskiej restauracji i zastał tam Davida, który siedział przy stoliku z

serwetką zawiązaną u szyi na kształt dziecięcego śliniaka i z roztargnieniem jadł paluszki serowe, popijając przy tym coś białego z wysokiej szklanki. Serwetka była gigantyczna, jak z *Alicji w Krainie Czarów*. Colm wręczył swój wygnieciony płaszcz kelnerowi i podszedł do stolika. Nie zdążył jeszcze usiąść, kiedy David wybuchnął:

– Boże, tak się cieszę, że cię widzę, naprawdę muszę z kimś pogadać. Mam straszny problem. Siadaj, siadaj.

Z ust mi to wyjąłeś.

– Pamiętasz Gemmę Blake? Tę małą, która pozwała mnie do sądu.

– Tak – odparł Colm.

– Stało się coś strasznego. Okropnie się z tym czuję, wczoraj w ogóle nie mogłem spać. Ona nie żyje. I to moja wina.

– Co się stało?

– Zginęła w wypadku samochodowym.

– Czekaj, czegoś tu nie rozumiem, dlaczego czujesz się winny?

– Za pieniądze z odszkodowania kupiła sobie porsche 911. Prawdopodobnie jechała za szybko i rozbiła się na drzewie gdzieś na południu Francji. Była tam na wakacjach ze swoim chłopakiem, wydając to, co jej zostało z moich pieniędzy.

– No dobrze, ale dlaczego czujesz się winny?

– Cóż, bo to moja wina. Nie szalałaby po Francji szybkim samochodem, gdybym jej nie napastował. Pracowałaby nadal w Harbour Bar i zarabiała trzy pięćdziesiąt za godzinę, co nie jest zbyt ryzykownym zajęciem.

– To śmieszne, David, nie jesteś odpowiedzialny za to, co ktoś zrobił z pieniędzmi, które wyciągnął od ciebie na drodze sądowej.

– Poza tym, no wiesz, miałem nadzieję,

że moja forsa wyjdzie jej bokiem. Przekląłem ją kilka razy i powtarzałem, że na pewno nie wyjdzie jej to na dobre. I tak się stało. Czuję, że to moja wina, bo źle jej życzyłem.

Och, luksus posiadania wyimaginowanych problemów.

– David, to nonsens. Miałeś pełne prawo być wściekły na tę dziewczynę. To normalne i bardzo ludzkie. Nie możesz czuć się odpowiedzialny za to, co się stało.

– Więc dlaczego czuję się winny? Dlaczego nie mogłem wczoraj zasnąć?

– Dlatego, że nie masz żadnych prawdziwych problemów, więc wymyślasz je sobie, żeby trochę ubarwić swoje życie.

David był oburzony. Jego twarz nabrała barwy fioletu. Na stoliku pojawiło się pierwsze danie. Makaron. Colm błyskawicznie pochłoniął swoją porcję. Nie zwrócił nawet uwagi na smak. David

przeżuwał ze złością, wyładowując gniew *na fettucine*.

– Colm, zawsze słucham o twoich kłopotach z wielką uwagą i chyba zasługuję na więcej współczucia, kiedy sam mam jakiś problem.

Colm westchnął. Rozumiał ten punkt widzenia, ale nie miał siły angażować się w sprawy Davida. Wiedział, że powinien okazać współczucie i załagodzić sytuację, ale zabrakło mu cierpliwości, powiedział więc chłodno:

– To szczyt egocentryzmu sądzić, że jesteś odpowiedzialny za śmierć Gemmy Blake. Nie jesteś pępkiem świata, nie wszystko kręci się wokół ciebie. Świat ma swoją własną dynamikę.

David sprawiał wrażenie głęboko zranionego. Zdjął z szyi wielką serwetkę, położył ją na stole i wstał. Poprosił o swój płaszcz i wyszedł.

Colm został sam.

Było po dziewiątej. Janet na pewno rozmówiła się już z Cordelia na temat rewelacji Kate Cooper. Colm zastanawiał się, czy nie powinien jednak zostać w domu i wziąć udziału w tej konfrontacji. Ale czułby się tam okropnie. Nie wyobrażał sobie bardziej bolesnej sytuacji. Czy Cordelia przyznała się do kłamstwa? A może to Phoedra wymyśliła to wszystko? Jeśli Cordelia będzie się upierać przy swojej wersji, Janet prawdopodobnie jej uwierzy. Colm jadł danie główne, popijając je bardzo drogim winem. Jadł, i jadł, i jadł, aż wydało mu się, że zaraz pęknie, a pasek u spodni zaczął uciskać go w brzuch. A kiedy już nic więcej nie był w stanie w sobie zmieścić, w końcu poczuł się syty.

Internet

Wczesne przedpołudnie. Colm wszedł do domu pod numerem 30, żeby zabrać trochę swoich rzeczy. W domu nie było nikogo. Czuł się jak włamywacz. Najważniejszy był komputer, ponieważ Colm musiał napisać tekst o restauracji i wydrukować krzyżówkę, żeby dostarczyć je do redakcji następnego dnia. Wszedł do sypialni i zabrał przybory do golenia z przylegającej do niej łazienki. Ogromne łóżko stało na środku pokoju jak wyrzut sumienia. Tęsknił za tym łóżkiem. Już po jednej nocy.

Dokładnie pamiętał dzień, kiedy je kupili; pamiętał, jak on i Janet skakali po nim jak dzieci w sklepie meblowym w Kildare. Delikatnie przewrócił Janet na to wielkie łóżce, zastanawiając się, czy nie

zaprotestuje jako szanująca się nauczycielka, ale i ona dała się ponieść nastrojowi chwili, śmiała się i wierzgała nogami w powietrzu. Sam też wskoczył na łóżko, pokryte szeleszczącą plastikową folią, i rzucił się na Janet, aż w końcu jej dezaprobata wzięła górę nad rozbawieniem.

– Nowożeńcy? – spytała sprzedawczyni, kobieta w średnim wieku, która przyglądała im się pobłażliwie.

– Jeszcze nie – odparła Janet. – Pobieramy się za dwa tygodnie. W sobotę.

– Cieszcie się swoim szczęściem, póki trwa – powiedziała sprzedawczyni i poszła przygotować rachunek.

Colm i Janet nie zwrócili na nią uwagi. Uśmiechała się do nich z sympatią, a w jej słowach nie było złośliwości. Ale utkwiły w pamięci Colma, tylko w jego wspomnieniu miły ton jej głosu był

zaprawiony goryczą. Wtedy wydawało się niemożliwe, by ich związek mógł okazać się klęską. A jednak ponieśli klęskę. Colm położył się na chwilę na łóżku; chciał ostatni raz poczuć je pod sobą. Próbował znowu przypomnieć sobie chwilę, kiedy oświadczył się Janet, ale bez powodzenia. Szukał tej chwili w pamięci, ale nie mógł jej odnaleźć. Zniknęła z archiwum jego wspomnień. Dziwne. Pamiętał, jak kupowali łóżko, pamiętał, jak oglądali i kupowali dom, pamiętał tak wiele rzeczy, tak wiele nic nieznaczących szczegółów, a tego nie. Jakby ktoś wcisnął klawisz z napisem usuń.

Colm wyniósł komputer przed drzwi domu. Zdecydowanie czuł się jak złodziej. Kilku przechodniów spojrzało w jego stronę, bardzo podejrzliwie, jak mu się zdawało. Wytrzymał to jednak. W końcu był złodziejem. Okradał swoje dawne

życie, żeby umeblować nowe.

Urządził swoją kawalerkę. Wszystkie papiery z gabinetu pod numerem 30 zostały wepchnięte pod łóżko pod numerem 5. Teraz naprawdę będzie spał na swoich tekstach. Z salonu zabrał oprawione w mosiężną ramkę zdjęcie Johna i June zrobione w dniu Pierwszej Komunii Johna. John miał minę poważną i uduchowioną, a June szatański uśmiezek na twarzy. Zawahał się, a potem wziął też portret rodzinny w ramce z macicy perłowej, zrobiony krótko po narodzinach June. Cordelia, wówczas ośmioletnia, słodka jak cukierek, John, rozkoszny dwulatek. Zmęczona Janet z nowo narodzona June w objęciach. Colm, na środku, taki dumny, z uśmiechem, który jaśniał jak latarnia morska. Dumny *pater familias* i jego wspaniała rodzina. Wrzucił zdjęcie do torby i wrócił pod numer 5 ze

swoim łupem.

Postawił fotografie na parapecie okna i poczuł się ciut lepiej. Zmiana, która zaszła w jego życiu, nie wydawała się aż tak szokująca teraz, kiedy miał przy sobie dowody na istnienie swojej przeszłości. Pomogą mu przetrwać okres przejściowy. Usiadł przy komputerze i zabrał się do roboty. Wygodnie było mieć czajnik pod ręką, nie musiał iść aż do kuchni, żeby zrobić sobie herbaty. Pracował z zapałem, barwnie opisując kolację, którą zjadł poprzedniego wieczoru we włoskiej restauracji, choć właściwie niewiele pamiętał. Tekst był utrzymany w tonie entuzjastycznym. Colm z pewnością by zapamiętał, gdyby coś mu nie smakowało.

Szybko skończył i kliknął drukuj. Żałował, że zabrało mu to tak niewiele czasu, bo wiedział, że teraz będzie musiał pomyśleć o kilku sprawach. Musi

porozmawiać z maluchami. Musi porozmawiać z Janet i sprawdzić, czego dowiedziała się od Cordelii, nastolatki z piekła rodem. Musi powiedzieć rodzicom, że wyprowadził się z domu i zrujnował swoje małżeństwo. Za dużo tego wszystkiego. A jeśli chodzi o Sally, nie miał pojęcia, jak się do tego zabrać. W dodatku wkurzył Davida, więc był teraz pozbawiony przyjaciół.

Położył się na pagórkowatym łóżku i jęcząc, schował głowę pod poduszkę, w nadziei, że jego troski znikną. Rozległo się pukanie do drzwi. Przyszedł Brian.

– Znalazłem ten telewizor na śmietniku w Rathmines. Zmieniłem wtyczkę i teraz działa bez zarzutu. Zdumiewające, jakie rzeczy ludzie wyrzucają teraz do śmieci. Jak babcię kocham. Telewizor się psuje, więc trzeba kupić nowy. Łatwiej iść do sklepu i wydać dwa patyki na nowy, niż

zmienić wtyczkę. Wiesz, że kiedyś znalazłem w śmieciach kryształowy wazon od Waterforda, ani trochę nieuszkodzony? Komuś się znudził, więc wywalił go na śmietnik.

– Może wyrzucali prezenty ślubne.

– Nie przyszło mi to do głowy – powiedział Brian. – Chcesz ten telewizor?

Colm kiwnął głową.

– Super, dzięki.

Brian postawił telewizor na szafie, bo tylko tam było jeszcze miejsce. Odkąd Colm sprowadził swoje rzeczy z domu, pokój wydawał się jeszcze mniejszy.

– Podłączę ci go do kablówki. – Brian otworzył okno, wychylił się niebezpiecznie i chwycił kabel, który przymocował taśmą do drutu z tyłu telewizora. – Oficjalnie ja jestem abonentem, ale po cichu podłączam wszystkich, którzy tu mieszkają. Więc gdyby przyszedł tu ktoś z telewizji

kablowej, pamiętaj, żeby w żadnym wypadku nie wpuszczać go do środka. Najpierw muszę wszystkich odłączyć.

Działalność przestępcza. Wiedziałem, że skończę jako kryminalista. Przestępczy półświatek zawsze mnie trochę pociągał.

– To chyba nielegalne?

– Oczywiście, że to nielegalne. Kradniemy programy telewizyjne. Inaczej zdarliby z nas skórę, licząc sobie za każdy telewizor w tym domu. Życie w zgodzie z prawem to przywilej zarezerwowany dla bogaczy. Tym bardziej dziwi mnie fakt, że tylu bogatych ludzi ciągle łamie prawo.

– Masz Sky Sports? – spytał Colm.

– Niestety nie.

– Żartowałem – powiedział Colm i spróbował się zaśmiać.

Brian milczał chwilę.

– Spotkałem twoją żonę na ulicy dziś rano, spytała mnie, czy nie wiem, gdzie

jesteś. Powiedziałem, że nie wiem. Pierwszy raz w ogóle się do mnie odezwała. Nie miałem pojęcia, kto to jest. Dobrze zrobiłem?

– Co masz na myśli?

– Czy dobrze zrobiłem, nie mówiąc jej, że nie wiem, gdzie jesteś.

– Tak, sam jej później powiem. Już niedługo. Może jutro. Albo pojutrze. *Mariana. Mariana.*

Brian wyszedł. Nowy telewizor gadał o czymś półgłosem. Colm położył się na łóżku i znowu wsadził głowę pod poduszkę. Miał ochotę nigdzie już stąd nie wychodzić. Doszedł do wniosku, że ma dość cotygodniowych wizyt na Grub Street. Chciał zostać w łóżku, gdzie czuł się bezpiecznie.

Minęła godzina, a on nadal leżał i miał pustkę w głowie. Znowu ktoś zapukał do drzwi.

– Co znowu, do stu diabłów? – spytał nieco melodramatycznie, co wskazywało na lekką poprawę nastroju.

Był to Brian z kubkiem kakao w ręce.

– Masz, wypij – powiedział.

Colm posłusznie wziął kubek z parującym płynem i pociągnął łyk. Wiedział, że Brian ma go na oku. Sprawdza, czy nie ma zamiaru zrobić sobie krzywdy, nie zabawia się krzesłem i kawałkiem sznurka.

Czy wyglądam aż tak źle?

Colm postanowił wziąć się w garść i zacząć normalnie funkcjonować. Naprawdę nie miał ochoty stąd wychodzić. Nie miał ochoty spotkać się z nikim, kogo znał. Przerażała go myśl, że na ulicy mógłby znowu spotkać Cordelię, ale nie mógł zostać w tym pokoiku na zawsze. Zapisał tekst o restauracji i krzyżówkę na dyskietce, podniósł kołnierz kurtki,

wsadził na głowę miękki, dziwaczny kapelusz Briana i pojechał do miasta do kafejki internetowej. Została otwarta pół roku wcześniej i Colm często przechodził obok niej, odwracając z odrazą wzrok, jak wegetarianin przechodzący koło sklepu mięsnego.

W kafejce było pełno ludzi ze wzrokiem utkwionym w ekrany komputerów, którzy z prędkością światła tłukli w klawisze, kontaktując się z innymi w niezmierzonej cyberprzestrzeni. Idąc za radą łagodnego olbrzyma stojącego za kontuarkiem, Colm zapoznał się z rozkoszami poczty elektronicznej. Wysłał materiały i odczuł wielką ulgę na myśl, że może już nigdy więcej nie oglądać Deirdre. Wystarczy, że kliknie wyślij, siedząc w kafejce z papierosem i kubkiem zbyt mocnej kawy. Będzie posyłał im teksty pocztą elektroniczną, a oni tą samą drogą

dostarczą mu pieniądze. Nie musi w ogóle istnieć w realnym świecie, może zostać cyberpracownikiem. Nikt nie musi wiedzieć, gdzie jest. W tajemniczy sposób jego kubek był ciągle pełny, choć Colm nie zauważył, żeby ktoś dolewał mu kawy. Odsunął się od ekranu, trochę zdumiony, że to wszystko okazało się takie proste. Zapłacił z góry za pół godziny, postanowił więc przez pozostałe dwadzieścia osiem minut obserwować otoczenie.

– Jak leci? – zagadnął młodego człowieka po swojej prawej stronie. Był to chudy okularnik, wyglądający na studenta. Gorączkowo wystukiwał wiadomości na klawiaturze, wzdychając przy tym często i pociągając nosem. Dla Colma wyglądało to na jakiś większy dramat. Chłopak oderwał szkliste oczy od ekranu.

– Słucham?

– Pytałem, jak leci. Masz jakiś problem?

Okularnik pokręcił głową i odwrócił się do komputera.

– Znowu świr. Co za miasto – mruknął pod nosem, pochylił się do przodu, zasłaniając ekran ramieniem, i zaczął jeszcze szybciej stukać w klawisze.

Colm nie znał etykiety. Był dinozaurem. Nastroszył się, podkulił ogon i wyszedł z kafejki.

Moja bajka to nie jest.

Wstąpił do zupełnie obcego baru, w obawie, że w lokalach, których był stałym bywalcem, ktoś mógłby go szukać. Nie chciał, żeby go znaleziono. Nie chciał widzieć Janet jeszcze przez kilka dni albo rok czy coś koło tego, a Sally nie chciał widzieć już nigdy. Cordelia musi skorzystać z fachowej pomocy, zanim on będzie w stanie z nią rozmawiać. Z maluchami trzeba pogadać i wyjaśnić im wszystko. Ale jeszcze nie teraz. Na razie

nie czuł się gotowy. Było wpół do siódmej i bar zaczynał się wypełniać, kilka osób wpadło na drinka po pracy, przed powrotem do domowych obowiązków. Oczywiście kilku mężczyzn piło w samotności, jak on. W pubie nikt nigdy nie czuł się skrepowany. Colm kiwnął przyjaźnie głową samotnym mężczyznom i usiadł przy barze. Piwo gładko spływało mu w gardło, wysłuchał długiej rozprawy na temat tego, ile można stracić na wyścigach w Cheltenham z ust gadatliwego piwosza siedzącego przy drugim końcu baru. Facet wprawdzie rozmawiał z barmanem, ale chętnie włączał do kręgu swoich słuchaczy wszystkich, którzy mieli na to ochotę. Colm kilka razy zachęcająco kiwnął w jego stronę głową. Anonimowa pogawędka o koniach. Na to właśnie miał ochotę. Na to jeszcze było go stać. Odprężył się w

towarzystwie nowego znajomego, godziny mijały, i w końcu nadszedł czas zamknięcia baru.

Zszedł ze stołka z lekkim bólem pleców, który dawał mu się we znaki mimo znieczulenia alkoholem. Ruszył do domu, zadowolony i prawie odważny w ciemnościach miejskich ulic. Miał trochę w czubie. Potykając się po drodze, dotarł na Candlewick Avenue. Był nieco roztargniony i autopilot naprowadził go pod numer 30. Przeszedł przez furtkę i już miał podejść do frontowych drzwi, kiedy uświadomił sobie, gdzie jest, i przystanął.

To już nie jest mój dom. Ja już tu nie mieszkam.

Spojrzał na wielki ponury budynek. W sypialni świeciło się światło. Dziwne, Janet zazwyczaj kładła się spać przed jedenastą. Może trwa wielka narada rodzinna. Albo przeprogramowywanie

Cordelii.

Mam nadzieję, że wróci jej rozum i przyzna, że cała ta historia to jedna wielka bzdura. Jeśli będzie się upierać, Janet jej uwierzy i prawdopodobnie uniemożliwi mi widywanie się z maluchami. A wtedy moje życie, które już kiepsko wygląda, całkiem straci sens.

Łzy napłynęły mu do oczu. Wyjął z kieszeni małą butelkę whisky, którą nosił na wszelki wypadek, i pociągnął łyk, co rozgrzało go trochę i podniosło na duchu. Obrócił się na pięcie i poszedł pod numer 5, potykając się tanecznie. Taniec potępionych.

Dom pod numerem 5 był oświetlony jak statek. We wszystkich pokojach paliły się lampy. W tym domu nikt nie kładł się wcześniej do łóżka. Jego mieszkańcy wiedli nieuporządkowane życie, nie znali dyscypliny. Colm otworzył drzwi i poszedł

do swojego pokoju. Wracając tu, poczuł się lepiej. Bardziej dorośle, odpowiedzialnie. Tu czuł, że ma własny dach nad głową, podczas gdy numer 30 zawsze był bardziej domem Janet. Mimo że został kupiony za pieniądze jego ciotki Julie, Colm zawsze miał wrażenie, że to Janet go zdobyła i urządziła.

Zwalił się do łóżka i już zasypiał, kiedy jak przez mgłę dostrzegł Briana, który ostrożnie otworzył drzwi i zajrzał do środka. Uznał, że Colm śpi i wycofał się bezszelestnie.

Miły facet, ten Brian. Mój anioł stróż. I Colm zapadł w sen.

Przebranie

Pukanie do drzwi. – Kogo tam znowu diabli niosą? – zawołał Colm. W drzwiach ukazała się głowa Briana.

– Przyniosłem ci śniadanie – powiedział i wszedł do pokoju ze świeżo przygotowanym śniadaniem na tacy. – Zaopiekuję się tobą przez dzień czy dwa, aż staniesz na nogi.

Colm odczuł lekką irytację. Trochę za dużo tego dobrego. Ale umierał z pragnienia i sok pomarańczowy oraz herbata zrobiły co trzeba, a kiełbaski należały do najlepszych, jakie kiedykolwiek jadł, przełknął więc irytację wraz ze śniadaniem i wstał.

Koszula, którą miał na sobie poprzedniego dnia, leżała na krześle i nawet z tej odległości widać było, że jest

mocno nieświeża. Już miał pójść do szafy po nową, kiedy przypomniał sobie, gdzie jest. Będzie musiał zakraść się pod numer 30 po koszule i bieliznę. Był piątek. W piątki zazwyczaj od rana przygotowywał się do wyprawy na Grub Street ze swoim tekstem, ale teraz, kiedy został użytkownikiem poczty elektronicznej, nie musiał już tego robić.

Męczyło go to jednak trochę. Skąd ma wiedzieć, czy jego tekst dotarł do redakcji? Może trafił zupełnie gdzie indziej? Może jego krzyżówka krąży gdzieś w wielkiej cybernetycznej przestrzeni i zostanie opublikowana w Tokio? Skąd ma wiedzieć, czy może polegać na ikoncie z napisem wyślij ? Wyglądała tak niepozornie. Nie ufał jej.

Brian siedział przy jego łóżku z kubkiem herbaty.

– Powiesz rodzinie, gdzie jesteś? –

spytał.

– Przestań mnie dręczyć.

– Będą się martwić. Pomyślą, że coś ci się stało.

– Bo coś mi się stało – powiedział Colm.

– Chcesz o tym pogadać, bracie?

– Nie, jeszcze nie.

Brian zostawił go samego. Colm starannie wytarł kawałkiem chleba resztki żółtka z fachowo ugotowanego jajka na miękko, pracowicie zgarniając wszystkie żółte kropelki z brzegu talerza. Następnie kolejnym kawałkiem chleba wytarł do czysta cały talerz. Szczegóły. Radzi sobie ze szczegółami.

Postanowił, że następnym etapem działań będzie prysznic. Jeden krok naraz. Kiedy myślał o całym czekającym go dniu, wydawało mu się, że to ponad jego siły, ale kiedy planował tylko kolejne

dwadzieścia minut, czuł, że sprosta zadaniu. Wyszedł z łóżka. Lekki ból pleców przypomniał mu, że poprzedniego wieczoru spędził zdecydowanie zbyt dużo czasu na stołku barowym. Poszedł korytarzem do wspólnej łazienki i rozejrzał się po małym pomieszczeniu w poszukiwaniu prysznic. Na ścianie znajdował się odpowiedni uchwyt, a przy kurkach otwór, ale samego prysznic nie było. Colm postanowił wziąć kąpiel i odkręcił kurek z gorącą wodą. Gorącej wody również nie było. Napis na ścianie sugerował, by włożyć trzy monety pięćdziesięciocentowe w otwór przy piecyku.

Mowy nie ma. Wolę śmierdzieć.

Zagotował wodę w pokoju w ilości wystarczającej do golenia i pobieżnego umycia się pod pachami. To na razie wystarczy. Zaniósł czajnik do łazienki i

zabrał się do golenia. Na ścianie wisiało małe popękane lustro, w którym wyglądał jak obraz Picassa, czyli dokładnie tak, jak się czuł. Nie widział swojej twarzy w całości, co było zapewne błogosławieństwem. Ze starannie ogolonym, gładkim podbródkiem poczuł się nieco lepiej, wrócił więc do pokoju i zastanowił się nad swoją sytuacją. Chciał przynieść spod trzydziestki czyste koszule i bieliznę, ale bał się, że Janet wzięła wolny dzień i przyczała się, czekając na niego. Na pewno zauważyła, że był tam wczoraj. Naprawdę nie był w stanie z nią rozmawiać. Pojedzie do Dunnes Stores i kupi sobie trochę tanich majtek i czystą koszulę. Kupi też trochę tanich dziwacznych ubrań, które wykorzysta jako przebranie. Będzie mógł wychodzić na ulicę, nie obawiając się, że ktoś go rozpozna.

Usiadł przy komputerze, który wydawał się jedynym bezpiecznym miejscem, otworzył właściwy plik i zaczął niespiesznie stukać w klawisze, zastanawiając się, czy nie mógłby dosłownie wejść do komputera i umościć sobie w jego wnętrzu przytulnego gniazdka. Zajęty pisaniem nie miał czasu na rozmyślanie o sprawach, które go dręczyły. Pisanie stało się nagle sposobem na zapomnienie o całej reszcie.

Pracował przez ponad trzy godziny. Nie wydrukował swojego tekstu; niech sobie siedzi bezpiecznie w komputerze, znajdzie się znowu w razie potrzeby. Poczul głód, głód obiadowy, postanowił więc pójść do centrum Rathmines i coś zjeść. W Corner Cafe ciągle było pełno ludzi, choć właściwie pora lunchu już dawno minęła. W połowie posiłku składającego się z zupełnie pozbawionej smaku tarty z

fasolką znowu zaczął wąpić w niezawodność poczty elektronicznej, więc kiedy skończył, poszedł do budki telefonicznej i wykręcił numer redakcji.

– Colm! – wykrzyknęła Deirdre, bardziej entuzjastycznie, niż wypadało.

– Deirdre, wysłałem swój tekst pocztą elektroniczną.

– Colm, fantastyczna krzyżówka! To najlepsza krzyżówka, jaką kiedykolwiek widziałam. Świetna. Doskonała. Masz prawdziwy talent do wymyślania krzyżówek.

– Dzięki.

– Eee, Colm... Gdzie jesteś?

– W Rathmines.

– Była tu twoja żona, szukała cię, i ta blondynka, Sally, tak się chyba nazywa? Powiedziałam, że chyba nie pojawisz się w redakcji, bo dostałam twoje rzeczy mailem. Ale... eee... dlaczego wszyscy cię

szukają?

– Deirdre, ja zniknąłem. Zostałem użytkownikiem Internetu. Zalogowałem się, dostroiłem i wsiąknęłam. Przesyłaj pieniądze na moje konto, a ja będę dostarczał teksty mailem. Aha, rachunek z tej włoskiej restauracji prześlę ci normalną pocztą, ze znaczkiem i pieczętą. Muszę kończyć. Cześć.

– Colm, ale powiedz mi, czy coś się stało?

Umiera z ciekawości. Zaraz pęknie.

– Na razie, Deirdre, jakiś wariat wali w szybę, chyba chce skorzystać z telefonu. Cześć.

To lepsze niż wizyty w redakcji. W ten sposób mogę zawsze skończyć rozmowę, kiedy przyjdzie mi na to ochota.

Kończyły mu się pieniądze, więc wziął kilkadziesiąt funtów z bankomatu. Wolał nie zbliżyć się do swojego banku, na

wypadek gdyby ktoś się tam na niego zaczął. Najpierw kupił sobie kilka par tanich majtek. Zapłacił, wszedł do przymierzalni i włożył jedną z nich, stare majtki wrzucając do wielkiej popielniczki w kształcie walca. Stare szare slipki spoczęły na wierzchu góry niedopałków, tworząc interesującą instalację z petów i elastanu.

Gdybym był artystą konceptualnym, uznano by to za dzieło sztuki.

Wychodząc ze sklepu, czuł się trochę nieswojo. Obawiał się, że ochrona może uznać, że nie zapłacił za majtki, które włożył w przymierzalni. Przy drzwiach był niemal pewny, że zaraz poczuje czyjąś silną dłoń na ramieniu. Odetchnął z ulgą dopiero sto metrów za sklepem.

Potem poszedł do Oxfamu i nabył trochę używanych ubrań, zupełnie innych od tego, co zazwyczaj nosił. Kupił sobie

obciste spodnie, koszulkę w czarno-czerwone paski i marynarkę ze sztucznej skóry, a także parę starych kowbojskich butów na obcasach, bo podobno jedną z najbardziej charakterystycznych cech człowieka jest chód. Z dodatków wybrał szeroki skórzany pas i tanie okulary przeciwsłoneczne. Wyglądał zupełnie inaczej. Jego piwny brzuch, dotychczas ukrywany pod workowatymi swetrami, wystawał dumnie jak trofeum, w kowbojskich butach nogi wyglądały na lekko krzywe, a chód nabrał pewnej nonszalancji. Teraz nikt go nie rozpozna. W niczym nie przypominał dawnego siebie. Poza włosami. Przydałaby się radykalna zmiana uczesania. Poszedł do zakładu fryzjerskiego, w którym akurat trwało szkolenie. Powiedzieli, że uczeszą go za darmo, jeśli tylko się zgodzi, by zajęli się nim praktykanci pod nadzorem

fryzjera.

– Nie ma problemu – odparł Colm.

– Czego pan sobie życzy?

– Czegoś zupełnie innego.

Uczniowie zabrali się do pracy. Ufarbowali mu włosy na czarno i zrobili trwałą. Kiedy spojrzął na swoje odbicie w lustrze dwie godziny później, sam ledwo się rozpoznał. Przyszły stylistą fryzur zadał sobie wiele trudu, by zmusić oporny czarny loczek do irytującego opadania na jedno oko. Colm wyglądał jak Phil Lynott w krzywym zwierciadle. Biedny Phil Lynott. Taki młody. Colm poczuł łzy pod powiekami.

Muszę wziąć się w garść.

Zatrzymał się przy stoisku Briana i kupił od niego gazetę. Brian wziął od niego pieniądze i wydał resztę, po czym zajął się następnym klientem. Colm zdjął okulary przeciwsłoneczne.

– Bracie, wyglądasz zupełnie inaczej. Nie poznałem cię! Zrobiłeś coś z włosami? Świetnie. Teraz jestem bezpieczny.

Colm włożył okulary i znowu poczuł się tak, jakby był niewidzialny. Cudowne uczucie.

– Wyglądasz jak jakiś gość z półświatka, alfons czy coś. W każdym razie zupełnie inaczej – odparł Brian.

– Doskonale.

– Powiedz mi, Colm, masz kłopoty z prawem? Nie musisz wchodzić w szczegóły, ale powiedz mi, jeśli jest coś, co powinienem wiedzieć.

– Nie mam kłopotów z prawem. Po prostu muszę zniknąć na jakiś czas. Dla ratowania zdrowia psychicznego.

– Świetnie, bracie, świetnie – powiedział Brian. – Rozumiem. Ratowanie zdrowia psychicznego. O nic nie pytam.

Colm pokręcił się chwilę przy stoisku z gazetami i obsłużył jednego klienta. Czuł się bardzo odważny, stojąc tak otwarcie na ulicy. Brian skorzystał z jego obecności i oddalił się na parę minut, żeby załatwić jakąś sprawę. Sprzedaż gazet. Przyjemny sposób zarabiania na życie. Zwłaszcza przy tak pięknej pogodzie. Brian wrócił, co bardzo ucieszyło jego klientów. Był stałym elementem ulicy. Colm pożegnał go i powędrował dalej, rozkoszując się swoją niewidzialnością. Puby kusiły, jak zwykle w piątkowe popołudnie, ale Colm nie był w formie, a poza tym nie miał towarzystwa wrócił więc pod numer 5, krocząc dumnie Candlewick Avenue, pewny, że nikt go nie rozpozna. Przez chwilę leniwie przeglądał gazetę, potem znowu poczuł głód i poszedł do najbliższego baru po stek i paszteciki, które zabrał do swojego pokoju i zjadł palcami. Nie miał sztucców. Przy braku

wypchanej przez Janet lodówki żywienie okazało się dość skomplikowaną sprawą.

Nie miał nic do roboty, więc jedyne, co mu pozostało, to usiąść przy komputerze i pisać, tworzyć, pracować nad „własnymi rzeczami”.

Dobro i zło

Weekend minął. Colm spędził go głównie w swoim pokoju, W siedział cicho, czytał, pisał i zajmował się zaspokajaniem swoich potrzeb związanych z żywieniem, które zdawały się nie mieć końca. Wiedział, że musi skontaktować się z Janet, ale ciągle nie mógł się na to zdobyć. Wyszedł na spacer w nadziei, że zbierze się na odwagę i zadzwoni do niej z miasta. Skrecił za róg, a tam, na ławce, siedziała Sally. Jeździła po okolicy przez jakiś czas, szukając Colma, potem jednak ogarnęła ją rezygnacja, postanowiła więc usiąść i poczekać, czy gdzieś go nie zobaczy. Jej wielki srebrny samochód, zaparkowany prawie pół metra od krawężnika, hamował ruch uliczny. Siedziała na brzegu ławki, ocierała łzy i

pudrowała nos. Colm zauważył ją, kiedy znalazł się u wylotu ulicy. Przystanął. Nie wiedział, czy powinien minąć ją bez słowa, czy też podejść i porozmawiać. Wydawała się taka zagubiona, taka przygnębiona. Zdradzi się, jeśli do niej podejdzie, z drugiej strony jednak ukrywał się głównie przed Cordelią. Ruszył przed siebie, zrobił jakieś dziesięć kroków i minął ją, potem jednak zmienił zamiar i zawrócił.

Podszedł do Sally, która zupełnie nie zwróciła na niego uwagi. Usiadł obok niej na ławce i bez słowa zapalił papierosa.

– Odwal się, łajzo – powiedziała, nie patrząc na niego. – Mam dość własnych problemów, nie będę się jeszcze użerać z jakimś włóczęgą. – Odsunęła się trochę. – Nie usiadłbyś koło mnie, gdybyś wiedział, kim jestem. Więc idź w swoją stronę i zwracaj głowę komuś innemu. Jezu!

– Sally, to ja, Colm.

– Colm? – Sally podskoczyła i odwróciła się, żeby na niego spojrzeć.

Colm zdjął okulary.

– To naprawdę ty.

Uśmiechnął się do niej szeroko.

– Wyglądasz, sama nie wiem, jak jakiś alfons czy coś w tym rodzaju. Coś ty ze sobą zrobił?

– To przebranie. Nie chcę, żeby ktoś mnie rozpoznał. Chcę się ukryć.

– Wstań, muszę ci się przyjrzeć.

Colm posłusznie wstał.

– Taak, wyglądasz jak jakiś podstarzały playboy. Brakuje tylko złotego łańcucha. Ale w sumie całkiem, całkiem. Seksownie i odrażająco jednocześnie. Dlaczego chcesz zniknąć? Wyglądasz jak Dennis Złoczyńca. To ta koszulka – stwierdziła Sally.

– Była to jedyna koszulka w całym

sklepie.

Wsiedli do samochodu i ruszyli przed siebie bez celu. Colmowi początkowo podobała się ta przejażdżka, potem jednak sposób prowadzenia Sally zaczął go denerwować. Wymijając rowerzystę, omal nie wpakowała się pod nadjeżdżającą z drugiej strony ciężarówkę. Wcisnęła klakson.

– Cholerni kierowcy ciężarówek zachowują się tak, jakby cała droga należała tylko do nich. Siedzą sobie bezpiecznie na górze w swoich kabinach i zmuszają innych, żeby robili im miejsce. Pieprzeni faszyci.

– Zatrzymaj się tu – powiedział Colm, kiedy przejeżdżali koło pubu w Booterstown. Nigdy wcześniej tu nie był, pomyślał więc, że tu będą bezpieczni.

– Od kilku dni usiłowałam się z tobą skontaktować – powiedziała Sally. –

Dzwoniłam do redakcji i rozmawiałam z Deirdre, zadzwoniłam też do Davida. Do domu nie dzwoniłam, ale David powiedział mi, że już cię tam szukał.

David mnie szukał?

– Wyprowadziłem się z domu – powiedział Colm. – Mam wielki problem z Cordelią – urwał, usiłując wymyślić jakiś wstęp do opisu tego problemu, ale nic nie przyszło mu do głowy, postanowił więc skoczyć na głęboką wodę. – Janet powiedziała mi, że rozmawiała z Kate Cooper i...

– Kto to jest Kate Cooper?

– To matka Phoedry. Janet powiedziała mi, że Kate powiedziała jej, że Phoedra powiedziała...

– Kto to jest Phoedra?

– Najlepsza przyjaciółka Cordelii. No więc Cordelia powiedziała Phoedrze, że ciągle się do niej dostawiam, więc

musiałem się wyprowadzić. Wynajmuję kawalerkę.

– Dostawiasz się? W jakim sensie?

– No wiesz, dostawiam się. W sensie seksualnym.

– Rany. To straszne. I takie dziwne. Ty raczej nie należysz do facetów, którzy się „dostawiają”. To raczej nie jest twoja najmocniejsza strona.

– Taaa. Też tak myślę.

– No dobrze, żeby wszystko było jasne, Janet powiedziała ci, że Kate powiedziała, że Phoedra powiedziała, że Cordelia...

– A ja powiedziałem Janet o tobie.

– Boże, naprawdę wpadłeś.

– Więc teraz mieszkam w kawalerce.

Sally siedziała przez chwilę w milczeniu, kołysząc się lekko, a potem zaczęła pociągać nosem.

– Zostawiłeś dla mnie swoją rodzinę. Jesteś taki dobry, a ja zupełnie na to nie

zasługuję.

Nie zostawiłem swojej rodziny dla ciebie. Błagam, nie przywiązuj się do tej myśli.

Colm poszedł do baru. W kowbojskich butach kołysał się z boku na bok jak marynarz. Sally obserwowała go przez chwilę i zaczęła chichotać.

– Nie mogę się przyzwyczać do tej zmiany – powiedziała, kiedy wrócił. – Wyglądasz zupełnie inaczej. Jakbyś był zupełnie innym człowiekiem.

Colm zaczynał czuć się nieswojo w tej pasiastej koszulce. Zdawała się kurczyć w miarę noszenia i teraz odsłaniała już fragment brzucha.

– Czy ten policjant ciągle za tobą jeździ? – spytał.

– Nie. Ale przesłuchali mnie bardzo dokładnie. Pytali o wszystko, gdzie byłam i tak dalej, ale nie znają dokładnego czasu

„zdarzenia”, więc nie mogą mnie przyszpilić z powodu braku alibi. Podejrzewają mnie, tego jestem pewna. Musiałam powiedzieć im o nas, o mnie i o tobie, ale i tak już wiedzieli. Nie traktują mnie już tak delikatnie, bo w ich oczach przestałam być zrozpaczoną wdową. O Anicie też się dowiedzieli, i chyba teraz jeżdżą do Blackrock, żeby ją nękać, więc mam trochę spokoju.

Sally traktowała teraz całą tę sprawę dużo spokojniej. Wszystko miała pod kontrolą, co było dość przerażające. Jej nadrzędnym celem było uniknąć wykrycia. Jedenaste – nie daj się przyłapać. Słuchając jej, Colm zaczynał rozumieć ten punkt widzenia. Miał ochotę przyznać jej rację, ale nie potrafił.

– Myślę, że powinnaś powiedzieć policji.

– I pozwolić, żeby moje dzieci zostały

bez matki? Mowy nie ma. Chyba zupełnie oszalałeś. Naprawdę chciałabym, żebyś przestał w kółko to powtarzać. Nie przyznam się. To byłoby nielogiczne.

– Nieprawda. To byłoby moralnie słuszne.

– Moralnie słuszne? Co chcesz przez to powiedzieć? Przecież nikomu nie przyniosłoby to nic dobrego, więc jak może być moralnie słuszne?

– Tobie przyniosłoby to coś dobrego. Przyznasz się, pójdziesz do więzienia, spłacisz dług wobec społeczeństwa, a potem wyjdiesz na wolność i zaczniesz wszystko od nowa, z czystym sumieniem.

– Nie mam żadnego długu wobec społeczeństwa. Mam dług wobec Jamesa, być może, ale jeśli spojrzeć na to z tej strony, to właściwie jesteśmy kwita. Oko za oko. Po tym wszystkim, co z nim przeszłam, należał mu się jeden fatalny w

skutkach upadek z urwiska.

– Sally!

– To prawda. Tak czy inaczej, kiedy spotkamy się w piekle, na pewno spuści mi niezłe manto. Nie przyznam się. Koniec dyskusji. Jesteś strasznie staroświecki, Colm. Teraz moralność to pragmatyzm, a nie abstrakcyjne zasady.

– A dobro i zło?

– Nie wolno mi zostawić dzieci. Jedno z rodziców już straciły, nie dopuszczę, żeby straciły i mnie. W głębi duszy jestem pewna, że to jedynie słuszne.

Colmowi zabrakło argumentów. Sally była bardzo przekonująca. A jemu bardzo smakowało piwo. W trzeciej szklance zasady moralne zaczęły się nieuchronnie rozplýwać.

– Jak wygląda twoje mieszkanie? – spytała Sally.

– To właściwie nie jest mieszkanie.

Raczej kawalerka. Jeden pokój w domu pod numerem 5 na Candlewick Avenue. Odpowiednik gabinetu w moim domu – powiedział Colm i zaraz się poprawił – W moim dawnym domu.

– Więc mieszkasz przy tej samej ulicy?

– Stąd to przebranie.

– Miałeś dużo szczęścia, że udało ci się znaleźć mieszkanie. Teraz ludzie często nie mogą wyprowadzić się z domu, bo nie mają dokąd. Znam kilka osób, które tkwią w nieudanych małżeństwach i nie mogą odejść, po prostu nie stać ich na mieszkanie. Kryzys na rynku nieruchomości ma większy wpływ na trwałość związków małżeńskich niż wszyscy arcybiskupi razem wzięci.

Po kilku drinkach Sally wróciła do domu, do dzieci, ale koło dziesiątej spotkali się znowu w małym pubie w Rathmines. Zostawiła swój rzucający się w

oczy samochód na parkingu pod supermarketem i poszła z Colmem do jego kawalerki.

– Nigdy wcześniej nie byłam w kawalerce. Chociaż kiedy pracowałam jako pielęgniarka, mieszkałam w wynajętym pokoju – powiedziała, wchodząc do domu pod numerem 5. – Zawsze wydawało mi się to takie romantyczne.

Colm otworzył drzwi do swojej klitki.

– Eee, ślicznie tu – powiedziała Sally. – Zdumiewające, ile rzeczy udało ci się tu pomieścić. – Usiadła na łóżku, a Colm wyjął dwie puszki piwa ze swojej maleńkiej lodówki, otworzył je i podał jej jedną. Trzymała ją niepewnie, nieprzyzwyczajona do picia z czegokolwiek innego poza szklankami i kieliszkami.

– Żeby było coraz lepiej – powiedziała i

stuknęła swoją puszką w puszkę Colma.

– Taaa – mruknął.

Kilka godzin później, po długiej rozmowie, Colm z mieszanymi uczuciami wziął Sally do swojego pagórkowatego łóżka, gdzie w trakcie manewrów na wzgórzach i w dolinach udało im się zapomnieć o kłopotach. W końcu zapadli w sen.

Tuż przed zaśnięciem Colm zauważył jeszcze, że Brian uchylił lekko drzwi i zajrzał do środka a na widok Sally uśmiechnął się z zadowoleniem i wyszedł.

Kiedy Colm się obudził, Sally już się ubierała.

– Spóźnię się, cholera, na pewno się spóźnię – klęła, wciągając rajstopy i spódnicę. Szybko przeczesła włosy. – Muszę być w domu, zanim dzieci wstaną. Wstają o wpół do siódmej. Ranne ptaszki. – Wygładziła ubranie i uśmiechnęła się do

Colma. – Wszystko doskonale się układa. Ja jestem wdową, a ty jesteś oficjalnie w separacji, bardzo dobrze. Przynajmniej w tym nie ma nic niemoralnego. A gdyby nawet, i tak nie mogłoby nas to powstrzymać, ale dobrze wiedzieć, że chociaż tym nie musimy się przejmować.

Colm powoli dochodził do siebie, ziewając i pocierając powieki.

– Ci cholerni policjanci znowu przyjdą dziś rano. A przy okazji, skontaktowali się z tobą? Mówili, że do ciebie zadzwonią.

– Nie znaleźliby mnie. Zniknąłem.

– To pewnie wyda im się podejrzane.

Sally wybiegła spieszenie z pokoju, zostawiając zdezorientowanego Colma samego. Nie aprobował tego, co robiła Sally, ale nie umiał się od niej uwolnić. Czuł, że coś go z nią wiąże. Coś, czego nie potrafił wytłumaczyć. Wydawało się, że miała prawo wejść w jego życie i stawiać

żądania.

Ciasteczka owsiane

Colm obudził się, czując nieprzyjemny zapach, ale dopiero kiedy wstał z łóżka, uświadomił sobie, że sam go wydziela. Słońce stało wysoko na niebie, było już dobrze po dwunastej. Zszedł na dół do łazienki uzbrojony w kilka monet pięćdziesięciopensowych, które wsunął w odpowiedni otwór. Napełnił wannę, wskoczył do niej i położył się. Gorąca woda opływała mu plecy, częściowo likwidując napięcie. Nigdy dotąd kąpiel nie sprawiła mu takiej przyjemności. Zamknął oczy, odprężył się i po raz pierwszy od bardzo długiego czasu czuł się spokojny. Wiedział, że dzisiaj będzie musiał skontaktować się z Janet, zanim zdąży oficjalnie zgłosić jego zaginięcie. Miała kilka dni na rozmowy z Cordelią,

więc może coś się wyjaśni w tej kwestii. Colm wyszorował sobie porządnie plecy i poczuł się znacznie lepiej. Odnowiony. Odświeżony. Oczyszczony. Nie zagrzał wody do golenia, więc ogolił się w wannie, czego nie robił od bardzo dawna. Janet zabraniała mu golenia się w wannie, bo pozostałe po tym włoski mogły zapchać stare rury odpływowe. Estetyka architektury wiktoriańskiej łączyła się z wiktoriańskimi problemami hydraulicznymi. Colm był posłuszny. Niemal wszystko robił pod dyktando Janet. Teraz, kiedy od niej uciekł, czuł się szczęśliwy, ale dziwnie bezradny. Żył dotąd zgodnie z nakazami instytucji. Instytucja małżeństwa z Janet odebrała mu zdolność samodzielnego funkcjonowania.

Poszedł do sklepu kupić kilka rzeczy, owsiane ciasteczka na trawienie, jabłka i ser, stanowiące podstawę przekąsek, które

pojadał między posiłkami. Wybrał pobliski sklep, gdzie zazwyczaj kupował gazety i papierosy. Ale w głębi sklepu, dokąd nigdy się nie zapuszczał, były też inne rzeczy. Przystanął przed półkami z ciastkami owsianymi na trawienie. Bez tłuszczu, z niską zawartością soli, z czekoladą, z orzechami, drogie i tanie, każdy rodzaj w kilku wersjach od różnych producentów. Skonsternowany, usiłował ogarnąć tę oszałamiającą różnorodność, kiedy pod sklep podjechała Janet z maluchami i Cordelią. Cała czwórka wysiadła z samochodu i weszła do sklepu. Colm zmartwiało. W pierwszej chwili zapomniał o swoim przebraniu i oczekiwał, że do niego podejda. Ale oni minęli go obojętnie, stojącego z otwartymi ustami przy owsianych ciasteczkach.

Nie poznali mnie. To działa!

Podszedł szybko do stojaka z gazetami,

chwycił jakiś magazyn i schował się za nim. Janet wybierała owoce i soki. Była ubrana czysto i schludnie, jak przystało na nauczycielkę. Nic w jej wyglądzie nie zdradzało rodzinnego kryzysu. Jej głos brzmiał jak zwykle dźwięcznie i nieco rozkazująco, kiedy wymieniała ze sprzedawczynią zdawkowe uwagi na temat pogody. Jej ruchy były pewne i stanowcze.

Chyba nie spodziewałaś się, że będzie się snuła po mieście w podartych pończochach i z butelką ginu w ręce, co?

Kiedy Janet wdała się w pogawędkę ze sprzedawczynią, John i June natychmiast skorzystali z okazji, żeby coś zbroić. June z pomocą Johna wspięła się na chłodziarkę, chcąc wydobyć swoje ulubione lody. Musiała się mocno przechylić, żeby sięgnąć do środka, więc w końcu straciła równowagę i wpadła głową naprzód do wielkiego białego pudła.

Wierzgała w powietrzu nogami, jak schwytyany owad, a z głębi zamrażarki dobywały się jej stłumione krzyki. Colm już miał rzucić się na ratunek, ale John ubiegł go, szybko wyciągając siostrę za nogi. Colm znowu wsadził nos w gazetę, ale kątem oka ciągle obserwował dzieci. June wyłoniła się z zamrażarki, ściskając dwa pięknie opakowane lody na patyku.

– Te są za drogie – powiedziała Janet. – Mówiłam, że możecie wziąć sobie supersplity, a nie magnum.

– Prawie się zabiłam, żeby je wyjąć – odparła June. Wypadek z zamrażarką napędził jej strachu. Była bliska łez. Janet zauważyła to i poddała się.

Cordelia wzięła sobie kilka zeszytów. Janet związała je razem i zapakowała wraz z resztą zakupów do samochodu. Colm przyjrzał jej się dokładniej i zauważył, że była trochę bledsza niż zwykle, ale poza

tym wyglądała normalnie. Patrzył, jak odjeżdżają, i czuł się tak, jakby patrzył na zdjęcie, którego kiedyś był częścią. Został usunięty. Jego punkt widzenia zmienił się całkowicie.

Jedna ze sprzedawczyń stanęła tuż za nim. Drgnął.

– Nie wolno czytać gazet – powiedziała opryskliwie przez nos.

– Nie czytam – odparł. – Przeglądam.

– To nie czytelnia.

Kobieta wyjęła mu gazetę z rąk, odłożyła ją na miejsce i zaczęła porządkować resztę czasopism. W pierwszej chwili Colm poczuł się dotknięty. Nie musiała zachowywać się tak niegrzecznie. Zazwyczaj wszyscy w tym sklepie byli dla niego mili. Potem uświadomił sobie, że nie rozpoznali w nim stałego klienta. Teraz był dla nich tylko jeszcze jednym podejrzanym wyglądającym

obcym, hybrydą Dennisa Złoczyńcy i Phila Lynotta. Postanowił, że nie zrobi tu zakupów i znajdzie większy sklep. Sklep, gdzie naprawdę będzie obcy, i gdzie obsłużą go obcy. Sklep, gdzie wszyscy bez wyjątku traktowani są wrogo. Sklep, gdzie będzie jeszcze więcej rodzajów owsianych ciasteczek.

Wszedł do obcego banku i wyjął trochę gotówki z bankomatu. Jego fundusze kurczyły się w zastraszającym tempie. Musi zadzwonić do Deirdre. Tego ranka dostała zapewne jego rachunek z włoskiej restauracji.

Potrzebuję forsy. To, co wydałem w tej knajpie, wystarczy mi pewnie na dwa tygodnie jedzenia w miejscowym barze.

– Colm! – Trudny do odczytania ton. Entuzjastyczny, ale czujny.

– Deirdre?

– Gdzie jesteś, Colm?

– W budce telefonicznej gdzieś na południu miasta. Dzwonię, żeby zapytać, czy nie mogłabyś mi przesłać pieniędzy za kolację w tej restauracji, bo jestem spłukany.

– Co się stało, Colm? Policja cię szuka. Twoja żona najwyraźniej zgłosiła, że zaginałeś, ale skoro kontaktujesz się ze mną, to tak naprawdę nie zaginałeś. Wszystko w porządku?

– W jak najlepszym, Deirdre, w jak najlepszym.

– To nie ma nic wspólnego ze skróceniem *Mary Jane*?

– Absolutnie nic. Zniknąłem, żeby ratować zdrowie psychiczne.

– Co mam powiedzieć policji?

– Prawdę. Kontaktowałem się z tobą, ale nie wiesz, gdzie jestem.

– Colm, mogę coś dla ciebie zrobić? Chciałabym ci jakoś pomóc.

– Po prostu prześlij mi pieniądze za tekst o restauracji. I zaliczkę za następny.

– Oczywiście. Zaraz pójde do księgowości. Mają numer twojego konta?

– Tak. Super. Dzięki, muszę kończyć. Na razie.

Dziwnie uprzejma. Ludzie uwielbiają współczuć innym.

Czują się wtedy tacy szlachetni.

– Aha, Colm, jeszcze jedno. Dan, portier, nie żyje.

– Och, to straszne. Kiedy zmarł?

– W ubiegłą środę. W piątek był pogrzeb. Pomyślałam, że chciałbyś to wiedzieć.

– Biedny stary – powiedział Colm.

A więc Dan w końcu przeszedł na emeryturę.

Colm wrócił do Swan Centre, gdzie kupił sobie kawę i wieczorną gazetę. Kilku znajomych przeszło obok, nie poznając go.

Para z rodzicielskiego gangu. Spec od PR. Co za ulga. Gdyby już zawsze mogło tak być. Gdyby mógł pozostać tym nowym człowiekiem na zawsze. Mógłby istnieć tylko jako głos w słuchawce telefonicznej. Zaczął się czuć bezpiecznie. I dojrzałe. Postanowił, że wypije ze dwa piwka, a potem zadzwoni do Janet i zobaczy, co w trawie piszczy. No, niezupełnie zobaczy, nie da się tego zrobić przez telefon. Raczej posłucha.

Wszedł do dużego pubu, w którym rzadko bywał, zamówił piwo i usiadł w kącie, na krześle z oparciem. Samotna kobieta w krótkiej spódnicy uśmiechnęła się do niego przyjaźnie, zachęcająco. Odruchowo wciągnął brzuch.

Coś takiego! Ktoś spojrzał na mnie z zainteresowaniem. Coś musi być z tą babką nie w porządku.

Odpowiedział jej pustym wzrokiem.

Kobieta była całkiem przystojna. Koło czterdziestki, w eleganckiej czerwonej sukience i drogim szaliku.

Coś musi być z nią nie w porządku, jeśli siedzi sama w pubie o tej porze.

– Mogę się przysiąc? – zapytała.

Tak samo jak ze mną jest coś nie w porządku.

– Prawdę mówiąc, chcę być sam, muszę pomyśleć – odparł.

– Trudno – powiedziała kobieta i przestała zwracać na niego uwagę.

Normalnie nigdy mu się to nie zdarzało. Nigdy nie zaczepiały go obce kobiety. To na pewno ten nowy strój, pewnie sprawiam wrażenie kogoś, kto szuka przygód. A może czuć od niego nieudane małżeństwo. Może ludzie, które mają nieudane małżeństwo, wydzielają jakieś substancje chemiczne, wyczuwalne dla osobników płci przeciwnej. Jak zwierzęta. Szybko

dokończył swoje piwo i wyszedł. Czerwona sukienka też sprawiała wrażenie kogoś, komu nie wyszło w małżeństwie. Ogarnęło go poczucie winy. Chyba potraktował ją niegrzecznie. Rozmowa nic nie znaczy, a może bardzo pomóc. Małe ple-ple. A jeśli czerwona sukienka poszła teraz do domu, żeby podciąć sobie żyły? Jak by się wtedy czuł?

Przestań fantazjować, ty idioto.

Po dwóch piwach poczuł nagły przypływ odwagi. Wszedł do budki telefonicznej w cichej bocznej uliczce i wykręcił numer swojego domu. Swojego dawnego domu. Było późne popołudnie, Janet odpoczywa pewnie przy poobiedniej kawie. W domu był to czas na oddech. Maluchy mogły oglądać telewizję, jeśli odrobiły pracę domową przed obiadem, a Cordelia na ogół zajmowała się własnymi sprawami.

Czekał i czekał, modląc się w duchu, by telefon odebrała Janet, a nie Cordelia albo któreś z maluchów. W końcu w telefonie rozległ się jasny głos Cordelii. Colm chciał się odezwać, chciał poprosić do telefonu Janet, ale odwaga go opuściła i odłożył słuchawkę.

Oświadczyły

Colm wiercił się nerwowo w kącie kafejki, w której się umówili. Janet spóźniała się już piętnaście minut. Bardzo to do niej niepodobne. Zadzwoił do domu jeszcze kilkakrotnie, ale za każdym razem telefon odbierała Cordelia. Przywilej nastolatków. Uznał, że nie jest w stanie stawić czoła Cordelii i w końcu zadzwonił do Janet do szkoły, gdzie połączyli go z nią bez problemu. Postanowili spotkać się na mieście. Janet była akurat w pokoju nauczycielskim i nie mogła swobodnie rozmawiać. Jej głos był nieprzenikniony, jak zwykle, Colm nie miał więc pojęcia, czego się spodziewać. Siedział i czekał, pijąc kawę i paląc papierosy. Jego nerwowość rosła z każdą chwilą. W końcu, dwadzieścia pięć minut po ustalonej

godzinie, Janet stanęła w drzwiach, zarumieniona z pośpiechu. Pomachał do niej, ale nie zwróciła na niego uwagi.

Przebranie. Oczywiście. Ciągłe zapominam, że stałem się niewidzialny.

Pomachał do niej jeszcze raz i gestem zaprosił ją do stolika. Obejrzała się za siebie, pewna, że dziwak z głową całą w czarnych loczkach macha do kogoś innego. W końcu wstał, podszedł i położył jej dłoń na ramieniu.

– Janet.

Odwróciła się i wlepiała w niego wzrok. Podniósł okulary przeciwsłoneczne. Poznała go po oczach. Charakterystycznych ciemnych oczach, które patrzyły na nią także z twarzy Johna i June.

– Na litość boską, coś ty ze sobą zrobił?

– Zmieniłem wizerunek.

– To widać.

– To przebranie. Ukrywam się.
– Przed policją?
– Nie, przed Cordelią i przed tobą.
– Policja cię szukała. Zgłosiłam, że zaginałeś. Martwiłam się o ciebie, więc pytali tu i tam, ale podobno kontaktowałeś się z redakcją więc oficjalnie nie uznali cię za zaginionego. Powiedzieli, że każdy może wyprowadzić się z domu, to nie jest prawnie zabronione. Powiedzieli, że mężowie codziennie uciekają od swoich żon. To był O’Grady, ten sam facet, który zajmował się sprawą Cordelii. Przyglądał mi się bardzo podejrzliwie. Najwyraźniej uznał, że jestem odpowiedzialna za fakt, że mój dom ma współczynnik ucieczek wyższy niż średnia krajowa.

Teraz przechodzimy do rzeczy.

– A dziś rano, bardzo wczesnie, zadzwonił do mnie detektyw Smith, który powiedział, że chcą z tobą porozmawiać o

śmierci Jamesa Cartera. Omal nie padłam trupem. Chyba nie masz z tym nic wspólnego?

– Uważasz, jak widzę, że jestem zdolny do wszystkiego. Do molestowania dzieci... morderstwa.

Wrócili do stolika i usiedli. Colm zamówił dwie kawy, jedną z podwójną ilością mleka, dla Janet. Zadrżał, kiedy uświadomił sobie, jak przerażająco intymne było to zamówienie.

– Dlaczego zniknąłeś? Dlaczego postanowiłeś chodzić w, przebraniu?

– Ukrywam się, głównie przed Cordelią.

– Colm, dobrze się czujesz? Jesteś taki nerwowy. Dziwnie się zachowujesz. Dlaczego ukrywasz się przed Cordelią? Dlaczego nie chciałeś widywać się z dziećmi? Dlaczego nie powiedziałeś mi, gdzie jesteś? Omal nie zwariowałam z niepokoju.

Dlaczego ona mówi o tym wszystkim tak, jakbym to ja był temu winny? Jakbym to ja był za to odpowiedzialny?

– A co z Cordelią? Co to za historia?

– Och, kompletna bzdura. Powiedziała, że zmyśliła to wszystko. Teraz jest jej bardzo przykro z tego powodu.

Cordelii jest przykro.

– Była na mnie wściekła, że w to uwierzyłam. Aleja w to właściwie nie wierzyłam. Żałuję, że w ogóle o tym wspomniałam. Tak mi przykro.

„Przykro” to chyba w tej sytuacji trochę za mało.

– To wszystko przeze mnie.

Janet. Tak wspaniałomyślna, że chętnie weźmie na siebie winę za całe zło świata. Jakie to wkurzające.

– Janet, nie możesz tak po prostu jej tego odpuścić. Należy jej się porządna reprimenda.

– O Boże, Colm, nie mam już do niej siły. Nie chcę, żeby znowu zaczęła świrować. Nie radzę już sobie z tym wszystkim. Maluchy zaczynają coś podejrzewać. Powiedziałam im, że wyjechałeś na wieś, do klasztoru, żeby napisać powieść, i że wrócisz za dwa tygodnie. Przez jakiś czas w to wierzyli, ale June brakuje kontaktu z tobą i zaczyna źle się zachowywać. Powiedziałam jej, że to zamknięty klasztor i że nie ma tam telefonu. Ale ona mówi, że widziała w telewizji mnicha z komórką.

Na myśl o maluchach Colm poczuł bolesne ukłucie w sercu. Ale był zadowolony, że Janet wymyśliła tak przekonującą historyjkę.

– Gdzie mieszkasz? Myślałam, że zatrzymałeś się u Davida, ale on mówi, że się z nim pokłóciłeś i nie widział cię od wieków.

- Mieszkam pod piątką.
- Pod piątką?
- Na Candlewick Avenue.
- Chcesz powiedzieć, że cały czas mieszkałeś przy naszej ulicy?
- Dlatego chodzę w przebraniu.

Janet była wyraźnie skonsternowana faktem, że cały czas był tuż pod jej nosem.

– To ten dom, przed którym zawsze jest tyle śmieci, że wysypują się z pojemników?

– Tak.

– Och, Colm. To musi być okropne.

– Prawdę mówiąc, nawet mi się tam podoba.

Janet milczała przez chwilę. Walczyła ze sobą, usiłując powiedzieć coś miłego, co można by uznać za próbę pojednania i zaproszenie do domu.

– Masz zamiar do nas wrócić?

Colm potrząsnął głową. Nie wiedział

jeszcze, co zrobi. Potrzebował czasu do namysłu.

– Mieszkam w gabinecie.

– W jakim gabinecie?

– W pokoju, w którym u nas jest mój gabinet.

W moim dawnym domu.

– Naprawdę? Colm, ten pokój jest bardzo mały. Jak sobie radzisz? Gdzie gotujesz?

– Mam tam dwupalnikową kuchenkę elektryczną. Podgrzewam sobie steki na patelni.

Jedzenie. Ulubiony temat Janet. Może przeżuwać go godzinami.

– W końcu się czymś zatrujesz. Źle wyglądasz, masz ziemistą cerę i mętne białka. Zrujnujesz sobie zdrowie. Wracaj do domu.

Lepiej pogadajmy o jedzeniu.

– Widujesz się z nią? – spytała Janet,

oglądając paznokcie.

– Sally? Widziałem się z nią raz.

– Czy ona zabiła swojego męża?

– Nie. – Nawet powieka mu nie drgnęła przy tym kłamstwie. Dobrze, że może poćwiczyć, policja na pewno będzie go pytać o to samo, a wtedy odpowie szybko i przekonująco.

– Nie mogę uwierzyć, że masz romans – powiedziała Janet.

Morderstwo – tak, molestowanie dzieci – w porządku, ale nie zdrada małżeńska. Ha!

. – Wiele myślałam od czasu, kiedy zniknąłeś, i uważam, że to wszystko moja wina.

Męczeństwo świętej Janet.

– Nie powinnam była stawiać sprawy tak ostro, wiesz, chodzi o nasze życie seksualne. Ale wbiłam to sobie do głowy i uznałam, że to nadrzędna zasada.

Uznałam, że byłoby nie fair, gdybym ja miała ponosić ryzyko, skoro nie chciałeś się zgodzić na wazektomię.

Z trudem dobierała słowa, więc jej głos nie brzmiał tak stanowczo jak zwykle. Nigdy dotąd nie rozmawiała z nim o tych rzeczach tak otwarcie. Szum głosów i brzęk filiżanek wokół nich umilkł na chwilę. Colm miał wrażenie, że wszyscy w kafejce usłyszeli słowo „wazektomia”.

– Ale teraz zdaję sobie sprawę, że są ważniejsze rzeczy niż zasady. Oczywiście powinnam była zrozumieć to wcześniej. Ale kiedy wbiję sobie coś do głowy, trzymam się tego z tępym uporem. Trudno znaleźć czas, żeby pomyśleć, w domu ciągle jest coś do zrobienia, dzieci, praca i tak dalej. Wzięłam trochę wolnego, zastanowiłam się nad wieloma rzeczami i myślę, że byłam dla ciebie okropna. Chciałabym, żebyś wrócił do domu.

Spróbuję się poprawić.

Mówi wycieraczka.

– Janet, pamiętasz, jak ci się oświadczyłem? Próbowałem sobie ostatnio przypomnieć, jak to było, ale nie potrafię.

– Oczywiście! Zapomniałeś? To nie było znowu tak dawno!

– Z jakiejś przyczyny zniknęło z mojej pamięci.

– To było takie dramatyczne. Nie mogę uwierzyć, że nie pamiętasz.

– Staralem się, naprawdę, ale nie mogę sobie przypomnieć.

Janet upiła łyk kawy i uśmiechnęła się ze smutkiem.

– Ja pamiętam wszystko tak wyraźnie, jakby to było wczoraj. Przyszedłeś do mojego mieszkania w Booterstown wczesnym rankiem. Była sobota. Miałam wolny dzień, nie musiałam się spieszyć. Otworzyłam drzwi, zastanawiając się, kto

mógł do mnie przyjść tak wcześnie. Nie pamiętam, czy widzieliśmy się poprzedniego wieczoru. Nie jestem pewna. W każdym razie nie spodziewałam się ciebie. Rzadko pojawiałeś się przed południem. Ale to byłeś ty, stałeś w słońcu z wielkim bukietem żółtych róż. Największym, jaki kiedykolwiek widziałam. Tych róż było chyba z sześćdziesiąt. Wpuściłam cię, a jak tylko zamknęłam drzwi, ty ukląkłeś przede mną na oba kolana i poprosiłeś mnie o rękę. Byłam naprawdę zaskoczona. Nie pamiętasz? Nie spodziewałam się tego. Nie wydawałeś się gotowy ani nawet zainteresowany małżeństwem. Nie wahałam się ani chwili, bo wiedziałam, że jesteś tym właściwym. Po prostu wiedziałam. Nie spodziewałam się tego, ale muszę przyznać, że często fantazjowałam na ten temat. Wyobrażałam

to sobie. W głębi duszy tego właśnie chciałam. Tak świetnie układało ci się z Cordelią, byłam pewna, że stworzymy wspaniałą rodzinę, i tak się stało.

Żółte róże wydobyły w końcu wspomnienie z mroków niepamięci. Teraz Colm przypomniał sobie wszystkie szczegóły tej chwili. Pamiętał, jak oślepiło go wschodzące słońce. Pamiętał, jak ugiął się pod ciężarem gigantycznego bukietu żółtych róż, których kolce od czasu do czasu wbijały mu się w dłonie. Pamiętał, jak upadł na kolana i prosił Janet, żeby za niego wyszła. Czuł, że nie jest jej wart i tak bardzo potrzebował jej miłości. Pamiętał ulgę, jaka go ogarnęła, kiedy Janet powiedziała: „tak”. Czuł, że został ocalony. Pamiętał też, co robił poprzedniego wieczoru.

Poprzedniego wieczoru poszedł na przyjęcie, wydane z okazji przeniesienia

biur gazety, dla której pracował, do nowego budynku. Wziął ze sobą Davida, Janet nie mogła z nim iść, bo nie udało jej się załatwić na ten wieczór opiekunki do dziecka. Impreza była udana, suto zaprawiona alkoholem, i Colm narąbał się na sztywno. Później poszedł z Davidem do jego mieszkania, w towarzystwie dwóch dziewczyn. Małżeństwo Davida właśnie się rozpadło, i David podrywał kogo się dało. W czwórkę gadali i pili wyjętego z lodówki szampana. Obie dziewczyny były zainteresowane Davidem i grały o niego, a ilość alkoholu, jaką zdążyły w siebie wlać, pozbawiła te zawody resztek subtelności. Suki i Sam. Tak się nazywały. Przyjaciółki. W pewnej chwili okazało się, że Suki wygrała i zaciągnęła Davida do sypialni, zostawiając Sam z Colmem. Obie dziewczyny pracowały w małym barze, który mieścił się w pobliżu dawnej

siedziby redakcji. Colm kupował tam często kanapki i nigdy nie zwracał na tę dziewczynę uwagi. Zaczęła mu opowiadać o swoim szefie, który kazał im zmniejszyć ilość pikli wkładanych do pewnego rodzaju kanapek, powtarzając się bez końca i rozwodząc bardziej, niż wymagał tego temat. Okropny szef zastąpił pikle wysokiej jakości tańszym gatunkiem, a ona po prostu nie mogła przejść do porządku dziennego nad takim lekceważeniem kwestii jakości. Wygłosiła długą tyradę na temat pikli. „Wiesz, może jestem tylko dziewczyną od robienia kanapek, ale zależy mi na jakości”. Zaczęli się całować, leniwie i bez przekonania. W końcu Colm zaprowadził ją do drugiego pokoju, gdzie mimo upojenia alkoholem i apatii zdobyli się na coś w rodzaju seksu, po czym oboje zasnęli.

A Colm ani razu nie pomyślał o Janet.

Ani razu nie pomyślał o jej słodkiej otwartej twarzy, ani o tym, jaka jest dobra i kochająca. Ani razu nie pomyślał o tym, że ją zdradza. I że zdradzają bez sensu.

Następnego ranka obudził się bardzo wcześnie z potwornym kacem. Sam leżała obok, pogrążona w głębokim śnie, a w pokoju panował straszny smród. Po dłuższej chwili zorientował się w końcu, że to smród wymiocin. Jedno z nich musiało zwymiotować i lepka cuchnąca ciecz pokrywała ich ciała i całe łóżko. Colm czuł się tak źle! Czuł się okropnie, że zdradził Janet. I czuł taki niesmak na myśl o tym, że spał z dziewczyną, która nawet mu się specjalnie nie podobała, w kałuży wymiocin. Była to najgorsza rzecz, jakiej się kiedykolwiek dopuścił. Wyszedł z mieszkania Davida, pojechał taksówką do siebie, wziął gorący prysznic i zaczął myśleć. I wtedy przyszedł mu do głowy

ten pomysł. Musi ożenić się z Janet. Nie ma wyboru. Musi stać się lepszym człowiekiem, a Janet zrobi z niego lepszego człowieka.

Pojechał do kwiaciarni w Blackrock, usiadł na progu i czekał do ósmej trzydzieści, kiedy otwierano sklep. Kupił ogromny bukiet żółtych róż, a potem pojechał do niej i rzucił do jej stóp całe swoje odrażające jestestwo, ona przyjęła go, a on płakał, nie z radości, ale z wdzięczności.

A potem wyparł to wszystko z pamięci. Bo za bardzo się wstydził.

Teraz, w zacisznej kafejce, wśród poplamionych stolików i przepelnionych popielniczek, zrozumiał swój błąd. Janet naprawdę była dla niego za dobra. Ożenił się z nią pod wpływem moralnej ambicji. Pragnął moralnego awansu pionowego. I poniósł klęskę. Potrzebował większej

dwuznaczności w swoim życiu. Więcej przestrzeni. Próbował dopasować się do schematu, w jakim żyła Janet, ale nie udało mu się. Bo to nie było życie dla niego. To nie było życie dla takich jak on.

– Dzieciom będzie cię bardzo brakowało, jeśli nie wrócisz. – Janet patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami spod anielskich brązowych brwi i rozwichrzonych włosów. – Złamiesz im serce, jeśli zostaniesz na zawsze w tym klasztorze.

Wyznanie

Colm posprzątał pokój, umył okna, wypolerował meble, odkurzył książki i naostrzył ołówki. Zaczął odczuwać pewnego rodzaju dumę. Nigdy dotąd nie wykonywał żadnych prac domowych, bo stary dom wydawał się zbyt wielki, ale rozmiary tego pokoiku odpowiadały jego możliwościom porządkowym. Działaniom, które podjął, przyświecał nadrzędny cel posiadania czystego pokoju, ale chciał też w ten sposób zająć czymś myśli, ponieważ oczekiwał wizyty Cordelii, co napawało go panicznym strachem.

Rozległ się dzwonek i Colm zszedł na dół otworzyć frontowe drzwi. Cordelia stała na progu z twarzą jak zwykle nieprzeniknioną. Żadnych wyrzutów sumienia. Trochę zła. Jasne włosy

splecione w dwa schludne, wyzywające warkocze. Gestem zaprosił ją do środka i zaprowadził do swojego pokoju. Wielkie, spostrzegawcze oczy Cordelii przesuwwały się po wnętrzu, rejestrując każdy szczegół, stary wystrzępiony dywan, poplamione tapety. Woda właśnie się zagotowała, Colm miał też świeże mleko i owsiane ciasteczka z orzechami.

– Kawy? – zapytał.

Cordelia kiwnęła głową i wymamrotała ledwie słyszalne słowa podziękowania.

– Siadaj, siadaj – powiedział, wskazując świeżo odkurzone krzesło w kącie. Cordelia usiadła i spojrzała na niego z wyrazem lekkiego zdumienia na twarzy. Zaskoczyły ją jego obcisłe dżinsy i trwała undulacja.

– Zmieniłem trochę wizerunek – mruknął Colm, krzątając się przy kawie. Tak precyzyjnie odmierzył łyżeczką ilość

rozpuszczalnego proszku, jakby przeprowadzał jakiś eksperyment chemiczny.

Był strasznie skrępowany. Gwałtownie drżały mu ręce. I czuł te cholerne łzy, które teraz zawsze groziły wylaniem jak burza we chmury. Napiął mięśnie twarzy, żeby powstrzymać płacz, żeby nad sobą zapanować. Dodał mleka do kawy dla Cordelii, położył dwa ciasteczka na spodeczku i podszedł z tym do dziewczyny jak z gałązką oliwną. Cordelia wzięła talerzyk i wtedy zobaczył, że jej także trzęsą się ręce. Colm postanowił wziąć się w garść.

To musi być dla niej trudne. To jeszcze dziecko. Ja jestem dorosły i powinienem radzić sobie w takich sytuacjach. Radzić sobie z życiem. Przejmij inicjatywę, ty durniu!

Chciał coś powiedzieć, ale nic nie

przyszło mu do głowy, więc wrócił do czajnika i starannie przygotował sobie świeżą kawę, wylewając resztki poprzedniej do wiadra, które stało w kącie, brudne i pełne torebek po herbacie.

– No więc, Cordelio...

– Colm, ja...

Oboje odezwali się w tej samej chwili, po czym nastąpiła seria: „Ty pierwszy”, „Nie, najpierw ty”. Colm usiadł. Cordelia wstała, obróciła się wokół własnej osi, usiadła znowu i wybuchnęła płaczem. Jej ramiona drgały konwulsyjnie. Zawodziła żałościwie, z czystej, namiętnej, nastoletniej rozpacz. Colm przyglądał jej się zdumiony. Zazwyczaj skala jej emocji zaczynała się na irytacji, a kończyła na złości. Nigdy dotąd nie dała takiego popisu swoich możliwości.

– Jestem taka nieszczęśliwa – wykrztusiła, łkając.

Colm podał jej chusteczki higieniczne.

– Napij się kawy, kochanie – powiedział. – Uspokoisz się trochę.

W końcu, po chwili, która zdawała się trwać bardzo długo, Cordelia przestała płakać, tylko od czasu do czasu pociągała nosem.

– Tak mi przykro, Colm, tak bardzo mi przykro. Okropnie się czułam po twojej wypowiedzi. Nie chciałam, żeby tak się to skończyło. To takie okropne. Popełniłam straszny błąd i tak strasznie się wstydę.

– Co się właściwie stało?

– To straszne, okropne.

– Powiedz mi.

– Tak mi przykro.

– Powiedz mi. Poczujesz się lepiej. To tak jak z zatruciem. Kiedy się czymś zatrujesz, musisz zwymiotować, wtedy od razu czujesz się lepiej.

Cordelię zaskoczyło to dziwne porównanie. Rozmyślała przez chwilę, upiła łyk kawy, wzięła głęboki oddech i zaczęła:

– Chyba to spotkanie z ojcem tak mnie rozbiło. Andrew. „Drew. Tak mnie wołają w Ameryce”. Cóż, to było jedno wielkie rozczarowanie. Taki słaby człowiek. Zawsze sądziłam, że to będzie ktoś ciekawszy. Wiedziałam, że mieszka w Kalifornii, więc myślałam, że jest wysoki, ma jasne włosy i dom z basenem. Ale okazało się, że jest okropny, takie kompletne nic. Byłam wściekła na mamę, że zadawała się z kimś takim. Potem uzmysłowiłam sobie, że jestem jego córką. Żałowałam, że w ogóle przysłam na świat. Ale nie tak po szczeniacku, jak niektóre moje koleżanki, kiedy im się coś nie podoba. To było głębsze uczucie. Moja mama i ten mężczyzna – to nie powinno

było się wydarzyć. A więc ja nie powinnam była się urodzić. Czułam się przez to taka nieszczęśliwa. On był taki odrażający. Miał brudne paznokcie, zajeżdżało od niego jakąś tanią wodą toaletową. Wyglądał niezdrowo. Taki chudy i zapuszczony. Przyjrzałam mu się dokładnie, żeby sprawdzić, czy przypadkiem nie jesteśmy do siebie podobni. Niestety, mam jego nos, też trochę spiczasty na końcu.

Spotkałam się z nim w Mc Donaldzie. Wiesz, jak nie cierpię. McDonalda. Ale on sądził, że uwielbiam tam chodzić, bo wszystkie nastolatki to lubią. Ani razu nie zapytał mnie o moje sprawy, nie był ciekaw, jaka jestem i co robię, tylko cały czas gadał o tym, jak wspaniałym krajem są Stany Zjednoczone i jacy my tutaj jesteśmy zacofani, i że w Irlandii wszystkim rządzą księża i mafia. Co on

opowiada? Księża niczym tu nie rządzą. Nie pamiętam nawet, żebym kiedykolwiek spotkała jakiegoś księdza. Gadał o tych drapaczach chmur w Ameryce, i że tu u nas każdy, kto ma jakiś ambicje, każdy, kto się wychyli, zaraz dostaje po głowie. Wylewał na mnie tę swoją gorycz. Ja prawie się nie odzywałam, tylko siedziałam i słuchałam tych bzdur. A tak się cieszyłam na to spotkanie. Tak bardzo chciałam poznać swojego ojca. Miałam zamiar wybaczyć mu, że wyjechał i zostawił nas same, i wybaczyłabym, gdyby było w nim cokolwiek, z czego mogłabym być dumna. Ale to było takie kompletne zero.

Ciągle potrafisz być miażdżąco krytyczna, Cordelio. Owszem, Drew nie jest wzorem ojca. Zgubił gdzieś swoją mapę, biedny frajer. Potknął się na progu dorosłości.

Colm popijał kawę i słuchał. Więc tak wyglądało spotkanie Cordelii z ojcem. Wcześniej nie chciała o tym rozmawiać. Janet nie była w stanie z niej wyciągnąć nic poza tym, że nie było to udane spotkanie. Janet powiedziała kiedyś Colmowi, że ojciec Cordelii wyjechał z Irlandii, bo nie udało mu się dostać posady nauczyciela w pewnej szkole. Podobno jego irlandzki pozostawiał co nieco do życzenia. Najwyraźniej nigdy się z tym nie pogodził, choć od tamtego zdarzenia minęło wiele lat.

– Wiesz, że ojciec Phoedry to straszny drań, prawda? Kilka miesięcy temu dostał zakaz i nie wolno mu się do nich zbliżać. Kiedyś ciągle je bił, Phoedrę i jej matkę. No i tak się to zaczęło, gadałyśmy ciągle, że wszyscy mężczyźni to dranie i postanowiłyśmy reaktywować SCUM, takie towarzystwo zwalczania mężczyzn.

Znalazłyśmy manifest Valerie Solanis i zamówiłyśmy mnóstwo egzemplarzy przez Internet. Spotykałyśmy się raz w tygodniu, we czwórkę, i opowiadałyśmy sobie nawzajem o tym, jacy okropni są mężczyźni. Phoedra była przewodniczącą, a ja wiceprzewodniczącą. Opowiedziałam im o swoim beznadziejnym ojcu z Kalifornii. Ale Phoedra zawsze wzbudzała największe współczucie, bo ojciec ją bił. Ojciec włóczęga, żyjący na plaży to nic wielkiego. Ojciec Carmel, wiesz co on robi? Przeprowadza do domu młode dziewczyny i uprawia z nimi seks w jednym pokoju, podczas gdy jej matka siedzi w drugim, nafaszerowana prozakiem, i gapi się w telewizor. Czy to nie jest straszne? A ojciec Veroniki jest alkoholikiem, wszystko przepija, więc one czasem trzy razy dziennie jedzą owsiankę. Problem w tym, że opowiedziałam im o

tym koszmarnym spotkaniu z ojcem i później nie miałam już nic do powiedzenia. Wyssałyśmy z tej historii, co się dało. A one ciągle opowiadały o nowych okropieństwach. Ojciec Veroniki upił się pewnego dnia i wysikał w ogródku sąsiadów. Ojciec Carmel ma nową dziewczynę, która dosłownie wprowadziła się do ich domu. Zajęła pokój dla gości i siada razem ze wszystkimi do posiłków. Matka Carmel przeszła załamanie nerwowe z tego powodu. Ojciec Phoedry tak ją uderzył, że zwichnął jej łopatkę czy coś takiego. A ja miałam tylko tę żalosalną historię o cuchnących frytkach z McDonalda i ojcu włóczącym się po plażach Kalifornii. Więc zrobiłam coś naprawdę złego i jest mi bardzo przykro. Zaczęłam wymyślać różne historie o tobie. Zaczęłam mówić, że... nie, nie potrafię tego powtórzyć. Wiesz, co mówiłam. Nie

mogę tego powtórzyć.

– Powtórz – nalegał Colm. – Musisz się przyznać do tego, co zrobiłaś, żeby zostawić to za sobą i uzyskać przebaczenie.

– Och, nienawidzę samej siebie. Mówiłam takie straszne rzeczy. Powiedziałam im, że mnie obmacujesz. Że nie dajesz mi spokoju. Na początku wydawało mi się, że to nic złego, to znaczy, nie jesteś moim prawdziwym ojcem, więc to nie kazirodztwo ani nic. Teraz zdaję sobie sprawę, że to było bardzo złe. Ale dziewczyny okazywały mi tyle współczucia. I troski, i zrozumienia. A ja bardzo tego potrzebowałam. Uwielbiałam to. W szkole Carmel podchodziła, żeby mnie uścisnąć, i szeptała mi do ucha: „Wiem, jak bardzo cierpisz”. Veronica zostawiała często liściki i czekoladki w mojej szafce. Och,

otaczały mnie taką troską, taką miłością. I już nie mogłam przestać. Na każdym spotkaniu wymyślałam nową historię, zawsze lepszą od poprzedniej. Te historie same przychodziły mi do głowy, znikąd. Nigdy nie planowałam wcześniej, co powiem. Jakbym dostała dar mówienia językami. Otwierałam usta i pojawiała się nowa historia. Nasze spotkania były tajne, pod groźbą wykluczenia z organizacji. Byłam pewna, że to, co mówię, nigdy nie wydobędzie się na zewnątrz, więc uważałam, że nic złego nie może z tego wyniknąć. Ale Phoedra wygadała się matce. I tak się to skończyło.

– Co powiedziałaś przyjaciółkom?

– Że to wszystko nieprawda. Powiedziałam im, że jestem zaburzona psychicznie i kłamię, bo odczuwam taki przymus. Pomyślałam, że to lepsze niż przyznać się, że po prostu zmyślałam. Nie

odzywają się do mnie. Kiedy wchodzę do klasy, odwracają się do mnie plecami. Nie mam innych przyjaciół, bo zawsze trzymałyśmy się razem. Patrzyłyśmy z góry na inne dziewczyny, które mają normalne, szczęśliwe rodziny. Uważałyśmy, że są takie niedojrzałe, niedoświadczone, nic nie wiedzą o życiu. Teraz jestem wyrzutkiem. Prawdę mówiąc, ulżyło mi, bo kiedy zaczęłam kłamać, wpadłam jakby w pułapkę, i tylko tak mogłam z tym wreszcie skończyć. Tylko że ty wyprowadziłeś się z domu. Powiedziałam mamie, że nie powinna była cię wyrzucać. Okropnie się czuję.

– Cordelio, powiedz mi jedno – czy którakolwiek z twoich koleżanek ma złą matkę? Alkoholiczkę, która bije dzieci albo przyprowadza do domu młodych mężczyzn, żeby w ten sposób znęcać się nad mężem? Albo sadystkę, która zmusza

dzieci do kąpieli w lodowatej wodzie? Albo wydaje wszystkie pieniądze na drogie ciuchy, podczas gdy jej dzieci boso włączają się po ulicach?

– Nie. Wygląda na to, że wszystkie matki są święte.

– Tak tylko pytam.

– Colm, strasznie mi przykro. Wybaczysz mi?

Colm wstał, podszedł do Cordelii i zmierzwił jej grzywkę dłonią. Uśmiechnął się do niej.

– Oczywiście, wybaczam ci. Jesteś w głupim wieku. Masz prawo do kilku idiotycznych wyskoków. Szczerze mówiąc, Cordelio, bardzo mi ulżyło.

– Dlatego, że wszystko wyszło na jaw?

– Nie. Dlatego, że nareszcie ujawniłaś jakieś wady. Nie mogłem wytrzymać tego, że byłaś taką zadowoloną z siebie świętoszką. Jestem zachwycony twoją

chorobliwą skłonnością do konfabulacji i paroma innymi dewiacjami.

– Och! – Cordelia zmarszczyła brwi. – Nie jesteś wściekły?

– Nie. Nie jest to coś, czym mógłbym się aż tak przejąć.

– Och! – powtórzyła Cordelia. Widać przygotowała się na grubszą awanturę.

– Wiem, że to musiało być dla ciebie trudne, to spotkanie z ojcem. Bardzo się rozczarowałaś. Ale w życiu tak czasem bywa. Myślę, że w młodości musiał być dobrym człowiekiem, bo inaczej Janet by go nie pokochała. Tego możesz być pewna.

– Cóż, zepsuł się jak przejrzały banan.

Colm zacisnął i rozprostował palce. Chciał powiedzieć coś jeszcze i próbował zebrać się na odwagę. W końcu mu się to udało.

– Cordelio, kiedy ożeniłem się z twoją

mama, byłaś jeszcze małym dzieckiem, a ja zawsze myślałem, że zostanę twoim ojcem. Wiem, że nie najlepiej mi to wychodziło, ale zawsze chciałem być twoim tatą, i znowu nim będę, jeśli mi tylko pozwolisz.

– Wrócisz dzisiaj ze mną do domu? – spytała z ożywieniem.

Aaaa!

– Nie, nie wrócę do domu, Cordelio. Twoja mama i ja mamy pewne problemy.

– Problemy?

– A ja mam romans.

– Romans?

Cordelia była wstrząśnięta.

– To tylko mały romansik.

– Niemożliwe, żebyś miał romans. To bez sensu.

Ona też uważa, że nie jestem do tego zdolny.

– Więc myślę, że zostanę tu jeszcze

przez jakiś czas, żeby wszystko przemyśleć.

– Więc nie wyprowadziłeś się z domu przeze mnie?

– Cóż, nie był to jedyny powód.

Cordelia dopiła kawę. Trochę upadła na duchu. Sądziła, że wszystko naprawi swoim wyznaniem, a teraz zrozumiała, że są rzeczy, które nie mieszczą się w granicach jej możliwości. Nic więcej nie mogła zrobić.

– Kim jest ta kobieta?

– Nazywa się Sally Carter.

– To ta, co zabiła swojego męża w Howth?

– Skąd ci to przyszło do głowy?

– Sama nie wiem. Chyba ktoś o tym mówił w szkole.

– To tylko czcze plotki – powiedział Colm słabo.

– Odejdiesz dla niej od mamy?

– Nie wiem, Cordelio, potrzebuję czasu, żeby o tym wszystkim pomyśleć. Nie sędzę, ale twoja mama i ja tak czy inaczej mamy problemy. Czasami miłość nie wytrzymuje próby czasu.

– Ale co się stało? Zawsze mi się wydawało, że szalejecie za sobą.

– Dlaczego?

– Bo patrzycie na siebie w taki szczególny sposób. Nie odrywacie od siebie wzroku. Prawdę mówiąc, zawsze byłam z tego powodu trochę zazdrosna. Kiedy zaczęło się źle układać?

Cordelia wydawała się teraz dziwnie dojrzała. Wyglądała jak socjolog albo terapeutka od problemów małżeńskich, którą może kiedyś zostanie, a nie jak zdezorientowana głupiutka nastolatka.

– To narastało latami. Myślę, że twoja mama jest dla mnie zbyt dobra, Cordelio. Zbyt święta.

– A więc – spytała Cordelia po chwili namysłu – ta druga kobieta nie jest święta?

– Święta? O nie – zapewnił Colm. – Absolutnie nie jest święta.

Ryba z frytkami

Colm spędził kilka godzin przy komputerze, pracując bez pośpiechu, aż poczuł głód. Ignorował go przez jakiś czas, więc kiedy w końcu włożył swoją kurtkę ze sztucznej skóry i ruszył do miasta, by przyłączyć się do innych wielbicieli ryby i frytek w centrum handlowym w Burdocks, był bliski śmierci głodowej. Zamknął za sobą frontowe drzwi i już miał wyjść na ulicę, kiedy natknął się na dżentelmena, który przedstawił się jako detektyw Smith, jeden z dublińskich stróżów prawa. Smith nie wyglądał na policjanta. Miał na sobie garnitur, krawat i okulary i przypominał raczej księgowego. Spytał Colma, czy budynek ten zamieszkuje między innymi niejaki Colm Cantwell.

– Tak – odparł Colm.

– Który to dzwonek? – spytał policjant.

– Numer 5 – powiedział Colm.

Policjant wcisnął wskazany guzik. Colma ogarnęła panika. Nie chciał zdradzić swojej tożsamości, ale nie chciał też kłamać. Zastanawiał się, czy po prostu nie zwać, ale uznał, że byłoby to niepoważne. Nie może uciekać przed policją. Nie zrobił nic złego, na litość boską. Jest niewinnym człowiekiem i ma prawo robić, co mu się podoba. Nie mogą go aresztować za to, że przyjaźni się z osobą, której mąż zginął w podejrzanych okolicznościach. Poza tym umierał z głodu.

– Nie ma go – powiedział Colm.

– Nie wie pan, gdzie mógłbym go znaleźć?

Colm miał dość. Był przeraźliwie głodny. Chciał iść do Burdocks.

– Poszedł do Burdocks, żeby coś zjeść –

powiedział. – Może pan iść ze mną i tam się z nim spotkać.

Colm i detektyw Smith ruszyli razem ulicą. Smith stawiał znacznie dłuższe kroki i Colm musiał się bardzo starać, żeby nie zostać w tyle.

– Czego pan od niego chce? – spytał Colm.

– Nie mogę rozmawiać o pracy. Przykro mi, nie chcę być niegrzeczny, ale przepisy to przepisy.

– Jasne, jasne, bracie. O nic nie pytam. – Colm podniósł ręce w geście rezygnacji.

– Kiedyś pewnie skończę przed komisją dyscyplinarną z powodu jakiejś luźnej pogawędki. Teraz za wszystko mogą nas pociągnąć do odpowiedzialności. Najważniejsza jest jawność i odpowiedzialność. Można się nieźle przejechać.

– Gdzie te błogosławione czasy, kiedy

posterunkowy mógł po prostu spuścić człowiekowi manto za szopą na rowery, co było początkiem i końcem wymiaru sprawiedliwości.

– Ironia? Jak miło.

– Lubię sobie poironizować.

– Od jak dawna pan Cantwell mieszka w tym domu?

– Od kilku tygodni.

– Jaki on jest?

A więc ma opisać samego siebie. Podjął wyzwanie.

– Hm. Jest w porządku. Spokojny gość. Nie wadzi nikomu. Lubi sobie wypić. – Colm poczęstował towarzysza papierosem. Obaj zapalili i ruszyli dalej. – Wydaje się, że to miły facet, eee, może trochę zagubiony. Jakby stracił poczucie kierunku. Nie umie się odnaleźć, rozumie pan. – W końcu będzie musiał powiedzieć, kim jest. Postanowił, że poczeka, aż usiądą

w restauracji i dostaną obiad. Jeśli go zwiną, to przynajmniej z pełnym brzuchem.

– Dobrze go pan zna? – spytał detektyw. Colm myślał przez chwilę.

– Dość dobrze – powiedział.

– Co on robi za dnia?

– Pracuje przy komputerze. Ile razy do niego zajdę, siedzi i pisze. Chyba jakąś powieść czy coś w tym rodzaju. Albo wiersze. Nie wiem.

– Powiedział panu, że jego małżeństwo się rozpadło?

– Tak, wszystko mi opowiedział.

– Odwiedzają go jakieś kobiety?

– Hm – mruknął Colm. – Nieee... Nigdy żadnej nie widziałem. To chyba nie ten typ.

– Zdaje się, że dobrze go pan zna.

– No, jesteśmy w Burdocks.

Weszli do restauracji i usiedli przy

stoliku. Natychmiast podeszła do nich kelnerka.

– Zje pan coś? – zapytał detektywa.

– Lepiej nie. Napiję się tylko dietetycznej coli i zaczekam na niego. Jak pan sądzi, kiedy się tu pojawi?

– Ja poproszę dorsza, frytki, kiełbaski ze smażoną cebulą, a potem szklanek mleka, dzięki, skarbie. – Nowy wizerunek Colma wpłynął na jego zachowanie. Do wszystkich kelnerów mówił teraz „skarbie”. Czuł, że tego od niego oczekują. Dziewczyna uśmiechnęła się śmiało i poszła do kuchni.

– To gdzie on jest? – zapytał Smith.

Colm westchnął ciężko.

– Tutaj.

– Gdzie?

– To ja – powiedział Colm.

Detektyw Smith przyjrzał mu się uważnie.

- Nie, to nie pan.
- To ja.
- Widziałem go na filmach.
- Na jakich filmach?
- Tego nie mogę powiedzieć.
- Niech mi pan tu kitu nie wciska.
- No dobra, dobra, na filmie spod kościoła. Z pogrzebu Cartera. Cantwell stał pod kościołem i palił papierosa.
- Zgadza się. To byłem ja. Pański kolega poprosił mnie o ogień. Pamiętam go. Taki myszowaty facet. Nie zauważyłem żadnej kamery. Pewnie miał ją wbudowaną w długopis czy coś innego, jak James Bond.
- Dlaczego zmienił pan wygląd? – spytał Smith. – Ukrywa się pan?
- Ukrywałem się przed żoną i dziećmi. Mieliśmy drobny problem rodzinny. To o czym chce pan ze mną porozmawiać?
- Zastanawialiśmy się, czy nie mógłby

nam pan pomóc w dochodzeniu. Wiemy, że spotyka się pan z Sally Carter. Chciałem zapytać pana nieoficjalnie, gdzie pan był w piątek, dwudziestego drugiego ubiegłego miesiąca, w dniu, kiedy zniknął James Carter. Może rzuci pan na tę sprawę nowe światło.

– Nie przeczyta mi pan moich praw, jak w *Ulicach Los Angeles*”?

– Prawa czyta się tylko aresztowanym, a pan nie został aresztowany.

Na razie.

– Może pan oczywiście odmówić odpowiedzi do czasu przybycia pańskiego prawnika.

Colm dostał swoje danie, wielką parującą górę frytek i kawałków ryby oraz talerzyk pełen krążków smażonej cebuli. Polał to wszystko obficie ketchupem i zaczął jeść żarłocznie, jako że mógł to być jego ostatni posiłek.

– Proszę, niech się pan poczęstuje frytką, jeśli ma pan ochotę – powiedział Colm, przesuwając nieco swój talerz w stronę detektywa. Z talerza uniósł się przy tym ostry zapach octu winnego. Smith lekko zmarszczył nos. – Dokładnie pamiętam, co robiłem w piątek dwudziestego drugiego. Kwadrans po drugiej po południu poszedłem do redakcji oddać felieton, jak co tydzień. To znaczy do niedawna chodziłem tam co tydzień. Po przeprowie z Deirdre Glade, redaktorką która mnie wylała, spotkałem się z moim przyjacielem, Davidem. Przez resztę wieczoru jedliśmy i piliśmy w różnych miejscach w centrum miasta. Nie pamiętam dokładnie, gdzie, ale wyciąg bankowy z karty kredytowej Davida pozwoli precyzyjnie ustalić trasę, na jakiej oddawaliśmy się rozpuście. Byłem bardzo przygnębiony z powodu utraty pracy, więc

piłem więcej niż zwykle. Nad ranem wróciłem do domu. Nie pamiętam dokładnie, o której.

Smith robił notatki w małym kajeciku, z roztargnieniem pojadając frytki.

– Spotkał pan kiedyś Cartera?

– Nie. To znaczy niezupełnie. Śledziłem go pewnej nocy, kiedy pojechał do Blackrock z siostrą Sally, Anitą. Ale nie wiedzieli, że za nimi pojechałem.

– Dlaczego ich pan śledził?

– Bardzo dobre pytanie.

– Wygląda to dość podejrzanie. Często zdarza się panu śledzić obcych ludzi po nocy?

– Nie, nieczęsto. Kiedyś, dawno, wspomniałem w jednym z moich felietonów o Carterze i Anicie de Brun, nie wiedząc, że to jego szwagierka. Sally Carter skontaktowała się ze mną, chciała wiedzieć, czy to prawda, czy tylko plotki.

Powiedziałem, że spróbuję się dowiedzieć. No i poniosło mnie pewnej nocy. Zabawiłem się w prywatnego detektywa i pojechałem za nimi do Blackrock, gdzie okazało się, że rzeczywiście mają romans. O dziwo, w tej akurat plotce było trochę prawdy. Powiedziałem o tym Sally. To wszystko.

– Jest pan jej kochankiem, prawda?

Kochanek. Trochę za mocne słowo na określenie moich możliwości.

– Eee... To znaczy, ja... Ona... No. Jesteśmy dość blisko, to się zgadza. Obojgu nam rozpadły się małżeństwa. No i stało się to, co nieuniknione.

Smith naskrobał coś znowu w swoim notesie i podebrał kolejną frytkę z talerza Co Ima.

– A pani Carter? Wie pan, gdzie ona była tego dnia?

– Obawiam się, że nie – odparł Colm. –

Jesteśmy blisko, ale nie deptę jej ciągle po piętach, jeśli wie pan, co chcę przez to powiedzieć.

Smith zjadł jeszcze jedną frytkę, a potem nagle uświadomił sobie, co robi, i odsunął się od talerza. Dopił swoją colę. Colm podsunął mu talerzyk z krążkami smażonej cebuli.

– Nie, dziękuję. Myśli pan, że mogła zabić męża? – zapytał.

Oto jest. Kluczowe pytanie.

– Nie – odpowiedział Colm, wyraźnie i bez zająknienia.

– Wydaje się pan bardzo pewny, że tego nie zrobiła – zauważył Smith.

– Jestem pewny. Ona nie ma dość siły charakteru, żeby zrobić coś takiego. To taka szara myszka.

– Na ile jednak można panu wierzyć? – spytał Smith. – Jest pan z nią w końcu bardzo blisko.

Colm wzruszył ramionami i dopił mleko. Nareszcie czuł się syty. Zapalił papierosa i poczęstował Smitha, który odmówił. Colm skinął na kelnerkę i zamówił butelkę piwa. A potem wpadł na pewien pomysł.

Mógłbym napisać notkę restauracyjną o Burdocks, mojej ulubionej knajpie. Mógłbym rozpląwać się nad frytkami, piąć z zachwytem nad ketchupem.

Na fali tego fantastycznego pomysłu zamówił lody. Napisze ten tekst i wyśle go jutro mailem. Będzie znacznie do przodu.

– Dobrze. To na razie wszystko. Skontaktuję się z panem, jeśli będę miał jeszcze jakieś pytania – oznajmił Smith i ruszył do wyjścia, zostawiając Colma z piwem, lodami i papierosem.

Cóż, sprawa jest jasna. Teraz ja też jestem winny. Ale nie mogłem jej wsypać. Będzie musiała przyznać się sama.

Perfumy

Możesz w to uwierzyć? – spytała Sally.
– Możesz w to uwierzyć? Co za skunks. Zostawił mi tylko małą część swojego majątku, zaledwie połowę wszystkiego, co oficjalnie posiadał, a cała reszta została uplatana w jakiś bardzo skomplikowany rodzinny fundusz powierniczy dla małego Jamesa.

– Ale połowa tego, co oficjalnie posiadał, to pewnie bardzo dużo, no nie?

– Nie chodzi o pieniądze. Chodzi o to, że to boli.

– To, że ci nie ufał?

– Nie, nic podobnego. Oczywiście, że mi ufał. Ale uważał, że jestem za głupia, żeby można było powierzyć mi większe pieniądze, bo pewnie zrobiłabym z nimi coś głupiego, więc maksymalnie utrudnił

mi dostęp do nich. Właściwie nic nie mogę zrobić. James nigdy nie wierzył, że ja też mam mózg. A najzabawniejsze w tym wszystkim jest to, że jestem od niego mądrzejsza. Ale od początku tak to wyglądało. Kłamałam, zaniżyłam wyniki ze szkoły, bo gdyby uznał, że jestem zbyt inteligentna, nie ożeniłby się ze mną. Nie czułby się przy mnie pewnie. Niestety, kiedy raz zacznie się udawać debila, trudno potem przestać. Moja głupota stała się niemal legendarna i w końcu sama zaczęłam wierzyć, że brakuje mi paru zwojów. Więc właściwie nie mogę teraz mieć pretensji do Jamesa.

– Co to za zapach? – spytał Colm.

Sally pociągnęła nosem.

– Jedzenie? Pachnie wspaniale.

Umieram z głodu.

– Nie, to coś innego – odparł. –
Perfumy?

– Och, podobają ci się? Kupiłam je dzisiaj, bo musiałam poprawić sobie nastrój. Jestem strasznie przygnębiona śmiercią Jamesa, a te ciągle dyskusje z policją tylko pogarszają sytuację. Spryskałam się tymi perfumami w samochodzie, tuż przed przyjściem tutaj, ale chyba trochę przesadziłam, jeśli czujesz je tak wyraźnie. Nazywają się Tarantula. Chciałam czegoś mocnego, agresywnego, co pomogłoby mi przejść przez to wszystko.

Jezu, są mocne. Jak kwiaty z dżungli.

Zaśmiała się szyderczo i dla wygody rzuciła buty. Dania pochodziły z bardzo drogiej francuskiej restauracji. Sally nie chciała jeść w restauracji, bo była pewna, że ktoś ją śledzi, miała natomiast ochotę na wykwintny posiłek, więc poprosiła o zapakowanie wszystkiego do dwóch wielkich toreb. Czowała, że nie tylko policja

może deptać jej po piętach, wydawało jej się też, że krewni Jamesa odnoszą się do niej podejrzliwie. Niewykluczone, że wynajęli prywatnego detektywa. Nie życzyła sobie, żeby zdjęcia, na których spożywa kolację w restauracji ze swoim kochaniem, obiegły rodzinne spotkania. Wszędzie natykała się na dziwnych facetów, którzy nic szczególnego nie robili, ale wyglądali, jakby mieli jakieś nieczne zamiary. Była pewna, że wszyscy oni fotografują ją ukradkiem, więc starała się pokazać im z jak najlepszej strony. Colm poczuł się bardzo głodny i jadł szybko potrawkę z kurczaka, która okazała się gęsta, delikatna i pyszna.

Sally włączyła radio. Nie chciała rozmawiać o „sprawie” w zupełnej ciszy, na wypadek gdyby w pokoju Colma zainstalowano podsłuch.

– Policjanci przestali mnie wypytywać,

więc myślę, że to może już koniec.

– Niejaki detektyw Smith przyszedł tu, żeby porozmawiać ze mną.

– Powiedział, że jego zdaniem ja to zrobiłam?

– Nie tak dosłownie.

– Może uda mi się wywinąć. Oczywiście nie mam pewności.

Nie cierpię, kiedy ona o tym mówi. Nie pamiętam o tym, dopóki ktoś nie wspomni, ale kiedy ona podejmuje temat, nie mogę uwolnić się od wizji tego biednego frajera, jak unosi się w wodzie, a z jego grubych ust uciekają ostatnie bąbelki powietrza. Całe jego bogactwo i wszystkie przywileje na nic mu się nie przydały.

– Bardzo mi pomogłeś, Colm. To wspaniałe, że mogę z tobą o tym rozmawiać. Szczerze mówiąc, inaczej chybabym oszalała. Za ciebie, mój kochany.

Uniosła kieliszek z białym winem w geście toastu i wychyliła go jednym haustem. Kupiła to wino w specjalnym pakiecie wraz z dwoma kryształowymi kieliszkami, bo nie miała ochoty pić wina z kubka do płukania zębów Colma, na co była skazana kilka dni wcześniej. Twierdziła, że chardonnay załatywało mentolem. Colm uśmiechnął się bez przekonania i podniósł swój kieliszek. Czuł się strasznie nieswojo. Tłuste potrawy, wino i intensywny zapach perfum Sally wywołały u niego lekkie mdłości. Sally rozparła się wygodnie na łóżku, rozprostowała nogi i ziewnęła, a potem przez chwilę przyjmowała różne pozy, jak luksusowa kurtyzana.

– Wiesz – powiedziała – naprawdę mam zamiar zrobić coś ze swoim życiem. Zaczynam nowy rozdział. Dokonam czegoś. Mam wrażenie, że marnowałam

się do tej pory. Wszyscy myśleli, że biedna stara Sal nic już nie zrobi dla tego świata. Może będę pracować w garkuchni dla bezdomnych? To mogłoby być nawet zabawne.

– To nie ma sensu, Sally. Wieloosobowa służba dogląda wszystkiego w twoim domu, a ty chcesz pomywać w garkuchni? Może lepiej byłoby wysłać tam którąś z twoich sprzątaczek, żebyś mogła zostać w domu i pooglądać telewizję?

– Albo zapiszę się na uniwersytet trzeciego wieku czy coś w tym stylu. Albo odświeżę swoje pielęgniarские umiejętności i kiedy dzieci podrosną, wyjadę do któregoś z tych zacofanych krajów, gdzie brakuje pielęgniarek, i będę służyć ludzkości.

– Skąd ta nagła potrzeba, żeby coś zrobić?

– Nie wiem. Po prostu mam na coś

takiego ochotę. Kiedy James żył, byłam jakby uwięziona. Nie mogłam tak po prostu powiedzieć pewnego dnia: „Wyjeżdżam do Ameryki Południowej i będę tam pielęgniarką”. Nie pozwoliłby mi na to. Zresztą dobre żony nie robią takich rzeczy. Ale teraz jestem wolna i mam mnóstwo różnych możliwości. Żałuję tylko, że się nie zgodziłam, kiedy powiedział mi, że chce się ze mną rozwieść i ożenić z Anitą. Miałabym go wtedy z głowy, wszyscy by mi współczuli, zamiast podejrzewać o morderstwo. A tak ciągle jestem zestresowana przez to, że zginął, dzieci są zrozpaczone i w ogóle. Kiedy usłyszałam: „Chcę rozwodu, bo mam zamiar ożenić się z Anitą”, wydawało mi się, że ziemia się pode mną rozstąpiła. Teraz nie pojmuję, dlaczego wpadłam w taką wściekłość. Kiedy patrzę na to z dystansu, wydaje mi się, że to

żaden problem.

Sally ponownie napełniła kieliszki.

– No, w końcu to wszystko ucichnie. Co wtedy zrobimy?

– Zrobimy? – spytał Colm.

– Chcesz zamieszkać ze mną w Longbrook?

Kolejna klatka. Czy ona zupełnie oszalała?

– Nie, Sally. Lubię ten pokój.

– Chcesz tu mieszkać? Przecież nie możesz zostać tu na stałe. Masz prawie czterdzieści lat. Potrzebujesz normalnego domu. Nie możesz mieszkać wśród tych wykolejeńców.

– Podoba mi się tu. W końcu naprawdę zacząłem pracować.

– No dobrze, ale przecież możesz pracować wszędzie, prawda?

– Prawda, do pewnego stopnia, ale ja muszę sobie poukładać życie.

– A co z nami? Z naszą przyszłością?

Colm zawsze miał mieszane uczucia w stosunku do Sally, ale teraz, kiedy owdowiała, była wolna i mogła zostać jego kochanką na pełny etat, i próbowała opleść go swoimi mackami, czuł po prostu przerażenie. Okoliczności śmierci jej męża przerażały go jeszcze bardziej. Zdumiewający pomysł. Zażyczyła sobie, żeby z nią zamieszkał. Nie odczuwała najmniejszych wyrzutów sumienia.

– Sally, będziesz musiała się przyznać. Powiedzieć, co się stało.

– Już to przerabialiśmy. Nie mogę się przyznać. To byłoby idiotyczne.

– Sally, jeśli się nie przyznasz, nie będę mógł więcej się z tobą widywać. Czuję, że to nie w porządku.

– Cóż, jeśli się przyznam, ja nie będę mogła widywać się z tobą, ponieważ następne dwadzieścia lat spędzę w pudle.

– To możliwe.

– Więc tak czy inaczej nie będziemy się widywać.

– Na to wygląda. Ale będę odwiedzał cię w więzieniu.

Spojrzała na niego. Powoli zaczynało do niej docierać, że on ma zamiar z nią zerwać. Nigdy nie przyszło jej do głowy, że mógłby ją teraz zostawić. Wstała z łóżka, zdenerwowana, z wyrazem zaskoczenia na twarzy. Och, nie. Jestem taki okrutny.

– W takim razie pójdę już – powiedziała. – Nie przypuszczałam, że dostaniesz dzisiaj ataku prawomyślności. Łatwo ci mówić, że powinnam zrobić to czy tamto, bo nie wiesz, jak mi było ciężko z Jamesem. Tyle upokorzeń! Nie mam żadnego poczucia winy, bo on na to nie zasługuje. Oszczędziłam ci większości szczegółów naszego uroczego małżeństwa,

bo nie lubię się skarżyć i nigdy nie potrzebowałam twojej litości. Ale wierz mi, nie mam powodu, by odczuwać wyrzuty sumienia. – Temperatura jej wyvodu rosła z każdą chwilą. – James mnie zmiądzzył, mam szczęście, że w ogóle to przetrwałam. – Spojrzała na Colma. – Nie sądziłam, że zechcesz udzielać mi moralnych pouczeń.

Włożyła zakiet i zaczęła zbierać z podłogi buty i torebkę. Po jej twarzy płynęły łzy.

– Gdzie jest ten cholerny szalik?

Znalazła go na stercie ubrań w kącie.

– Myślałam, że jesteś po mojej stronie. Myślałam, że się rozumiemy, ty i ja. Myślałam, że już nie wierzysz w moralność. Tak jak ja. Ale widzę, że jest inaczej. Myślę, że powinieneś wrócić do swojej żonki i ciepłych kapci. Żegnam.

Zatrzęsnęła za sobą drzwi z taką siłą, że

cały dom zadygotał. Colm czuł się strasznie. Jej wyjście nie przyniosło mu ulgi. Jej brak był prawie tak samo irytujący jak jej obecność. Westchnął i włączył komputer.

Lepiej weź się do pracy.

Zapach perfum jeszcze długo unosił się w pokoju.

Pizama

Colma obudziły maluchy, które skakały mu po brzuchu. – Tatusiu, jak było w klasztorze? Jesteś teraz święty? Przywiozłeś nam coś słodkiego?

Jęknął i chwycił się za głowę. Musi być sobota, w przeciwnym wypadku byłyby w szkole.

– Tatusiu, a dlaczego masz takie dziwne włosy? Wyglądasz jak dziewczynka – powiedziała June, zrzuciła buciki i wsunęła się pod kołdrę. John natychmiast zrobił to samo.

– Czy to mama powiedziała wam, gdzie jestem?

– Tak, pukaliśmy do drzwi, i dzwoniliśmy, i ten wielki facet, Brian, powiedział nam, żebyśmy poszli na górę. Ooo, to jest ten sam pokój co twój gabinet

w domu?

– Tak.

– Fajnie, że nas tu wpuścił, bo w domu nie wolno nam wchodzić do gabinetu. Ooo, tam stoi kuchenka?

– Tak.

– Masz coś do jedzenia?

– Tak, kiełbaski. Macie ochotę na kiełbaski?

– Super! – wykrzyknął John.

Colm wstał, podszedł do kuchenki, wyjął patelnię i wkrótce pokój wypełnił apetyczny zapach smażenia. Dzieci siedziały grzecznie na łóżku.

– Mama wie, gdzie jesteście?

– Tak. Chciała, żebyśmy się najpierw ubrali, ale wybiegliśmy z domu i przybiegliśmy tutaj, a ona była w szlafroku i nie mogła pójść za nami, bo co by powiedzieli sąsiedzi.

Colm usmażył kiełbaski, wyjął kilka

kromek krojonego białego chleba i zrobił dla wszystkich po hot dogu.

– Super! – powiedział John z pełną buzią.

– Dlaczego teraz tu mieszkasz? – spytała June. – Dlaczego nie przyjdiesz do nas, do domu? Stało się coś takiego, że nikt nam nie powie, bo jesteśmy za mali? Zawsze o wszystkim dowiadujemy się na końcu.

– Chcecie herbaty? – spytał Colm.

Nalał wody do czajnika i postawił go na kuchence.

– Tak, proszę – odparli chórem.

– Włączyć telewizor?

– O tak, tak. Tak.

Colm włączył telewizor.

– Gdzie pilot? – zainteresowała się June.

– Nie ma pilota. Trzeba wstać i wcisnąć guzik.

– Och. Jak to się robi? – spytał John.

– Pokażę ci.

Colm postawił Johna na krześle, żeby mógł dosięgnąć telewizora, otworzył klapkę i pokazał wszystkie przyciski. John włączył MTV.

– Dlaczego teraz tu mieszkasz? Dlaczego nie wrócisz do domu? – June nie dawała za wygraną.

I co ja mam zrobić? Nie mogę jej powiedzieć.

– Herbata – Colm podał dzieciom dwa parujące kubki.

– Co zrobiłeś z włosami? – spytał John.

– Wyglądają jak jakiś krzak.

– Zmieniłem wizerunek – odparł Colm.

– Znudziły mi się proste włosy. Miałem ochotę coś zmienić.

Colm zawinał kielbaski w kromki chleba i podał dzieciom.

– Fajnie – stwierdził John. – Pasuje ci.

– Ja wolałam stare włosy – powiedziała

June, nachmurzona. Czują w tym wszystkim jakiś szwindel. John przeszedłby nad tym do porządku dziennego, ale June była z natury podejrzliwa. Wiedziała, że coś tu jest nie tak.

Co mam im powiedzieć?

– Dlaczego tu mieszkasz? Powiedz. Dlaczego nie jesteś z nami, w domu?

Colm wziął głęboki oddech.

– Dzieci, jestem tu jakby na wakacjach. Potrzebuję czasu, żeby przemyśleć pewne sprawy. Jeszcze przez jakiś czas nie wrócę do domu. Chciałem was odwiedzić i porozmawiać o tym, ale wy przyszliście do mnie, więc... eee... Zabrakło mu słów.

– Czy ty i mama będziecie w separacji?
– spytała June.

– To niewykluczone – odparł Colm.

– To coś jak rozwód, tak? – upewnił się John.

– Tak.

June zbladła jak ściana. Cała krew uciekła z jej policzków. Podniosła oczy na Co Ima.

– Ty uciekłeś, tak samo jak Cordelia. Dlaczego wszyscy uciekają z naszego domu?

– Junie, życie dorosłych bywa skomplikowane. Czasami okazuje się, że miłość między mamusią i tatusiem nie przetrwała próby czasu i wtedy muszą zreorganizować swoje życie.

June nie rozumiała słów, których użył, i patrzyła na niego pustym wzrokiem.

– Czasami miłość się kończy – powiedział.

– A miłość między tatusiem a dziećmi też może się skończyć?

– Nie. Nigdy.

– Nie wierzę ci – powiedziała June. – Może się skończyć. Jeśli kończy się

między mamusią i tatusiem, to może się skończyć między tatusiem i dziećmi. Tatuś Cordelii przestał ją kochać i wyjechał do Ameryki.

– Ja nigdy nie przestanę was kochać.

– Nie wierzę ci. – June spokojnie wstała z łóżka i włożyła swoje kapcie w kształcie królików.

– Superteledysk! – wrzasnął John.

June podeszła do drzwi, Colm złapał ją i przytulił do siebie. Nagle z przerażeniem odkrył, jak kruche i delikatne są jej ramionka. Jakie drobne. Za małe, by unieść taki ciężar.

– Ja chyba też ucieknę – powiedziała. Potem szybko wyszła z pokoju i biegiem puściła się po schodach.

– Zaczekaj, June! Wracaj! – wołał Colm.

Cholera. Będę musiał ją dogonić.

Colm włożył buty i, ciągle w piżamie,

zbiegł ze schodów. John ruszył za nim. June wybiegła już na ulicę, kłapiąc króliczymi pantoflami po chodniku. Jej szlafrok powiewał jak peleryna.

Colm pędził za nią, dysząc z wysiłku. Brzuch kołysał mu się przy tym z boku na bok, jak ciężka, niewygodna zbroja. John wyprzedził go szybko, pędził bez wysiłku, młody i zwinny.

– Złapię ją! – zawołał.

Złapał ją, kiedy dotarła do skrzyżowania i przytrzymał w mocnym uścisku.

– Puszczaj! – wrzeszczała June.

Colm dobiegł do nich. Był to dla niego tak wielki wysiłek, że zrobiło mu się niedobrze. Wyglądali bardzo niestosownie, biegając w piżamach po głównej ulicy Rathmines.

– Puść mnie! – kwiczała June. – Nienawidzę cię! Puszczaj!

John trzymał ją mocno, chociaż gryzła

go i drapała. Colm wziął ją w objęcia, a John zaczął rozpaczać nad swoimi obrażeniami.

– Au, ugryzła mnie. Au! Zobacz, krew.

– Puść mnie! Nie jesteś moim ojcem. Puść mnie. Nienawidzę cię – wrzeszczała June, teraz już bliska hysterii. Colm posadził ją sobie na ramieniu. Sprawny nie był, ale ciągle jeszcze dość silny.

– Wampirzyca – syknął John.

Trio w piżamach zaczęło przyciągać zdumione spojrzenia. Jeden z przechodniów poczuł, że powinien interweniować.

– Przepraszam, jakiś problem? – spytał godnie wyglądający starszy dżentelmen, podpierający się parasolem.

– Nie, wszystko w porządku – odparł Colm szybko.

– To nie jest mój ojciec. Nienawidzę go. Puszczaj! – darła się June.

Jakiś samochód zatrzymał się przy krawężniku i wysiadło z niego dwoje młodych ludzi, którzy zauważyli zamieszanie. Mieli na sobie sportowe, sobotnie ubrania.

– Co się stało? Możemy w czymś pomóc? – zapytała kobieta.

– On nie jest moim tatusiem! – wrzasnęła June. – Pomocy! Pomocy!

– Myślę, że powinien pan puścić tę dziewczynkę – oznajmił mężczyzna w krótkich spodenkach.

– To jest moja córka – powiedział Colm tak spokojnie, jak potrafił, usiłując nie sprawiać wrażenia porywacza dzieci albo szaleńca.

– To prawda – powiedział John. – To moja siostra, a to mój tata, więc musi być także jej ojcem, chociaż moja druga siostra, Cordelia, ma innego tatusia.

Teraz otaczał ich już tłum ludzi.

Sobotnich spacerowiczów.

– Pomocy! – krzyknęła June ile sił w płucach. – Pomocy! Chcę do mamy.

Colm postanowił spróbować wyjaśnić całą sytuację mężczyźnie w szortach.

– Widzi pan, przechodzimy właśnie mały kryzys małżeński, córka przeżyła wstrząs, bo nie mieliśmy dotąd czasu, żeby wszystko jej wyjaśnić. Muszę ją powstrzymać, bo chce uciec. Boję się, że mogłaby wpaść pod samochód.

Nie wierzę, że to się dzieje naprawdę.

– Cóż, najwyraźniej mała nie uważa pana za swojego ojca. Proszę tu zostać, aż sprowadzimy policję.

– Zastosujemy areszt obywatelski – powiedział mężczyzna z parasolem, co tłum powitał pomrukiem aprobaty. Ktoś inny wyjął komórkę i zadzwonił na policję.

– Tak, róg Candlewick Avenue i Upper Rathmines Road. Jakiś facet chce porwać

dziecko. Nie wiem. Lepiej szybko przyjeżdżajcie.

– To nie jest mój tatuś. Chcę do mamusi.

– To jest twój tatuś – przekonywał John.

– Słuchajcie! – Colm zwrócił się błagalnie do kilku najbliższej stojących osób. – Jestem tylko szarym człowiekiem, a to są moje dzieci. Junie jest wstrząśnięta, bo mamy z żoną problemy. Muszę zabrać ją teraz do domu, do mamy, żeby się uspokoiła.

– To nie jest mój tatuś.

– Wstyd, wstyd – mruknęła starsza kobieta. – Wiedziałam, że jak tylko wprowadzą rozwody, ten kraj się skończy.

Teraz tłum był już tak liczny, że ci, którzy stali na obrzeżach, nie mieli pojęcia, co się dzieje w środku. Szeptano o molestowaniu dzieci. Niektórzy przeciskali się do przodu, żeby cokolwiek zobaczyć.

Widzieli mężczyznę i dwoje dzieci w piżamach. Podejrzana sprawa.

Policjanci przybyli z wyciem syren i utorowali sobie drogę przez tłum jak Mojżesz przez Morze Czerwone.

– W czym problem? – spytał pierwszy policjant.

Jak na niewinnego człowieka, mnóstwo czasu spędzam na rozmowach z policją.

– Panie władzo – zaczął Colm. – Moja córka przeżyła szok. Czy mógłby pan zadzwonić do mojej żony i sprowadzić ją tutaj, żeby uspokoiła małą?

– Pan jest ojcem dziecka?

– Tak – powiedział Colm, znużony. – Tak. Proszę, niech pan zadzwoni do mojej żony.

– To nie jest mój tatuś. Chcę do mamusi.

Na ulicy, jak na zamówienie, pojawiła się Janet. Starannie ubrana i uczesana,

nieskazitelna jak zawsze. Postanowiła zajrzeć do domu pod piątką, chcąc się upewnić, że z dziećmi wszystko w porządku. Brian wskazał jej kierunek, w którym powinna się udać. Szybko ogarnęła wzrokiem całą scenę, spokojnie podeszła do Colma i wzięła June na ręce.

– Mamusiu – łkała June.

– Bardzo przepraszam – powiedziała do policjanta. – To tylko okropne nieporozumienie. To mój mąż. Jeśli pozbędzie się pan gapiów, może uda nam się uspokoić dziecko.

Jeden z policjantów zajął się rozpraszaniem tłumu.

– Cholerni ciekawscy – mruknęła Janet pod nosem.

Colm pocił się teraz obficie i był bliski łez.

– Wracaj z nami – powiedziała Janet. Nie czekając na odpowiedź, wzięła Johna

za rękę i ciągle niosąc June na biodrze, zawróciła w stronę Candlewick Avenue. Colm stał jeszcze przez chwilę na chodniku, jak rzeźba z wygniecionej bawełny, a potem ruszył powoli za Janet i dziećmi. Poszedł za nimi aż do domu.

List

Colm znalazł rozwiązanie, które było rodzajem kompromisu. Został w domu do wieczora, a kiedy maluchy poszły spać, wrócił do domu pod numerem 5, do swojego pokoiku. Gwałtowna reakcja June dała mu do myślenia. Nie, żeby kiedykolwiek lekceważył uczucia dzieci, po prostu w sytuacji, kiedy jeden kryzys gonił drugi, nie miał okazji spojrzeć na to wszystko całościowo. Nie było czasu zająć się potrzebami dzieci. John niczym się specjalnie nie przejął, głównie dlatego, że nie leżało to w jego naturze. Był niezwykle praktyczny. June okazała się bardziej wrażliwa.

Po kilku tygodniach June przyzwyczaiła się do nowej sytuacji, która nie miała większego wpływu na jej życie codzienne.

Uspokoila się znacznie, bo nawet jeśli Colma nie było w domu, był zaledwie kilkadziesiąt metrów dalej przy tej samej ulicy. Colm zabrał dzieci pod piątkę i przedstawił je swoim współlokatorom, łącznie z dziewczyną z Galway, której syn urodził się trochę za wcześnie, ale był zdrowy i silny. June uwielbiała odwiedzać niemowlę. I ona, i John przepadali za Brianem. Kiedy Colm nie jadł z resztą rodziny pod trzydziestką, Janet posyłała do niego Cordelię z obiadem na talerzu przykrytym folią aluminiową. Colm początkowo protestował, ale ponieważ nikt się jego protestami nie przejął, wsuwał domowe obiadki.

Nie można pozwolić, żeby dobry obiad się zmarnował.

Było to dla niego znacznie lepsze niż barowe dania na wynos, które kupował do tej pory. Poza tym stracił ochotę na rybę z

frytkami, swoje ulubione danie, ponieważ od dłuższego czasu jadał je co dzień.

Pewnego wieczoru pod jego drzwiami pojawił się David z propozycją zawarcia pokoju i sześciopakiem piwa. Colm bardzo się ucieszył na jego widok i wciągnął go do środka.

– Przepraszam cię – powiedział David.

– To ja cię przepraszam – odparł Colm.

– Zachowałem się jak dupek – powiedział David.

– Nie, to ja zachowałem się jak dupek – odparł Colm.

– Nie, ja.

– W porządku, obaj zachowaliśmy się jak dupki.

– No tak. Ale ja bardziej.

– Przestań się chwalić.

– Wypijmy za to. – Otworzyli sześciopak, i usadowili się wygodnie na łóżku, jak chłopcy, którzy pierwszy raz

kupili sobie piwo. David rozejrzał się po pokoju.

– Przypomina mi to tę norę, którą wynajmowałeś w Sandymount, kiedy byłeś na studiach.

Colm zapomniał o tej kawalerce, ale musiał przyznać, że owszem, było tu dość podobnie.

Muszę wrócić do tamtych czasów i jeszcze raz spróbować wydorosnąć. Może za drugim razem w końcu mi się to uda.

– Jesteś wolny, Colm. Zazdroszczę ci tego. To dlatego, że nie inwestowałeś w dobra materialne. Podczas gdy ja jestem więźniem. Może się wydawać, że posiadam te wszystkie sklepy i kluby, ale tak naprawdę, to one posiadają mnie.

– Tak się cieszę, że cię widzę, stary. – Colm lekko trącił przyjaciela w ramię. – Bardzo mi ciebie brakowało.

David zarumienił się i odwrócił wzrok.

Za nic nie odwzajemniłby takiej deklaracji, ale Colm wiedział, że w piersi tego macho bije wierne serce.

– Naprawdę mi przykro – powiedział – że nie chciałem słuchać o twoich problemach. Źle zrobiłem.

David postanowił przerwać te łzawe wywody.

– Daj spokój, nie ma o czym mówić. Świetnie układa mi się z Sylwią. Jezu! Co za kobieta. Umysł prawnika, ciało przestępczyni. Dwa dni temu zadzwoniła do mnie w nocy z Nowego Jorku...

Normalka. David i jego kobiety. Tak łatwo mu to przychodzi. Dlaczego życie jest dla niego takie proste?

Colm z zapalem pracował przy komputerze, pisząc stronę za stroną. Zastanawiał się czasem, dlaczego kiedyś nie był w stanie pracować w takim tempie i skupieniu jak teraz.

Bo źle się czułem we własnym życiu, oto dlaczego. Wtedy trudno się zdobyć na twórczą pracę.

Cordelia często go odwiedzała. Teraz, kiedy wszystko sobie wyjaśnili, był jej głównym powiernikiem. I jedyną osobą, która rozumiała jej odmienność. Chciała przenieść się do innej szkoły, jak najdalej od przyjaciółek z antymęskiego stowarzyszenia. Kończyła gimnazjum, w przyszłym roku miała zacząć przygotowywać się do matury i chciała pójść do koedukacyjnego college'u. Janet wyraziła zgodę.

– Chyba mam chłopaka – wyznała Cordelia, oblewając się szkarłatnym rumieńcem, który pięknie kontrastował z jej jasnymi włosami.

– Co to znaczy „chyba”?

– No, nie poprosił mnie, żebym była

jego dziewczyną, ale umówił się ze mną na spacer, a potem zaprosił mnie do siebie, żebym poznała jego mamę i siostry, a raz poszliśmy pograć w bilard. To już trzy randki, w pewnym sensie. Ale jeszcze mnie nie pocałował.

– A on ci się podoba?

– Chyba tak, ale to takie trudne. Skąd wiadomo, że ktoś ci się podoba? Są jakieś oznaki?

Mnie pytasz? Mam na koncie same niepowodzenia.

– Nie umiem ci powiedzieć, Cordelio, ale będziesz wiedziała, kiedy ich doświadczysz. Albo przynajmniej tak będzie ci się wydawało. Nikt nigdy nie ma całkowitej pewności.

– Drżą mi ręce, kiedy się z nim spotykam.

– Cóż, to jest jakiś znak.

– Kiedy będę wychodzić za mąż, chcę,

żebyś odprowadził mnie do ołtarza.

– Spokojnie, dziewczyno. Jeszcze się nawet nie pocałowaliście.

– Nie mówię o nim. Tak w ogóle. Chcę, żebyś był moim ojcem, bo uważam, że jesteś świetny.

– Zabieraj się stąd.

Kocham tę dziewczynę. Dziwne, ale naprawdę ją kocham. Tak cudownie wydorosłała.

Cisza ze strony Sally była bardzo niepokojąca. Co wieczór, wracając pod piątkę, Colm spodziewał się, że zastanie ją na progu z butelką starego szampana w ręce, prezentującą co lepsze aspekty swojej osobowości. Miał dziwne poczucie winy w związku z Sally. Wiedział, że to nieracjonalne, ale nie mógł pozbyć się wrażenia, że w pewien sposób jest odpowiedzialny za jej upadek. Gdyby nie

pojechał za Carterem i Anitą do Blackrock, Sally może nigdy nie dowiedziałyby się na pewno, że istotnie mieli romans, może nie pokłóciłyby się z mężem i nie zepchnęła go z urwiska, a on może nadal by żył.

Na każde spotkanie na ulicy srebrne audi Colm reagował nerwowo, spodziewając się, że zaraz wyskoczy z niego Sally. Policja dała mu spokój. Może dochodzenie utknęło w martwym punkcie. A może tylko grali na zwłokę. Colm czuł, że nie powinien się dopytywać.

Pierwsza strona wieczornej gazety w końcu przyniosła mu wieści o Sally.

Dzięki Bogu za prasę. Gdyby nie gazety, nic bym nie wiedział.

Wielki nagłówek głosił SALLY CARTER ZAGINEŁA. Colm wygrzebał z kieszeni sześćdziesiąt pensów i kupił gazetę. Pod tekstem było kolejne upozowane zdjęcie Sally, nieskazitelnie

ubranej i uczesanej. Zrobione niedawno, czarny golf wskazywał na to, że była już wówczas wdową.

Zaginiecie Sally Carter, żony niedawno zmarłego biznesmena Jamesa Cartera, zostało zgłoszone przez opiekunkę, która zajmuje się ich dwojgiem opuszczonych dzieci. Sally Carter widziano po raz ostatni, kiedy spacerowała po Howth w stanie silnego zdenerwowania. Przyjaciele rodziny obawiają się, że tragiczna śmierć męża wstrząsnęła panią Carter, uniemożliwiając jej normalne funkcjonowanie. Pewne źródła donoszą, że Sally Carter była przesłuchiwana w związku z podejrzeniem, że zamordowała swojego męża, czemu jednak zaprzecza jej rodzina.

Artykuł wpędził Colma w fatalny

nastrój. Próbował dowiedzieć się czegoś więcej z radia i trafił w końcu na serwis informacyjny dość szmatławej stacji, która podała, że ubranie Sally zostało znalezione pod jednym z opustoszałych magazynów na wybrzeżu. Różowy kostium i różowe zamszowe szpilki. Istnieje przypuszczenie, mówił spiker, że Sally Carter postanowiła pójść w ślady męża i utopiła się w porcie.

Następnego dnia, przeglądając pocztę pod piątką, Colm rozpoznał pełne zawijasów pismo. List został nadany dwa dni wcześniej w Howth. Pobiegł na górę do swojego pokoju i usiadł na łóżku, z mocno bijącym sercem. Otworzył kopertę i poczuł niedawno kupione przez Sally perfumy Tarantula.

*Longbrook
Howth Hill Rise
Co, Dublin*

Drogi Colmie!

Pojawiłam się w Twoim życiu za pomocą listu i myślę, że tym samym sposobem powinnam je opuścić. Mam już dość. Nie wytrzymam tego dłużej. Myślę, że będzie najlepiej dla wszystkich, jeśli ze sobą skończę. Moje życie jest zupełnie bezużyteczne, a przedłużanie go nie ma najmniejszego sensu. Moim dzieciom będzie lepiej beze mnie. Chcę tylko pożegnać się z Tobą i podziękować Ci za miłe chwile. Mam nadzieję, że wrócisz do żony i będziesz z nią szczęśliwy. Moje zdanie pewnie nie ma dla Ciebie większego znaczenia, ale ja wiem, że jesteś lepszym człowiekiem, niż Ci się wydaje.

Żegnaj

Sally

PS Do zobaczenia w przyszłym życiu.

Dlaczego postscriptum zabrzmiało jak groźba? Colm zaczął oddychać bardzo szybko i płytko. Przeczytał list kilka razy. Potem położył się na łóżku i wsadził głowę pod poduszkę. Był wstrząśnięty. Sally nie żyje? Okropne zakończenie. Leżał tak przez chwilę, później nagle oprzytomniał. Nie mógł w to uwierzyć. Nie miałyby dość odwagi, żeby ze sobą skończyć. Wystraszyła się i uciekła z kraju. Był tego pewny.

Jego podejrzenie potwierdziła następnego dnia wizyta detektywa Smitha. Policja dotarła do świadka. Tamtego deszczowego dnia widziano Sally z Carterem na wzgórzu. Widziała ich sąsiadka. Była pewna, że to Sally, mimo kurtki przeciwdeszczowej, ponieważ rozpoznała jej buty. Sally została poproszona o dostarczenie tych butów

policji, ale twierdziła, że je zgubiła. Sieć zaczęła się zaciskać, jednak rybka zdołała się wymknąć i odpłynęła. Anita także dostała pożegnalny list. Smith dość podejrzliwie odniósł się do korespondencji Colma z Sally.

– Poza tym nie miał pan z nią kontaktu?

– Nie, już od tygodni. Pokłóciliśmy się, prawdę mówiąc, i od wieków się z nią nie widziałem.

– Myśli pan, że się zabiła?

– Nie. To byłoby sprzeczne z jej naturą. Zbyt radykalna decyzja.

– Wspominała kiedyś o wyjeździe za granicę?

– Nie.

– A dokąd mogłaby, pana zdaniem, wyjechać?

Colm wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia.

– Może ma pan jeszcze jakieś

informacje, które mogłyby nam pomóc?

– Niestety nie.

– Nadal uważa pan, że nie zabiła męża?

– Takie jest moje zdanie. To sprzeczne z jej naturą.

– Mogę wziąć ten list? – spytał Smith.

Colm chciał go zatrzymać, ale wzruszył ramionami.

– Proszę.

– Do widzenia, panie Cantwell.

– Do widzenia.

Sally znajdzie sobie jakiś kąt na ziemi, gdzie zawsze świeci słońce, a ludzie będą dla niej dobrzy. Colm odczuł wielką ulgę.

Randka

Colm poszedł do domu pod numerem 30, gdzie miał spotkać się z Janet. Zaprosiła go na randkę z okazji swoich urodzin, ponieważ od lat nigdzie razem nie wychodzili. Głównie dlatego, że zdaniem Janet zatrudnienie na ten czas opiekunki do dzieci byłoby zbyt kłopotliwe. Teraz jednak Cordelia na tyle wydorosłała, że mogła zostać wieczorem z maluchami.

– Ma chłopaka, który zostanie z nią, żeby dotrzymać jej towarzystwa – szepnęła Janet do Colma, otwierając szeroko oczy ze zdumienia. – Są w salonie.

Colm wszedł do pokoju. Cordy siedziała tam z przystojnym czarnym młodzieńcem, szesnasto – czy siedemnastoletnim, ale sprawiającym wrażenie dość dojrzałego jak na swój wiek. Żadnego nastoletniego

skrepowania. Swobodny i pewny siebie. Młody człowiek wstał, żeby podać Colmowi rękę.

– Colm, to jest Othello.

– Żartujesz – powiedział Colm.

– Cóż, naprawdę nazywam się Seamus O’Neill, ale przyjaciele nazywają mnie Othello. Tak jak w tej sztuce.

– Cordelia i Othello. Muszę się napić.

Janet weszła do pokoju, niosąc dwie szklanki z dżinem i tonikiem. Jedną podała Colmowi, a drugą uniosła do góry.

– *Sidinte* – powiedziała.

Miała na sobie sukienkę, rozpuszczone włosy opadały jej na ramiona i wyglądała naprawdę pięknie. Zachowywała się niezwykle figlarnie. Być może z powodu urodzinowej randki, Colm jednak przypuszczał, że przyczyną tego był chłopak Cordelii. Bardzo martwiła się nieustającym przygnębieniem Cordelii,

więc teraz widok córki z pięknym młodym chłopcem radował jej serce.

– Przyszło wam do głowy, że kusicie los, łącząc energie tych dwóch wielkich tragedii Szekspira?

– Myślę – odparł Othello – że Othello bardziej by pasował do Cordelii. Desdemona była dla niego za słaba, nie sądzi pan?

– A Cordelia na pewno mniej rozmyślałaby o swoim ojcu, gdyby jakiś przystojny Othello mógł ją trochę rozerwać – zaśmiała się Cordelia.

– Widzę, że wszystko już sobie przemyśleliście – stwierdził Colm.

John i June biegali po domu w piżamach. Zwłaszcza June była bardzo przejęta faktem, że mamusia i tatuś wychodzą na randkę. Uważała, że to cudowne.

– No dobrze, dzieciaki – powiedziała

Janet. – My wychodzimy. Bądźcie grzeczni.

– Wszystkiego najlepszego w dniu urodzin! – zawołała June i wszyscy zaintonowali radosne *Sto lat*.

Janet i Colm otworzyli frontowe drzwi. Głosy śpiewających dzieci popłynęły za nimi w noc.

Pojechali do modnej, eleganckiej restauracji w Ballsbridge, którą wybrała Janet. W jej przypadku była to niezwykła decyzja. Kosztowna. Rozrzutna. Janet świetnie się bawiła, wydawała się zdumiewająco szczęśliwa. Rozpoczęli swój wspólny wieczór, składając zamówienie. Była to jedna z tych długich kolacji, złożonych z wielu dań, które ciągną się godzinami i kosztują fortunę.

Wiem, że to jej urodziny, ale mam nadzieję, że to ona zapłaci.

– Tak się cieszę z powodu Cordelii.

Naprawdę mi ulżyło – powiedziała Janet. – Przeszła całkowitą metamorfozę. To cudowne, że ma chłopaka. Tego właśnie teraz potrzebuje. A on wydaje się takim miłym chłopcem. Nie sądzisz?

– Tak, sympatyczny młody człowiek.

– Nigdy nie przepadałam za tą Phoedrą. Była jakaś dziwna. I miała zły wpływ na Cordelię.

– Myślę, że miały zły wpływ na siebie nawzajem.

– Cordelia wygląda teraz zupełnie inaczej. Nawet twarz jej się zmieniła. Wygląda tak ładnie.

– Jest szczęśliwa. Szczęście sprawia, że ludzie pięknieją. Widziałaś, żeby ktoś nie wyglądał pięknie w dniu swojego ślubu? Wtedy ludzie promienieją szczęściem. Wszyscy bylibyśmy piękni, gdybyśmy byli szczęśliwi.

Janet uśmiechnęła się do niego.

– Ty też się zmieniłeś, Colm.

– To znaczy?

– Bardzo się zmieniłeś. Jesteś dużo mądrzejszy niż kiedyś. To znaczy, kiedy się poznaliśmy, byłeś mądry, potem na kilka lat przestałeś być mądry, ale teraz znowu jesteś taki jak przedtem.

Colm nadał się lekko. Janet od tak dawna go nie podziwiała. Zrobiło mu się bardzo miło. Sięgnęła do swojej przepastnej torby i wyciągnęła z niej brązową kopertę z zaczętą powieścią Colma.

– To jest świetne – powiedziała.

Już zdążyła przeczytać?

– Czytałam przez całą noc. Nie mogłam się oderwać i nie mogę się doczekać dalszego ciągu. Pisz szybko. Umieram z ciekawości, co będzie dalej. To naprawdę dobre, musisz to skończyć.

– Cóż, na tym etapie równie ciężko

byłoby przerwać, co ciągnąć to dalej, jak już ktoś powiedział.

Janet nie tak łatwo wpadała w zachwyty. Gdyby uznała, że to bzdury, powiedziała by mu wprost. Ale najwyraźniej była z niego dumna. On też był z siebie dumny. Dumny z faktu, że napisał rozdział drugi. I trzeci. I czwarty, i piąty, i szósty. Był teraz w połowie tego, co w końcu stanie się powieścią. To, czy będzie się nadawała do publikacji, czy kiedykolwiek ujrzy światło dzienne, w tej chwili nie miało dla niego znaczenia. Najważniejsze, że napisał coś więcej niż tylko pierwszy rozdział. Dokonał czegoś. No dobrze, dokonał czegoś w połowie. Czuł się wspaniale. Jakby spadł mu z pleców ciężar, jakby ubyło mu lat. Potrzebował tej zmiany w swoim życiu. Potrzebował wielkiej zmiany.

A teraz Janet patrzyła na niego z dumą.

Z dumą i zainteresowaniem. Cieszyło go to po latach, w czasie których patrzyła na niego jak na robaka. Zjedli kolację w doskonałych humorach, opowiadając sobie historie ze szkoły i z domu pod numerem 5. Oboje świetnie się bawili, rozmawiając jak starzy przyjaciele. Albo rodzeństwo.

– Wrócisz do nas? – spytała Janet, spoglądając na niego znad kieliszka cherry.

Colm namyślał się nad tym dłuższą chwilę. Spojrzał na Janet, którą kochał i której szczególna anielska uroda nigdy nie przestała go zachwycać. Pomyślał o June i swojej miłości do tej małej dziewczynki, która jedna jedyna miała moc zdolną zmusić go niemal do wszystkiego.

– Najpierw muszę skończyć to, nad czym pracuję. Żeby to skończyć, muszę zostać tam, gdzie teraz mieszkam. Muszę to skończyć, zanim zrobię cokolwiek

innego. Bo teraz muszę przede wszystkim odbudować w sobie poczucie własnej wartości.

Janet bawiła się topniejącymi lodami, rysując w nich wzory wisienką. Posmutniała.

– Nie martw się, Janet. Zobaczymy, jak będzie.

Westchnęła.

– Smutno mi – powiedziała – bo myślę, że zaprzepaściliśmy nasze małżeństwo przez zaniedbanie. Zaprzętały nas tylko maluchy i Cordelia, i dom, i praca. Tylko dla siebie nie mieliśmy czasu. A kiedy zauważyliśmy, że coś jest nie tak, było już za późno. I teraz jest już za późno.

Wszystko odbywało się tak kulturalnie. Colm powinien się domyślić, że rozpad małżeństwa z Janet odbędzie się tak spokojnie i delikatnie jak wszystko, w czym brała udział. Sam był zupełnie

odrętwiały. Nie wiedział właściwie, co czuje, poza mglistymi, sprzecznymi ze sobą impulsami.

Najłatwiej byłoby wrócić do domu. Życie stałoby się łatwiejsze.

Wsiedli do samochodu i pojechali pod numer 30. Colm wszedł na filiżankę herbaty, żeby zobaczyć, jak poradziła sobie opiekunka do dzieci i jej chłopak.

Cordelia i Othello byli w świetnych humorach. Chyba miło spędzili ten czas. Po kolejnych dwudziestu minutach Othello pożegnał się, a Colm postanowił towarzyszyć mu, wracając pod numer 5.

Była piękna letnia noc. Na czyste, usiane gwiazdami niebo wpłynął jasny, okrągły księżyc, rzucając na ziemię głębokie cienie. Zadbane ogródki dobrze sytuowanych obywateli upajały przechodniów zapachem kwiatów. Candlewick Avenue wyglądała uroczo w

świetle księżycyca.

– Jak ci się układa z Cordy? – spytał Colm, kiedy szli przed siebie.

– Och, to wspaniała dziewczyna – powiedział Othello entuzjastycznie. – Nie taka jak inne dziewczyny. Jest dobra, zabawna i cudowna. I taka ładna, wygląda zupełnie jak anioł. Kiedy porównuję ją z innymi, wydaje mi się, że pod każdym względem jest od nich lepsza. Moja mama bardzo ją lubi. Nigdy jeszcze nie byłem tak szczęśliwy jak teraz, i tak się cieszę, że nie mam w tym roku żadnych egzaminów, bo chcę się z nią codziennie widywać. Nie mogę się doczekać wakacji, zaplanowaliśmy tyle rzeczy i chcemy pojechać nad morze i...

Wspaniale było słuchać o tym, jak zachwycająca jest Cordelia. Jaka jest wesoła i dobra. Jakie ma poczucie humoru. Cordelia to ideał. Colm dostosował krok

do tempa młodego człowieka i szedł ulicą,
z przyjemnością słuchając tych
namiętnych, miłosnych fantazji.